ROZMOWA „DO RZECZY”

NATO to żywy trup – przekonuje emerytowany pułkownik US Army

Jak Cichanouski z Cichanouską – kłótnia w białoruskiej rodzinie

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 41/701 5–11 PAŹDZIERNIKA 2026
CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

PIOTR SEMKA O SWOIM TYGODNIU NA WĘGRZECH – W KRAJU DEMOKRACJI WALCZĄCEJ



Janusz Korwin-Mikke zdradza, skąd się biorą nasze złe decyzje

TĘCZOWY SYNOD KARDYNAŁA RYSIA

Dramatyczne ostrzeżenie ks. prof. Oko

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

eprasa.pl 086c9af544



HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



„HUBAL": MUNDURU NIE ZDJĄŁ, BRONI NIE ZŁOŻYŁ

NA TROPIE MJR. DOBRZAŃSKIEGO – Nazywano go przeróżnie: watażką, „malowanym chłopcem", „Żelaznym Majorem", sprawcą pacyfikacji wsi, pierwszym partyzantem... Mimo trudnego charakteru „Hubal" dobrze przysłużył się Polsce – pisze Jacek Komuda

WIEM, GDZIE JEST GRÓB „HUBALA" – Dysponuję jednoznacznymi wynikami specjalistycznych badań, a także relacjami, które razem układają się w jeden logiczny obraz. Od „Hubala dzieli" nas jeden metr – mówi w wywiadzie Dariusz Szymanowski, prezes Stowarzyszenia „Wizna 1939"

DUOMO, CZYLI DUSZA FLORENCJI – Każde ze średniowiecznych włoskich państw-miast chciało wykazać swoją wyższość nad sąsiadami, budując najpiękniejszą i największą katedrę. Florencja postanowiła przyćmić w tym względzie całą konkurencję – pisze Sławomir Koper

ZAGADKA ŚMIERCI GORKIEGO – Stalin zamknął swojego ulubionego pisarza w złotej klatce, a na koniec stworzył taką opowieść o jego śmierci, która miała służyć celom Kremla – pisze prof. Mikołaj Iwanow

ŚLADAMI PYRRUSA – Król Epiru zapisał się na kartach historii zwycięstwami okupionymi tak wielkimi stratami, że faktycznie były one porażkami. Później wielu dowódców powtarzało jego błędy, co często pozwalało ich przeciwnikom osiągnąć strategiczne cele – pisze Grzegorz Janiszewski

ZAKOCHANY W PANI BIEDZIE – Nie chciał być kupcem jak ojciec, marzył o karierze rycerskiej i był zafascynowany trubadurami. Giovanni Bernardone, znany jako św. Franciszek z Asyżu, dokonał w Kościele istnej rewolucji – pisze Tomasz Stańczyk

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 086c9af544

Chrzest rewolucji francuskiej



PAWEŁ LISICKI

Wizytę Leona XIV we Francji pod wieloma względami można byłoby uznać za sukces. Na spotkania z papieżem przychodziły tłumy, w Paryżu pojawiło się ponoć 800 tys. wiernych, w Lourdes 150 tys. Nagły entuzjazm Francuzów sprawił, że nawet reprezentujący świecką tradycję republikańską prezydent Emmanuel Macron złamał się i pojawił na Mszy papieskiej w Metzu.

Co więcej, Leon XIV mówił o potrzebie tradycji, a w Lourdes padły nawet dawno niesłyszane, piękne słowa o obowiązku pokuty. Tak samo ważne i doniosłe było przypomnienie katolickiej tradycji Francji, 1500 lat pokazanych przez życiorysy świętych. Nic dziwnego, że media zaczęły wręcz pisać o „leomanii" i o odrodzeniu chrześcijaństwa. Jedna rzecz nie ulega wątpliwości: francuski katolicyzm żyje i takie okazje jak pojawienie się papieża mogą to udowodnić. Chociaż francuskie, głównie masońskie, elity polityczne robią, co mogą, żeby pamięć o chrześcijańskiej tożsamości zasypać pod zwałami postępowych, humanitarnych i lewicowych banałów, to ostatecznie operacja wygaszenia chrześcijaństwa jeszcze się im nie powiodła.

A jednak niezależnie od tych pięknych znaków życia francuskiego katolicyzmu pozostaję pesymistą. I to nie tylko dlatego, że byłem świadkiem podobnych wielkich nadziei w przeszłości. Przypomnę entuzjazm, jaki towarzyszył wizycie we Francji w maju 1980 r. Jana Pawła II, czy radość z odwiedzin Benedykta XVI. Późniejsze komentarze do złudzenia przypominały te obecne. Gigantyczne tłumy dążące na msze i nabożeństwa miały być znakiem odrodzenia Kościoła.

Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Wszystkie dostępne dane statystyczne pokazują, że w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat proces dechrystianizacji Francji dramatycznie przyspieszył. Nie mam tu na myśli tylko spadającej szybko liczby księży, zakonników, sióstr zakonnych, zamykanych kościołów, klasztorów i seminariów, ale również coraz większe oderwanie francuskiego prawa od zasad cywilizacji chrześcijańskiej. To witający ciepło Leona prezydent Macron doprowadził przecież do tego, że Francja wprowadziła do swojej konstytucji prawo zezwalające na nieograniczoną aborcję. Podobnie to prezydent Macron wspierał przyjętą niedawno ustawę eutanazyjną. Tak, co się tyczy stosunku do prawa naturalnego, dzisiejsza Francja jest znacznie bardziej pogańska i bezbożna niż kilkadziesiąt, a nawet kilkanaście lat temu. Również to Francja jest miejscem, gdzie niemal codziennie dochodzi do profanacji katolickich świętości, coraz częściej bezcześci się i niszczy miejsca kultu.
Z samego faktu obecności, emocji i entuzjazmu nic dalej, obawiam się, dla odrodzenia katolicyzmu nie wynika. A nic dalej nie wynika, bo idee mają swoje konsekwencje, a idee, które we Francji promował i propagował Leon, z definicji owego tak utęsknionego odrodzenia przynieść nie mogą.

Najważniejszą z nich było podkreślenie ścisłego i niepodważalnego związku między Ewangelią a hasłami rewolucji francuskiej: wolnością, równością i braterstwem. Już na początku papież powiedział, że „nieustanna troska o przyrodzoną godność każdego człowieka znajduje odzwierciedlenie również we francuskiej dewizie narodowej". „Wolność, równość i braterstwo nie są jedynie słowami wyrytymi na fasadach budynków publicznych, lecz wskazują na uniwersalne wymogi etyczne, które także w orędziu Ewangelii znajdują niewyczerpane źródło inspiracji i urzeczywistnienia". Hasło, które w czerwcu 1793 r. służyło jakobinom do masowego niszczenia Kościoła, nagle, za pomocą cudownej różdżki, stało się dewizą ewangeliczną.

Jak to się stało? Bardzo prosto. Po ponad dwóch wiekach od rewolucji Kościół odkrył, że właściwie najważniejszą wartością jest właśnie godność człowieka, z której to hasła rewolucji wyrastają. Wystarczyło tylko zmienić sens chrześcijańskiego rozumienia godności chrześcijanina – a więc godności wynikającej z przyjęcia wiary, z chrztu i łaski – tak, żeby stała się ona godnością przyrodzoną i absolutną każdego człowieka, niezależnie od jego wiary i sprawa ochrzczenia rewolucji się dokonała. Wszystko to, co Nowy Testament odnosi do wiernego, Kościół odniósł do każdego człowieka. Nic dziwnego, że właśnie ten wątek wystąpień papieskich spotkał się z takim uznaniem prezydenta Macrona, który to wspomniał, że papież spotkał Francję „różnorodną i braterską, wierną swoim ideałom wolności, równości i braterstwa, zawsze otwartą na dialog".

Wystarczy zatem zmutować pojęcie godności i nagle „wolność, równość i braterstwo" (w wersji oryginalnej towarzyszyło im jeszcze „albo śmierć") stają się hasłami ewangelicznymi. Jak daleko Leon XIV gotów był dokonać takiej reinterpretacji, pokazuje jego wystąpienie na spotkaniu międzyreligijnym w Metzu. Powiedział tam, że „nic, co zniekształca ludzką godność, nie może twierdzić, że pochodzi od Boga". Zatem jedyną miarą prawdziwego chrześcijaństwa i szerzej, autentycznej religii staje się absolutna godność człowieka. Tylko że w tej apoteozie godności człowieka kryje się pułapka, bo logicznie prowadzi ona do laicyzacji prawa i dechrystianizacji społeczeństwa. A z tego wynika przyzwolenie na aborcję, eutanazję i inne zdobycze lewicowego progresywizmu. ©℗

eprasa.pl 086c9af544



TEMAT TYGODNIA

16 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KOŚCIÓŁ W KRAKOWIE W OPARACH TĘCZY
Rewolucja LGBT dotyka również polskiego Kościoła. Przykład Krakowa każe bić na alarm

KRAJ

20 ROZMOWA Z MARCINEM PALADE
PRAWICA W ROLI STATYSTÓW
Czy PiS nie ma szans na zbudowanie większości?

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TRYBUNAŁ KONSTYTUCYJNY – W CO GRA TUSK?

25 KAJA GODEK
SEJMOWE KLĘSKI ABORTERÓW

28 ŁUKASZ WARZECHA
POLICJA NIEDOSZKOLONA

30 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
URZĄD PEŁEN EMPATII?

KULTURA

32 PIOTR SEMKA
POTWÓR SPOTYKA PAPUGĘ
Wybawcza rola Luizy Meklemburskiej

35 GRZEGORZ KONDRASIUK
DUSZA I ATAK CYFROWEGO ŚWIATA

36 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
NEOMARKSIŚCI KULTUROWI

38 PIOTR GOCIEK
KLASYKA Z WĄSAMI

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI



OPINIE

44 ROZMOWA Z LAWRENCE'EM B. WILKERSONEM
NATO TO ŻYWY TRUP
Niejasna przyszłość paktu północnoatlantyckiego

47 JANUSZ KORWIN-MIKKE
JAKA JEST SZANSA?

50 WOJCIECH GOLONKA
PARYSKA LEKCJA DLA KOŚCIOŁA

HISTORIA

54 ROZMOWA Z PROF. JAKUBEM POLITEM
ILE MOŻNA „WYBACZYĆ" KOMUNISTOM?
Ronald Reagan powiedział, że wojna w Wietnamie była słuszna, źle prowadzona i niepotrzebnie przegrana

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI
JAK CICHANOUSKI Z CICHANOUSKĄ
Konflikt w białoruskiej rodzinie

61 PIOTR SEMKA
NADDUNAJSKI SPLEEN W KRAINIE „DEMOKRACJI WALCZĄCEJ"

64 MICHAŁ MURGRABIA
KORONA BRAZYLII

68 KRYSTIAN KAMIŃSKI
POLACY Z LITWY: NIE DAĆ SIĘ ZASTRASZYĆ

EKONOMIA

70 PIOTR WŁOCZYK
PROKREACJA CZY ROBOTYZACJA
AI i maszyny na ratunek chińskiej demografii



SPORT

74 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
ZŁOTY BLASK POLSKIEJ SIATKÓWKI
Wilfredo León i Nikola Grbić w rolach głównych

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (14), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (67), GABRYEL, WARZECHA (72), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 086c9af544

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Anna Zalewska, Tomasz Zbigniew Zapert**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Michał Krupa, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Filip Memches, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Adam Wielomski, Dariusz Wieromiejczyk, Radosław Wojtas, Jakub Wozinski, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Wojciech Pacewicz/PAP, Art Service/PAP**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

MARKAZ KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Wojna stołówkowa

Jedzenie obiadu w stołówce szkoły podstawowej nie jest obowiązkowe. Ze szkolnych posiłków według statystyk korzysta od 35 do 45 proc. uczniów. Są to zazwyczaj dzieci „bogatszych" rodziców, których na to stać.

Z darmowych obiadów finansowanych przez państwo korzysta też ok. 4–5 proc. wszystkich uczniów szkół podstawowych.

Obiad ma służyć nie tylko temu, żeby dziecko nie było głodne, tak żeby miało siłę na kolejne lekcje i dodatkowe zajęcia, lecz także żeby W OGÓLE go zjadło. Ciepły, ważny, główny posiłek.

Uczeń szkoły podstawowej nie tknie np. tofu, kremu z marchewki z grzankami czy kotlecików z czerwonej soczewicy. Po pierwsze – nie wie, co mu podano, po drugie – musi widzieć, co dokładnie ma na talerzu. Złożone dania z wieloma składnikami często go odstraszają.

Smaki nie mogą być wymieszane w sposób, którego dziecko nie rozumie. Wzrok i tekstura mają ogromne znaczenie – składniki podane osobno dają poczucie bezpieczeństwa. Proste kształty (pulpeciki, kluski, kopytka) łatwo pokroić lub zjeść bez trudności.

W polskich stołówkach szkolnych marnuje się ogromna ilość jedzenia – od 40 do 50 proc. przygotowanych posiłków. Statystyczna stołówka szkolna wyrzucała do tej pory ok. 84 kg żywności dziennie! Ile będzie marnotrawić przy nowych, „planetarnych" wytycznych?

Mięso w diecie dziecka można ograniczyć, wybierając to najzdrowsze, nietłuste, lub zmniejszając dyskretnie porcje mięsne albo po prostu zastępując je czymś znanym dla niego – kotletem jajecznym, ryżem z jabłkami i cynamonem z odrobiną śmietany, naleśnikami czy makaronami z serem, truskawkami lub z innymi owocami sezonowymi albo warzywami.

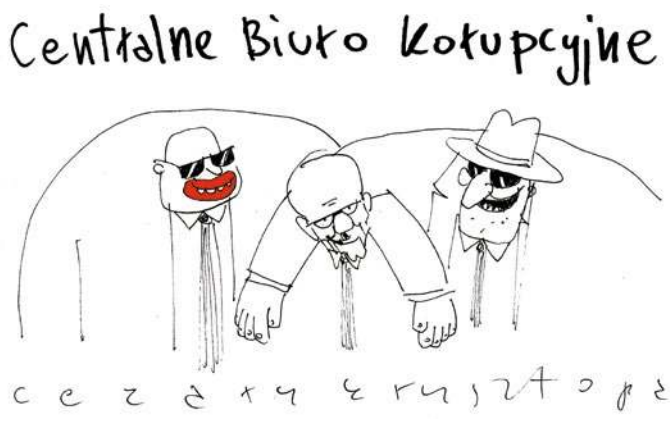
Albo trzeba postawić na edukację najmłodszych – uczyć, czym są tofu, soja, soczewica, ciecierzyca i inne strączki, które mają im zastąpić mięso. Bo chili sin carne z czerwoną fasolą, dla niepoznaki nazywane gulaszem, czy pulpety z zielonego groszku i kaszy jaglanej w języku najmłodszych brzmią jak zaklęcia.

Z poważaniem
Natalia Dąbrowska

„Sukces w cieniu dyktatury", Filip Memches, „DRz" nr 40/2026

Jeden z czytelników zwrócił uwagę, że w moim tekście „Sukces w cieniu dyktatury" („Do Rzeczy" nr 40/2026) zabrakło ważnej informacji. Otóż piłkarska reprezentacja Rumunii brała udział w mundialu w roku 1970. Dodam, że choć w grupie zajęła trzecie miejsce (za przyszłymi mistrzami świata – Brazylijczykami oraz obrońcami mistrzowskiego tytułu – Anglikami), to tanio swojej skóry nie sprzedała i była bliska awansu do fazy pucharowej.

Filip Memches



eprasa.pl 086c9af544



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Smutne urodziny

Jak głosi stare powiedzenie, czasem ktoś wyświadcza komuś niedźwiedzią przysługę. Trudno było nie przypomnieć sobie tych słów, gdy pod koniec września cała Polska widziała, jaki „prezent" otrzymał Lech Wałęsa tuż przed swoimi urodzinami. Oto prokuratura ogłosiła, że umarza śledztwo w sprawie domniemanego kłamstwa byłego prezydenta w kwestii dokumentów z teczki „Bolka". Jak pamiętamy, donosy zostały okazane Wałęsie, który zeznał następnie, że nie są jego autorstwa. Późniejsze odkrycie nienaruszonych akt „Bolka", które ukrywał w swoim mieszkaniu gen. Czesław Kiszczak, a także opinie biegłych grafologów, że donosy na kolegów ze stoczni były pisane ręką Wałęsy, zostały teraz przez prokuraturę zakwestionowane.

Chyba nikt nie mógł wymyślić większej kpiny z Wałęsy niż stwierdzenie przez prokuratorów od ministra Waldemara Żurka, że Wałęsa jako analfabeta nie był w stanie takich donosów napisać własną ręką. Decyzja prokuratury wygląda na działanie spowodowane polityczną sympatią obecnej władzy do najsłynniejszego elektryka na świecie. To, że teczka „Bolka" zawierała oryginały, potwierdził parę lat temu nawet tak zbliżony do platformerskiego obozu historyk jak prof. Andrzej Friszke. Teraz jednak prokuratura postanowiła dać Wałęsie oręż do dalszej obrony przed faktami, które mówią same za siebie. A Wałęsa oczywiście chętnie po te argumenty sięga i wymachuje nimi pod hasłem „oliwa sprawiedliwa".

Jest coś niezwykle smutnego w uporze tej postaci, która od czterech dekad nie jest w stanie zmierzyć się z prawdą o swoich dawnych przewinach. W tej nieustającej kampanii, w której Wałęsa próbuje udowadniać swoją niewinność, widać oczywiście liczne niekonsekwencje. Raz Wałęsa przyznaje, że brał od bezpieki cenne prezenty, innym razem potwierdza fakt zwerbowania go w charakterze agenta przez kapitana gdańskiej SB Edwarda Graczyka, by następnie zupełnie płynnie przejść do podkreślania, że nigdy żadnym agentem nie był. Jednak co pewien czas obóz Donalda Tuska podaje Wałęsie pomocną rękę, np. próbując ukarać prof. Andrzeja Nowaka za to, że był promotorem pracy magisterskiej Pawła Zyzaka, jednego z krytycznych biografów Wałęsy albo zwalniając byłego prezydenta z odpowiedzialności na podstawie rzekomego analfabetyzmu.

Z okazji 83. urodzin urządzono Wałęsie huczną imprezę w budynku Muzeum Narodowego w Warszawie. W oczy kłuje jednak, że są to jedynie puste rytuały. Obrona Wałęsy jest wyłącznie elementem linii politycznej obozu koalicji 13 grudnia, ale tak naprawdę pozbawiona jest jakichkolwiek żywych emocji. To głównie uparte powtarzanie, że „nic nie zmieni historycznej roli Wałęsy".

Co istotne, nikt z poważnych badaczy nie posunął się do oficjalnego poparcia rozgrzeszającej Wałęsę tezy o jego analfabetyzmie. I dlatego jasne jest, że Wałęsa to zabawka obozu Tuska. Zabawka użyteczna, bo co pewien czas wspierająca lidera KO. Żadnej autentycznej miłości ani sympatii do Wałęsy w tym jednak nie ma. ©℗



FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

MOCNY SKOK INFLACJI

Według szybkiego szacunku GUS poziom inflacji konsumenckiej wyniósł we wrześniu aż 4 proc. w ujęciu rocznym – w sierpniu było to 3,4 proc. Najbardziej wzrosły ceny paliw i smarów – o 36,1 proc. rok do roku. W porównaniu z sierpniem br. ceny te poszły w górę o 9,2 proc. Podrożały również energia elektryczna, gaz i inne paliwa – o 4,9 proc. rok do roku, co daje miesięczny wzrost na poziomie 0,9 proc. ***(az)*** ©℗

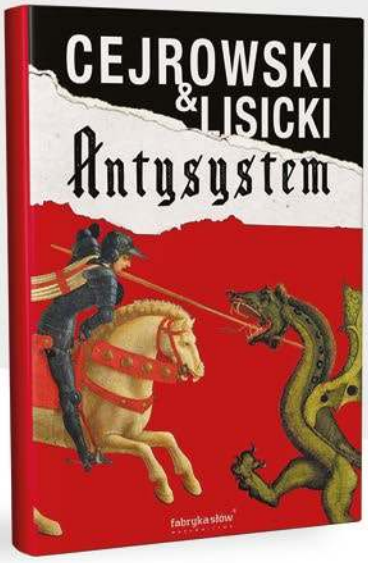
eprasa.pl 086c9af544

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

WOJCIECH CEJROWSKI, PAWEŁ LISICKI: „ANTYSYSTEM"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1343~~ ZŁ

549,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 794 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

| Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

| Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 086c9af544



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Co mogą dwa piwa?

Akt „instytucjonalnej przemocy", jak podsumował to zdarzenie sąd, czyli bezprawne odebranie rodzicom dzieci na polecenie lewicowej rzecznik praw dziecka Moniki Hornej-Cieślak, ma nieoczekiwane reperkusje. Okazało się, że nawet w sprawie tak oczywistej zwolennicy rządu w mediach i sferach celebryckich skłonni są zwierać szeregi wokół swej ukochanej władzy.

Mimo że jest to kolejny już eksces pani rzecznik, mimo że poprzednim był zwykle uważany w tych kręgach za zbrodnię niewybaczalną „mobbing", z chwilą gdy Horna-Cieślak została skrytykowana przez opozycję i media „prawicowe", stała się dla stronników koalicji święta.

Zaroiło się zatem od ochotniczych adwokatów przemocowej rzecznik, która co prawda legalnie do niej zgłoszonych wniosków o pomoc nie potrafi rozpatrzyć przez wiele miesięcy, ale za to zabawia się w lewicowego Haruna ar-Raszida, krążąc po warszawskich ulicach i wypatrując, czy kto gdzieś nie pociągnie dziecka za rączkę lub nie krzyknie na nie, by nasłać na upatrzoną ofiarę i jej dzieci policję. Wszyscy oni ruszyli robić to, co zwykli robić adwokaci, gdy winie klienta nie sposób zaprzeczyć: zasiewać wątpliwości i oczerniać ofiarę. Media, które kiedyś grzmiały, że „wyroków sądu się nie komentuje", i upajały się słowem „praworządność", ogłosiły nagle, że sądy się mylą, zwłaszcza te rodzinne, i że lepiej odebrać dzieci 10 niewinnym, niż raz nie zapobiec tragedii.

Rozbłysła przy tym nowa gwiazda: Agata Bzdyń, feministka i radca prawny od praw człowieka, która zwycięsko zmierzyła się z zarzutami, że znalezienie u kogoś w domu dwóch piw to nie powód do odebrania mu dzieci. Owszem, oznajmiła, kto ma w domu dwa piwa, znaczy, że leczy nim rano kaca. A kto rano leczy kaca piwem? Alkoholicy!

Logiczne: kto z kolei nie ma w domu piwa, znaczy, że je wypił. Wszak alkoholika poznać po tym, że nie ma w domu wódki, bo wszystko na bieżąco wypija. Więc…

Pilnujcie swych dzieci. ©℗

O RZECZNIK PRAW DZIECKA CZYTAJ TAKŻE NA STR. 30

#WARTO

Polska trendsetterem Europy



JAN POSPIESZALSKI

Pamiętam histerię „znanych i lubianych" aktorów, polityków, celebrytów i przedstawicieli „salonu", którzy przy każdych wyborach odgrażali się, że „gdy tylko zwycięży PiS", natychmiast wyjadą z kraju. O wiele trudniej przypomnieć mi sobie kogoś, kto spełnił tę groźbę. Taką formę ukarania wyborców za to, że głosują nie tak, jak trzeba, przypisywano Krystynie Jandzie, która podobno, na kilka tygodni, dotrzymała słowa. W wywiadzie przyznała, że wyjechała do Hiszpanii, bo… nie mogła wytrzymać hejtu po aferze ze szczepieniami (które przyjęła poza obowiązującą wtedy kolejnością).

Mało kto pamięta też, że prekursorem tej akcji mógł być sam Władysław Bartoszewski, który w 2007 r. w wywiadzie dla „Le Soir" ostrzegał: „Jeżeli PiS utrzymałoby się w Polsce u jedynowładzy, to my z żoną wyjeżdżamy z kraju jako emigranci polityczni. Chcemy umrzeć w demokracji". Szczęśliwie Bartoszewski dożył sędziwego wieku 95 lat i dopiero po jego śmierci w 2015 r. zwyciężyła w Polsce prawica.

Teraz okazuje się, że Polska jest trendsetterem Europy, ponieważ moda na polityczną emigrację dotarła za Odrę. W „Bild am Sonntag" ukazał się sondaż przeprowadzony przez instytut INSA na reprezentatywnej grupie obywateli, w którym 22 proc. respondentów zgodziło się ze stwierdzeniem: „Gdyby AfD doszła do władzy na szczeblu federalnym, opuściłbym Niemcy".

Sondaż, opublikowany kilka dni przed wyborami w Saksonii-Anhalt, nie przeraził wyborców.

Ale gdyby istotnie sukcesy antysystemowej prawicy z poziomu landów przełożyły się na scenę federalną, a nasi zachodni sąsiedzi chcieli dotrzymać słowa, ciekaw jestem, gdzie te 22 proc. Niemców znalazłoby schronienie? Przecież to ponad 18 mln ludzi. Przy takim exodusie blednie wędrówka ludów z Bliskiego Wschodu i z Afryki z 2015 r., i niczym jest fala uchodźców wojennych z Ukrainy. Wygląda na to, że Ruch Obrony Granic będzie miał co robić. ©℗

eprasa.pl 086c9af544

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Żurek świat zadziwił



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

To on! Waldemar Żurek! Były sędzia, obecnie minister sprawiedliwości i prokurator generalny. Stop. Wziął ci on i zadziwił świat prawniczy podwójnie, choć za jednym razem! Stop. Kiedy sąd postanowił o wydaniu listu żelaznego Marcinowi Romanowskiemu, ukrywającemu się gdzieś, lecz nie wiadomo gdzie, Żurek zreinterpretował prawo polskie. Stop. List żelazny to takie coś, co sąd może komuś przyznać, żeby ten ktoś wyszedł z ukrycia lub przyjechał z zagranicy i stanął przed sądem, a do momentu prawomocnego wyroku kogoś takiego nie można wsadzić za kraty, no chyba że list przestanie obowiązywać. Stop. Jeśli sąd uzna prawomocnie, że gagatek to gagatek, to gagatek bez przeszkód trafia do więzienia odsiadywać. Stop. Tu zaprotestował na portalu X Żurek, zaczynając swój wpis: „Nie ma i nie będzie bezkarności dla ludzi Zbigniewa Ziobry". Stop. Panie Żurek, ja tu powyżej napisałem, że list żelazny, to żadna bezkarność, pan przeczyta. Stop. A dalej, ponieważ orzeczenie sądu się nie spodobało, to Żurek się rozpisał i spostponował sędziego, że neosędzia i inne inwektywy. Stop. Gdyby sędzia nie przyznał Romanowskiemu listu żelaznego, to nikt by o jakimś niby neosędzim nie mówił. Stop.

Powstało rządowe Centrum Walki z Dezinformacją, o czym poinformował rzecznik rządu Adam Szłapka. Stop. Panie Szłapka, według stowarzyszenia Demagog, zajmującego się ocenianiem wypowiedzi polityków pod kątem prawdy, fałszu lub manipulacji, Adam Szłapka na 22 wypowiedzi miał cztery prawdziwe, 10 kłamliwych i sześć zmanipulowanych. Stop. Adam! Uciekaj! Uciekaj!

Trwa proces o zniesławienie, który prezydent Karol Nawrocki wytoczył Onetowi. Stop. Niemiecko-szwajcarskie medium próbowało wplątać kandydata na prezydenta w sutenerstwo, żeby nie został prezydentem. Stop. Twierdzili, że mają dwóch świadków, którzy to potwierdzą. Stop. Na razie sami wycofali swoich kilku świadków i z powodów przejrzystości procesu oraz dostępu do niego opinii publicznej wnieśli o utajnienie procesu. Stop. Sąd się zgodził, ale wtedy wnieśli o odtajnienie procesu, ale sąd chyba ma ich trochę dość, bo się nie zgodził. Stop. W sprawę po stronie Onetu zaangażowane są dwa znane asy: Harłukowicz i Stankiewicz. Podobno od roku z lornetkami wypatrują swoich świadków... ©℗

eprasa.pl 086c9af544



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

EV'RY NIGHT, EV'RY WYWIAD

„Pamiętacie »Ev'ry Night«?". Jeżeli ten kultowy tekst brzmi znajomo – to złe wieści, czas na badania kontrolne. Pamiętny występ Mandaryny na festiwalu w Sopocie w 2005 r. przeszedł do historii polskiego show-biznesu, jednak nie z takich powodów, jakich by sobie życzyła. Wykonanie hitu sprawiło, że na lata przylgnęła do niej łatka osoby o, delikatnie ujmując, umiarkowanym talencie wokalnym. Lata mijają, a Marta Wiśniewska wciąż jest pytana w wywiadach o wpadkę sprzed ponad dwóch dekad. Podczas wizyty w podcaście Małgorzaty Rozenek „Z bliska" temat wrócił po raz enty. Gospodyni programu zapytała, jak z dzisiejszej perspektywy ocenia tamte wydarzenia. – Wyobraźmy sobie, że są dwie Marty. Ta, która zeszła ze sceny, ale jeszcze nie wie, co przed nią, i ta z dzisiaj, która ma perspektywę 20 lat. I wyobraź sobie, że możecie się spotkać. Co byś powiedziała tej Marcie, która właśnie schodzi ze sceny, ale jeszcze nie wie, że zmierzy się z największą burzą swojego życia? Nie miałabyś poczucia, żeby jej powiedzieć „wytrzymasz to"? – pytała Gonia. – Na pewno mogę powiedzieć, że po tych dwudziestu paru latach bym jej odpuściła i mogła ją przytulić, ale nic bym w niej nie zmieniała, bo i tak przez lata w jakiś sposób się zmieniała. Ale ta spontaniczność, ta radocha, ta energia to jest coś, czego jej trochę zazdroszczę. Że była taka, że wydawało jej się, że jeżeli świat do niej należy, to do niej należał i nie mogło się nie udać. Ta sytuacja wybiła mnie z tego... nie wiem czego – odparła Mandaryna. – Ja ten temat zamknęłam. Nie mogę tej winy szukać w innych ani w sobie. Wzięłam to na klatę, odpękałam to i zamknęłam. I są to dla mnie zamknięte karty [...]. A czego bym nie zrobiła, ludzie ciągle, tak jak ty teraz, do tego wracają. Pytanie, kiedy ja przestanę na to odpowiadać – kontynuowała. „Rozenkowa" nie odpuszczała.
– To ja ci odpowiem: nigdy. I zawsze tak będzie – stwierdziła. – To jest moja rana, która jest moja i się zakleiła, mimo że ją ktoś ciągle rozdrapuje – podsumowała Wiśniewska, ewidentnie robiąc przytyk do prowadzącej. I tak to się kręci.



FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

POWIEKI DO STRZYŻENIA

Niedawno Sandra Kubicka zdecydowała się na „niezbędną" operację plastyczną, czyli wycięcie nadmiaru opadającej skóry z powiek. W rozmowie z Kozaczkiem influencerka wprost przyznała, że nie chodziło o żadne względy zdrowotne, czym często przy okazji interwencji chirurga zasłaniają się celebrytki, ale o „wyleczenie kompleksu". – Pewnie z wiekiem by mi jeszcze bardziej te powieki opadły. To jest zabieg, który też jest refundowany. Jeżeli naprawdę bardzo Ci opadają te powieki, no to wtedy NFZ refunduje, żebyś po prostu mogła widzieć. U mnie tak nie było – wskazała. – U mnie to była kwestia genetyczna. Ja nie lubiłam po prostu swoich oczu. Już zaczęło mi to doskwierać. Z wiekiem one coraz bardziej, coraz bardziej opadały. Ja też dowiedziałam się, że miałam przepuklinę, więc dlatego miałam ciężkie te oczy – wyjaśniła szczegółowo – Tylko i wyłącznie kwestia wizualna? – dopytywała dziennikarka.
– Dla mnie to była – odparła Sandra.
– Co polecasz generalnie osobom, które jeszcze się zastanawiają, a chciałyby taką operację? – pytała prowadząca. I tutaj intelektualna bomba – Kubicka porównała dobieranie kształtu oczu do... wizyty u fryzjera. – Nie mogę polecić oficjalnie tutaj nic. Ja zrobiłam to dla siebie. To jest jednak operacja plastyczna, więc każdy musi według konsultacji lekarza. No i każdy jest inny. To troszeczkę jest jak z włosami. Idziesz do fryzjera ze zdjęciem jakiejś gwiazdy. Mówisz, że chcę takie włosy, ale jeżeli nie masz takich predyspozycji, to takich włosów nie będziesz miała. Tak samo jest z blefaroplastyką. Nie możesz pójść ze zdjęciem jakiejś aktorki i powiedzieć, że chcę takie oczy, no bo każdy z nas ma inne oczy, inaczej ułożone i później się okazuje, że nagle masz przepuklinę, tak jak ja. Jestem świeżo trzy tygodnie po zabiegu. To jeszcze nie jest efekt końcowy i za pół roku zobaczymy – podsumowała. Lepiej być znaną ze słabego występu w Sopocie czy wycinana sobie skóry z powiek?

USTAWIONE DZIEWCZYNY

Internet zawrzał po premierze „Girls of Warsaw", czyli kilkuodcinkowego reality show z udziałem popularnych influencerek ze stolicy. Efekt podstawowy, czyli rozgłos, został osiągnięty. Jednak dla jednej z uczestniczek, instagramerki Klaudii Sadownik, program to też duży problem wizerunkowy. Widzów oburzył m.in. stosunek Klaudii do „koleżanki" z programu, Jessiki Mercedes. Sadownik po prostu ją obgadywała. Widząc PR-owski pożar, influencerka opublikowała na TikToku nagranie „wyjaśniające". Zaznacza, że reality show było w pełni reżyserowane i nie miało nic wspólnego z prywatnymi spotkaniami. Dodatkowo z Jessicą była w stałym kontakcie poza kamerami. – Na wszystkie nagrywki byłyśmy umówione przez produkcję. Dostawałyśmy jedynie godzinę i miejsce. Gdy Jessica powiedziała mi tak ważne, emocjonalne rzeczy, chciałam porozmawiać z nią na osobności i nie nagrywałam tej rozmowy [...]. Podeszłam do tego po ludzku i wyjaśniłyśmy sobie wszystko – tłumaczyła, pokazując na dowód prywatne wiadomości. – Przez cały czas trwania nagrywek za kamerą stała osoba, która podrzucała nam tematy i zadawała różne pytania [...]. Z perspektywy czasu zakładam, że to pytanie padło po to, żeby rozwinąć ten wątek w programie i zrobić z tego jakąś akcję – zdradziła kulisy. Produkcja zawiniła, influencerkę powiesili. ©℗

eprasa.pl 086c9af544



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, do panteonu rzeczy, których boją się Polacy, tuż obok LGBT, weganizmu, „Lalki" na Netflixie i innych rzeczy, które wspominaliśmy tydzień temu, należałoby dopisać „rosnące ceny energii". Czyli po prostu boją się skutku, bez zastanawiania się nad przyczynami. Chciałoby się powiedzieć: no jak zawsze.

Otósh pomyślmy sobie, co ma taki przeciętny Polak w domu na prąd: pralkę, suszarkę do ubrań, suszarkę do włosów, żelazko, toster, na podkarpaciu jeszcze prodiż – iżby mieć kabel do bicia osobożony i osobodzieci, pewnie jakaś zmywarka, no i oczywiście telewizor – centrum życia rodzinnego w wielu polskich domach.

I teraz: Czy wszystkie te urządzenia są absolutnie niezbędne? Skoro każde z nich pobiera energię, która będzie droga i czego jesteśmy świadomi, to przecież nic prostszego, niż zrezygnować z pewnych luksusów, które nie dość, iż się przełożą na oszczędności, to jeszcze pewnie pomogą zredukować ślad węglowy i choćby trochę przyczynią się do dobrostanu planety?

Przecież chodzenie w wyprasowanych ubraniach to wyłącznie kontekst kulturowy, w większych ośrodkach co bardziej świadome ekologicznie osoby z pokolenia Z oraz co bardziej obyci w trendach millennialsi już od dawna nie prasują ubrań, iż zabiera to czas, zużywa prąd i jest elementem kulturalnej patriarchalnej opresji, iż niegdyś szlachta musiała chodzić w wyprasowanych surdutach i narzucała to innym.

Zmywarka przestanie być potrzebna, jeśli zainteresujemy się mocniej biodegradowalnymi naczyniami i sztućcami z bambusa, a pralka to już w ogóle powinna zostać wyrzucona z każdego polskiego domu, iż nie dość, że zużywa energię, to jeszcze wodę, a zasoby wody mamy chyba jeszcze mniejsze niż zasoby prądu. Ubrania można zawsze przewietrzyć, albo i nie – ale po prostu żyć zgodniej z naturą. Podobnie wszystkie te tostery, opiekacze i mikrofalówki – jedzenie najlepiej smakuje na surowo, ma najwięcej witamin, a warzywa i owoce poddawane obróbce cieplnej tracą na wartości.

Jak więc widzicie, zamiast się bać, należy działać, edukować, podejmować odważne, chociaż mogące – przyznajmy – brzmieć kontrowersyjnie kroki w celu zaoszczędzenia kurczących się zasobów energii na planecie oraz zadbania o koszty i efektywność energetyczną gospodarstw domowych.



Zresztą do dobrego naprawdę można się przyzwyczaić, otósh widzieliśmy wyniki badania, wedle którego Polacy coraz bardziej zaprzyjaźniają się z systemem kaucyjnym i wielu z nich już nie wyobraża sobie, iżby miało wyrzucić butelkę do śmietnika. Raz, że żal „psinciu" groszy, a dwa, że – przyznajemy z zaskoczeniem – możliwe, iż po prostu rośnie świadomość ekologiczna w tym kraju.

Jak tak dalej pójdzie, to społeczeństwo zacznie wypełniać wszystkie obowiązki wchodzące w skład nowoczesnego patriotyzmu: dokładniej segregować śmieci, sprzątać po swoich psieciach, kasować bilety w komunikacji miejskiej oraz głosować odpowiedzialnie i postępowo na te siły polityczne, które uczą nas tych wszystkich europejskich i postępowych postaw, co będzie już naprawdę ostatecznym egzaminem na dojrzałość obywatelską. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Wuwuzela

Co to jest, Antek?
No jak to?
Wuwuzela przecież.
Ty Jarku na meczu nigdy nie byłeś?

Przecież wiesz, że ja tego nie znoszę.
Po co ci to?
W celach alarmowych.
Jak komuniści podejdą tu, pod trybunał, to ja zadmę w wuwuzelę.

I co? Że niby się przestraszą?
Może i nie, ale za to zbiegną się na pomoc ludzie z Klubów „Gazety Polskiej".

Niby skąd?
Z Milanówka nawet.
To jest bardzo głośne.

A to ty komórki po prostu nie masz?
Komórki są na podsłuchu. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Czy jestem zadowolony ze swojej emerytury? Jakbym był, to bym jeździł na grzybki czy rybki, a nadal pracuję, jeżdżąc po świecie".

LECH WAŁĘSA, *były prezydent, na o2.pl*

eprasa.pl 086c9af544



POGRZEB KS. STANISŁAWA ZBOJNOWICZA

W dniach 28–29 września odbyły się uroczystości pogrzebowe ks. Stanisława Zbojnowicza, który zginął 24 września w wyniku zbrodniczego ataku Ukraińca Ihora M. Trzydziestojednoletni napastnik ranił nożem także dwóch innych księży oraz dwie osoby świeckie w opactwie sióstr benedyktynek w Jarosławiu.

W poniedziałek 28 września w Jarosławiu odprawiono Mszę żałobną eksportową w Kościele św. Mikołaja Biskupa dla lokalnej wspólnoty parafian w miejscu posługi kapłana. 29 września w kościele parafialnym pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Grzęsce (rodzinnej parafii ks. Zbojnowicza) odprawiono główną Mszę pogrzebową. Celebrował ją biskup pomocniczy przemyski Stanisław Jamrozek, a homilię wygłosił ksiądz prałat Marcin Bocho. W pogrzebie licznie wzięli udział bliscy duchownego, księża, a także mieszkańcy rodzinnej miejscowości. Podczas uroczystości Wojciech Kolarski, sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP, odczytał list Karola Nawrockiego. Podczas ceremonii obecni byli także Teresa Kubas-Hul, wojewoda podkarpacki, i Wasyl Bodnar, ambasador Ukrainy w Polsce

Po nabożeństwie, podczas uroczystości pogrzebowych o charakterze prywatnym, ks. Zbojnowicz został pochowany w rodzinnym grobie. ***(az)*** ©℗

O ZBRODNI W JAROSŁAWIU CZYTAJ TEŻ W TEKŚCIE JERZEGO KARWELISA NA STR. 79

FOT. WOJCIECH OLKUSNIK/FAKTY.WP.PL

eprasa.pl 0869 0



dwaj panowie g

Wybory, i po wyborach. Znaczy po pierwszej turze, w Krakowie. Wygrał ją Gibała Łukasz, ale będzie druga tura. PiS ogłosił triumf, gdyż jego kandydat Michał Drewnicki zdobył 17,5 proc. Słyszeliśmy nawet o daleko idących szacunkach i doważaniach sondażowych, jakie podobno trafiły na Nowogrodzką w związku z tym rezultatem. Otóż partia uważa się za niedoszacowaną i z kalkulacji po Krakowie wychodzi podobno, że PO ma teraz 34, a PiS – 32 proc. poparcia. Uwielbiamy taką matematykę. Znamy ją z dzieciństwa. Jak babcia dawała nam dwa serniczki, a dziadek – dwie szarlotki, to wołaliśmy: „O rety! Aż siedem ciastek!".

Ludziska się ekscytują wyborami w Krakowie (no dobra – niektóre), a tu za parę tygodni inne święto demokracji. 25 października odbędzie się referendum w sprawie odwołania prezydenta i rady miasta Częstochowa. Prezydent Częstochowy Krzysztof M. jest czerwony, ale to nie wyczerpuje jego zalet. Ma także zarzuty korupcyjne i zakaz sprawowania funkcji. Częstochowa, dodajmy, to największe polskie miasto rządzone przez prezydenta z Nowej Lewicy.

Skoro już o Częstochowie. Korupcja w świętym mieście to już chyba epidemia. Od trzech lat toczy się sprawa przeciwko Bartłomiejowi S. – byłemu wicemarszałkowi województwa śląskiego i byłemu wiceprezydentowi miasta. Bartłomiej S. ma szlachetniejsze pochodzenie od Krzysztofa M., bo nie jest czerwony, tylko normalny, europejski. Znaczy z Koalicji Obywatelskiej. Zarzuty dotyczą przyjmowania korzyści majątkowych za dogodne dla inwestorów zmiany w planach zagospodarowania przestrzennego i pozwolenia na budowę. Chodzi zarówno o okresy wiceprezydentury, jak i marszałkowania. Podpowiedź dla klubu Raków Częstochowa – tyle lat się skarżycie, że miasto nie pomaga w budowie stadionu. Tak bywa, jak się nie wie, że można zapłacić. No oczywiście jeszcze trzeba wiedzieć komu.

Wbrew obiegowej opinii, że rozmaite referenda w sprawie odwoływania prezydentów to awantury pisowskie lub konfederackie, własną inicjatywę w podobnej sprawie chciała zakończyć sukcesem także KO. Nie wyszło. Otóż w Chorzowie europejczycy podjęli próbę odwołania prezydenta miasta, który ma aż dwie wady. Wygrał w pierwszej turze z poprzednim prezydentem z KO, a w dodatku w tym roku podjął współpracę z PiS i partia ta dostała nawet wiceprezydenta.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 086c9af544

Tak czy inaczej widmo referendów krąży nad Polską. I to tak szeroko, że czasem zamienia się w farsę. Otóż we wspomnianym Chorzowie najzabawniejsze było nie to, że KO nie udało się zebrać odpowiedniej liczby podpisów, ale to, gdzie i jak je zbierano. Mianowicie miejscowa radna KO, będąca jednocześnie lekarzem, została nagrana w swoim gabinecie, jak zbiera podpisy w zamian za L4. Może trzeba było oferować endoprotezy biodra?

Tymczasem w PiS. Być może już ogłoszono (my piszemy to w chwili, kiedy decyduje się kiedy), że partia ma nowego polityka europejskiego formatu. Chodzi o to, że była premier Bełata Szydło zostaje nowym Bielanem, to znaczy szefem delegacji krajowej PiS we frakcji EKR. Najbardziej łyso musi być teraz Patrykowi Vedze, który w filmie „Polityka" ukazał Bełatę w krzywym zwierciadle jako babę ze wsi, która woli karmić kury. Przypominamy, że słynny rzymski Cyncynat też wolał orać pole niż ugór spraw publicznych. Ale kraj uratował. Czego życzymy i nowej szefowej delegacji.

Ciekawe rzeczy dzieją się na pograniczu spraw polskich i europejskich. Otóż w związku z nadchodzącymi wyborami zaczęło się już kombinowanie, który z popularnych europosłów miałby pociągnąć listę w tym czy innym okręgu krajowym. Słyszeliśmy, że Daniel Obajtek ma być jedynką PiS w okręgu rzeszowskim. My to rozumiemy, wszak rodzinne Myślenice Daniela to prawie Rzeszowszczyzna.

Powrót Obajtka do polskiego parlamentu oznacza, że zwolni się jego fotel w europarlamencie. To z kolei oznacza, że politykiem europejskiego formatu zostanie Władysław Ortyl. To z kolei oznacza, że już teraz zaczyna się bratobójcza walka o to, kto za Ortyla będzie… ech, nawet nam się już nie chce wyliczać, w każdym razie chętnych jest wielu. Chodzi w sumie o to, że w polityce, wbrew pozorom, zawsze coś się dzieje. Zauważcie, że nie użyliśmy słowa „ciekawego".

Także STROP (Stowarzyszenie Rozwój Plus) szykuje się do wzmocnienia list do Sejmu znanymi twarzami z europarlamentu. Jedną z nich ma być podobno Michał Dworczyk. Jesteśmy w rozterce. Chodzi o to, że życzymy dobrze i Polsce, i Dworczykowi. Więc nie wiemy, której wersji wydarzeń kibicować. Dla dobra Polski niech wraca. Dla dobra Dworczyka – powinien w europarlamencie pozostać.

Jedni szykują się do powrotu do Polski, a inni do wyfrunięcia z kraju. Dotarły do nas wieści, że gdyby Zły Donald z Sopotu przegrał wybory w 2027 r. i przestał być stroną rządową, to jego europejski kolega Manfred Weber szykuje dla niego powrót na stanowisko Europejskiej Partii Ludowej (EPP). Wiecie, jak bardzo cieszą nas europejskie sukcesy Polaków. Więc powiemy wprost: nie możemy się już doczekać.

Wygląda na to, że chyba jednak się doczekamy. Szczególnie że wiemy już, z jakim hasłem wyborczym pójdą w kampanię europejczycy z KO. Wypowiedział je Dawid Kacprzyk, ten miglanc od Szpitala Południowego: „Mamy to wszystko w dupie". (Tak, wiemy, Ewa Hernik-Zajączkowska też to zauważyła – wielkie umysły myślą podobnie). Otóż uważamy, że hasło MTWDP ma wielką przyszłość. Oczekujemy nawet, że zastąpi na murach malowane od lat CHWDP.

Jak zapewne niektórzy wiedzą, w zaprzeszłą niedzielę ok. godz. 19:30 na chodniku przy Al. Jerozolimskich w okolicach Dworca Centralnego pewien pan w kapturze zadowalał seksualnie pewną panią. Rzecz zarejestrowana została nie tylko w komórce oburzonego przechodnia, lecz także na monitoringu. Niby nie wiadomo, kim byli kopulanci, ale Warszawa to postępowe miasto, więc natychmiast zapewniono publicznie, że na pewno nie chodziło o „nielegalnego imigranta". Odetchnęliśmy z ulgą. W przypadku legalnego imigranta to przecież zupełnie co innego. Oni mogą.

Chętnie pokomentowalibyśmy powyższe wydarzenie, gdyż bardzo nas zawsze ciekawi obyczajówka – czy to w wykonaniu polityków, czy też zwykłych ulicznych kopulantów. Niestety, nie możemy komentować, gdyż wymagałoby to zwrócenia uwagi na odcień skóry spragnionego satysfakcji pana. A to miałoby charakter rasistowski. W ogóle w związku z coraz częstszymi przypadkami a to biegania kogoś nago po ulicach, a to nieortodoksyjnych zachowań publicznych proponujemy, by wprowadzić wreszcie do obiegu sformułowanie „osoba o nieokreślonym kolorze skóry".

Àpropos wydarzeń na ulicach Warszawy, tym razem niedoszłych, lecz możliwych. Bardzo spodobał się nam koncept wysunięty przez konstytucjonalistę Marka Chmaja, żeby kandydujący do Trybunału Konstytucyjnego pan Maciej Berek poszedł złożyć ślubowanie przed Pałacem Prezydenckim, a dokładnie pod pomnikiem księcia Józefa Poniatowskiego. Tylko chcemy zauważyć, że biorąc pod uwagę kontekst sprawy, powinien zrobić to pod jakimś innym pomnikiem. Niestety, w Polsce nie ma pomnika konfederacji targowickiej ani nawet Katarzyny II. No to może w Sandomierzu? Wszak tam wybuchł rokosz Zebrzydowskiego. A jak nie w Sandomierzu, to może pod Ujściem albo w Kiejdanach?

Przy okazji: nie rozumiemy, jak na speców od kulawej konstytucji III RP można mówić „konstytucjonaliści". Z drugiej strony „neokonstytucjonaliści" nie pasuje, bo nie jest to konstytucja nowa, lecz przestarzała. Konstytucjonalistami są dziś ci, którzy chcą innej, lepszej i nowszej konstytucji, jak Ziemkiewicz albo Nawrocki. To może na takich jak Chmaj mówić „paleokonstytucjonaliści"?

Na koniec kultura. Skończył się festiwal polskich filmów fabularnych w Gdyni. I wiecie co? My nie o werdykcie, tylko o składzie jury. Miesiąc temu bowiem Daniel Olbrychski zrobił awanturę, że został pominięty, choć mu obiecano. Powiedział też, że Tusk powinien interweniować, bo przecież nawet Jaruzelski to Olbrychskiego słuchał, gdy ten czegoś od niego chciał. Podobno premier interweniował. No i co? No i pstro. Podejrzewamy, że premier był zbyt zajęty uruchamianiem swojego kanału na YouTube, żeby dopilnować fuchy dla Olbrychskiego. Proponujemy więc, żeby w ramach rekompensaty Tusk zaprosił Daniela do studia. Po co? A to obojętne. I tak nie będziemy tego oglądać. ©℗

eprasa.pl 086c9af544



Kościół w Krakowie w oparach



Paweł Chmielewski

Kościół katolicki w wielu krajach jest przeżerany przez ideologię LGBT. Niestety, homoseksualna rewolucja zaczyna coraz silniej unaoczniać się również w Polsce. Przykład Krakowa każe bić na alarm

Czy archidiecezja krakowska zamienia się w laboratorium tęczowej ideologii? Takie pytanie postawił publicznie ks. dr hab. Dariusz Oko, profesor Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie. Na początku września Telewizja Republika wyemitowała program „Oko na niedzielę", w którym kapłan omawia dokumenty synodalne z Krakowa, wskazując na wyraźną obecność ideologicznych treści genderowych. – Istnieją poważne obawy, że jak tak dalej pójdzie, to ten synod może zakończyć się wielką apoteozą i wyzwoleniem genderyzmu, homoseksualizmu, biseksualizmu, poliamoryzmu itd. – powiedział.

Chodzi o II Synod Duszpasterski Archidiecezji Krakowskiej, który rozpoczął się w 2026 r. z inicjatywy kard. Grzegorza Rysia. Wcześniej synod w tej archidiecezji odbył się w latach 70. XX w. za kard. Karola Wojtyły. Jan Paweł II chciał, żeby krakowski synod umożliwił recepcję nauczania Soboru Watykańskiego II. W przypadku działań kard. Grzegorza Rysia kontekstem są pontyfikat Franciszka i zwołany przez niego ogólnoświatowy Synod o synodalności. Papież z Argentyny oczekiwał, by Kościół katolicki uznał „synodalność" za swoją fundamentalną, konstytutywną cechę, i zachęcił wszystkich katolików do organizowania spotkań nakierowanych na konkretną dyskusję i przygotowanie reform. Właśnie na ten apel odpowiedział metropolita Krakowa.

W czerwcu 2026 r. władze archidiecezji opublikowały dokument pt. „Relacja po pierwszym etapie prac synodalnych w Archidiecezji Krakowskiej". Przygo-

eprasa.pl 086c9af544



Przedsynodalne spotkanie kard. Grzegorza Rysia i kard. Jeana-Claude'a Hollericha z księżmi archidiecezji krakowskiej, luty 2026 r.
FOT. BIURO PRASOWE ARCHIDIECEZJI KRAKOWSKIEJ

tęczy

towali ją dwaj księża relatorzy: Marek Gilski oraz Damian Wąsek. Relacja ma kilkadziesiąt stron i jest przygotowana w formie obrazkowej. Ksiądz Dariusz Oko zwrócił uwagę na treści, które zawarto w rozdziale „Wykluczeni". W tej części relacja synodalna mówi o różnych grupach osób: młodych, kobietach, seniorach, niepełnosprawnych. Pojawiają się również osoby żyjące w związkach niesakramentalnych oraz homoseksualiści.

Tu relacja synodalna wskazuje na konieczność dokonania wielu konkretnych zmian. Autorzy wychodzą od zdiagnozowania „problemu". Członkowie środowiska LGBTQ+ – bo takim akronimem posługuje się tekst – mają doświadczać „osądzania i odrzucania przez wspólnoty". Uważają też, że są traktowani „jako zagrożenie". Homo-, bi- czy transseksualiści mieliby postrzegać się jako „bolesne nerwy, które wskazują na chorobę całego organizmu kościelnego". Warto zwrócić uwagę na tę metaforę: brak poczucia akceptacji środowisk LGBTQ+ w Kościele katolickim w Polsce miałby wskazywać, że cały Kościół jest chory…

Po wystawieniu diagnozy relacja przechodzi do zaoferowania narzędzi naprawy. Wskazuje się tu trzy kwestie: „bezwzględne zatrzymanie stygmatyzacji (stop używaniu słów takich jak »zaraza«)"; „tworzenie bezpiecznych przystani duszpasterskich (np. na wzór »Wiara i Tęcza«)"; „otwarty, uczciwy dialog ze współczesną nauką o człowieku". To wszystko miałoby doprowadzić do nowej „wizji". Jej elementem byłyby dwie rzeczy: „prawdziwe poszanowanie ludzkiego sumienia" oraz „godność osoby zawsze stojąca wyżej niż wykluczające struktury i krzywdzące stereotypy".

Ksiądz Dariusz Oko uważa, że zawarcie takich sformułowań w „Relacji…" znamionuje głębokie otwarcie synodu archidiecezji krakowskiej na niebezpieczne ideologie. Te stwierdzenia zwykle oznaczają wstępną akceptację ideologii gender, w tym zwłaszcza homoseksualizmu. Później zazwyczaj szybko następuje całkowita akceptacja, zupełne poddanie się światu i jego ideologii – mówi w nagraniu. Kapłan wymienia wiele przykładów na opisanego przez siebie procesu ideologizacji życia kościelnego, sięgając zwłaszcza po wydarzenia z Niemiec. Obecnie w Monachium ulubieniec papieża Franciszka, ks. kard. Reinhard Marx, przemocą wymusza na księżach uroczyste błogosławieństwo dla każdej chętnej pary homoseksualnej i Komunię Świętą dla każdego chętnego konkubinatu – wskazuje.

ŁAMANIE SUMIEŃ

Problem, na który zwraca uwagę polski filozof, jest realny. W maju 2025 r. część niemieckich biskupów przyjęła dokument, który wprowadza wytyczne o błogosławieniu par tej samej płci. W kolejnych miesiącach poszczególni hierarchowie wdrażali ten tekst w życie. W tym roku zrobił to na terenie archidiecezji Monachium i Fryzyngi również kard. Marx, jeden z najbardziej wpływowych ludzi Kościoła w Europie. Wielu księży z Monachium nie kryło oburzenia, uważając, że władza kościelna chce łamać ich sumienia: mieliby błogosławić związki, które – jak dobrze wiedzą z Pisma Świętego i nauki Kościoła – są obiektywnie grzeszne.

Takie zagrożenie występuje nie tylko w Monachium. Nasi czytelnicy pamiętają artykuły, w których opisywaliśmy problematykę błogosławienia par jednopłciowych również w innych diecezjach – zarówno Niemiec, jak i Austrii, Szwajcarii, Belgii czy nawet Włoch. Do tego dochodzi jeszcze implementowanie homoseksualnej propagandy w nauczaniu w szkołach... katolickich, co autor programu „Oko na niedzielę" wspomina w kontekście kilku diecezji niemieckich. Ostatnio rodzice z Hamburga prosili Watykan, by zatrzymać tęczową narrację, którą serwuje ich dzieciom arcybiskup – bezskutecznie.

eprasa.pl 086c9af544

Przenikanie do Kościoła ideologii gender, o którym mówi w kontekście Krakowa ks. Dariusz Oko, nie jest bynajmniej wyimaginowanym zagrożeniem: to namacalny i mierzalny fakt.

Czy to samo dzieje się w Krakowie? Kapłan przypomniał, kto stał się medialną „twarzą" krakowskiego synodu. Oddajmy mu głos: – Nasz krakowski synod stał się najbardziej znany dzięki Marii Minakowskiej, sekretarce zespołu synodalnego powiązanego z genderową organizacją Wiara i Tęcza. Biologicznie jest ona mężczyzną, który 30 lat przeżył w małżeństwie z Anną Barbarą, z którą ma dorosłą córkę. Jednak dwa lata temu ogłosił, że jest transkobietą […]. Ostatnio poddał się kastracji na życzenie, szczegółowo opisując ten proces w mediach. Męskie narządy płciowe uważa za coś paskudnego. Dlatego swoje wykastrowanie przeżywa jako prawdziwe zmartwychwstanie. Takie stwierdzenia są oczywiście czystą mową nienawiści wobec wszystkich miliardów mężczyzn i bluźnierstwem wobec twórcy ich ciał. To jednak nie przeszkadza mu w pełnieniu ważnej funkcji na naszym synodzie.

Więcej szczegółów o tym przypadku można przeczytać na stronie Minakowska.pl. Widnieje tam zdjęcie brodatego mężczyzny podpisane: „Przed śmiercią: Marek Jerzy Minakowski, 15 stycznia 2019" oraz drugie, przedstawiające stylizację z różowymi włosami, podpisane: „Po zmartwychwstaniu: Maria Jadwiga Minakowska, 23 listopada 2025". „Wierzę, bo zmartwychwstałam" – głosi jeden z artykułów na tej stronie, opisując proces tzw. tranzycji płciowej w głęboko religijnych kategoriach. Archidiecezja krakowska rzeczywiście umożliwiła Minakowskiemu-Minakowskiej udział w pracach synodalnych, wyjaśniając, że dyskusje są otwarte dla wszystkich, którzy chcieliby się zgłosić. Dlaczego jednak właśnie to zgłoszenie wydaje się tak mocno rezonować w „Relacji…"? Ksiądz Dariusz Oko zwraca uwagę na związek autora strony Minakowska.pl z organizacją Wiara i Tęcza, która wprost pojawia się w dokumencie przygotowanym przez księży relatorów z Krakowa. Grupa definiuje się jako „chrześcijańska" i „ekumeniczna"; głosi, że „każda orientacja seksualna i tożsamość płciowa jest darem od Boga i można ją pogodzić z wiarą". Działalność grupy skupia się na próbie przekonania polskich chrześcijan różnych wyznań, by uznali homo-, bi- czy transseksualizm za dopuszczalne moralnie zjawiska i nie postrzegali już aktywności seksualnej w takich związkach za grzeszną.

II Synod Duszpasterski Archidiecezji Krakowskiej rozpoczął się w bardzo szczególnej atmosferze

Ksiądz Dariusz Oko w swoim telewizyjnym wystąpieniu zwrócił też uwagę na niezwykle interesujący aspekt „Relacji…", który dotyczy roli ludzkiego sumienia. Czytelnicy pamiętają, że według tego tekstu efektem „wizji" powstałej na gruncie synodalnej reformy miałoby być „prawdziwe poszanowanie ludzkiego sumienia". Co oznacza to w praktyce? Tak jest już często na Zachodzie, to kalka stamtąd. Zgodnie z gender i ze swoim sumieniem jak najbardziej można tam żyć w związkach biseksualnych, czyli równocześnie i z kobietą, i z mężczyzną; poliamorycznych, czyli równocześnie z wieloma różnymi partnerami; [praktykować] swinging, czyli wymieniać partnerów między małżeństwami; wchodzić do domów publicznych i potwornie, zbrodniczo deprawować seksualnie dzieci – wymienia ks. Dariusz Oko. – Potem ma się pełne prawo przyjmować Komunię Świętą bez żadnej spowiedzi, której nawet nie ma gdzie i kiedy odbyć – dodaje.

Ktoś mógłby uznać, że słowa krakowskiego filozofa są przesadne, bo taka sodoma i gomora nie może przecież istnieć nigdzie w Kościele katolickim. O ile trudno byłoby wskazać na przykłady otwartego postulowania akceptacji kazirodztwa czy korzystania z domów publicznych, o tyle głęboko libertyńska „moralność" seksualna jest już smutną częścią nauczania niektórych biskupów czy teologów na świecie. W jednym z dokumentów synodalnych Watykanu, opublikowanym w 2026 r., zawarto relacje homoseksualnych mężczyzn, którzy dziękują Bogu za swoje skłonności. Jak deklarują, dzięki temu, że żyją w związku z mężczyzną, nie muszą mieć dzieci i mają więcej czasu „dla innych". Według ich słów homoseksualizm jest wielkim darem… Inny przykład: w 2023 r. amerykański kardynał Robert McElroy zaproponował, by homoseksualistów, którzy nie żyją w czystości, dopuszczać do Komunii Świętej. Z kolei na wpływowej niemieckiej „drodze synodalnej" promuje się pogląd, zgodnie z którym każda aktywność intymna jest dopuszczalna, jeśli zasadza się na akceptacji przez zaangażowane strony.

O wszystkim ma decydować właśnie sumienie, co podkreślił ks. Dariusz Oko. Ten aspekt pojawia się w „Relacji…" krakowskiego synodu także poza kontekstem gender. W podrozdziale dotyczącym związków niesakramentalnych napisano, że należy w pełni zaakceptować adhortację „Amoris laetitia" papieża Franciszka z 2016 r. To właśnie tam zawarta jest sugestia, że czasem człowiek może żyć w stanie, który jest obiektywnie grzeszny, ale w swoim sumieniu uznaje, że w jego konkretnej sytuacji grzechu jednak nie ma. Zdaniem wielu teologów moralnych takie postawienie sprawy otwiera drogę do podważenia katolickiego systemu etycznego niemal w całości. Sam Jezus Chrystus bynajmniej nie szanował złych decyzji ludzkiego sumienia. Przestrzegał, że wiele z nich może doprowadzić nawet do utraty życia wiecznego – zauważa profesor Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II.

„WĄSKA MORALNOŚĆ"

„Relacja…" z archidiecezji krakowskiej nie stanowi bynajmniej oficjalnego dokumentu nauczycielskiego. Od strony formalnej jest to po prostu zapis przebiegu spotkań, które odbywały się na jej terenie od początku obrad synodu zwołanego przez kard. Grzegorza Rysia. Autorzy tego dokumentu mogliby wskazywać, że obecność elementów ideologii gender w tym tekście odzwierciedla głosy, które pojawiały się w czasie rozmów, ale nie oznacza to jeszcze, iż synodalne nauczanie w Krakowie będzie szło właśnie w tym kierunku; może być zupełnie inaczej.

Problem w tym, że II Synod Duszpasterski Archidiecezji Krakowskiej rozpoczął się w bardzo szczególnej atmosferze. W lutym 2026 r. kard. Ryś zaprosił do Krakowa metropolitę Luksemburga, kard. Jeana-Claude'a Hollericha. Gość został poproszony o to, by wyjaśnić księżom z archidiecezji naturę i cele procesu

eprasa.pl 086c9af544

synodalnego. Purpurat wie, o czym mówi: za pontyfikatu papieża Franciszka pełnił prominentną funkcję „relatora generalnego" spotkań synodalnych. Jeździł po całym świecie, przedstawiając franciszkową wizję reform Kościoła. W synodalność angażuje się również dziś, aktywnie uczestnicząc w budowie nowych struktur tego rodzaju dla całej Europy. Z perspektywy „technicznej" arcybiskup Luksemburga jest zatem rzeczywiście adekwatnym nauczycielem „synodalności", tak jak rozumiał ją Jorge Mario Bergoglio. Jean-Claude Hollerich nie jest jednak postacią neutralną pod kątem dyskusji o przyszłym kształcie teologii katolickiej. Dotyczy to również głównego tematu tego tekstu, czyli homoseksualizmu.

– Uważam, że socjologiczno-naukowe podstawy tego nauczania nie są już prawdziwe. Myślę, że nadszedł czas, abyśmy dokonali fundamentalnej rewizji doktryny – mówił o doktrynie Kościoła na temat „tęczowej" aktywności intymnej w wywiadzie z 2022 r. Rok później przekonywał, że stanowisko Katechizmu Kościoła katolickiego na ten temat jest „wątpliwe". Z kolei w roku 2025 stwierdził, że on osobiście nie definiowałby moralności seksualnej w tak „wąski sposób, jak robi to dziś Kościół".

Synod archidiecezji krakowskiej rozpoczyna się zatem od nauk kardynała, który na przestrzeni lat otwarcie mówił o swojej negatywnej ocenie doktryny Kościoła w obszarze LGBT. Do udziału w pracach synodalnych dopuszczany jest aktywista związany z rewolucyjną organizacją Wiara i Tęcza. W „Relacji…", podsumowującej pierwszy etap prac synodalnych zawartych zostaje wiele terminów, koncepcji i postulatów zaczerpniętych z ideologii gender. A to wszystko w momencie, w którym znacząca liczba diecezji w krajach zachodnich przyjmuje tęczową narrację za oczywistą – i takie wątki pojawiają się nawet w dokumentach synodalnych, które wypływają z Watykanu. Ksiądz Dariusz Oko słusznie bije na alarm. To, co uważamy za niewzruszony element nauczania Kościoła, wcale nie musi takie być w Polsce. Wprost przeciwnie, w konfrontacji z odpowiednio silnym naciskiem może upaść.

Wiele zależy od stanowiska zwykłych Polaków. Według ks. Dariusza Oko jest duża szansa na to, że ideologia gender, mimo wszystko, nie zakorzeni się ani w archidiecezji Krakowa, ani w Polsce w ogóle. – Jeśli posłuchamy Jezusa, to uzasadniona jest nadzieja, że tylko znikoma mniejszość polskich katolików i duchownych postawi, przeciw Chrystusowi, na skrajne szaleństwo, absurdy i rozpustę gender; że sukces tej kolejnej ateistycznej ideologii w naszym kraju będzie bardzo ograniczony – wskazał. – Nas broni wielka tradycja naszego narodu i Kościoła, także archidiecezji krakowskiej. Broni nas mądrość naszych wielkich świętych, jak św. Jan Paweł II, św. s. Faustyna, bł. kard. Stefan Wyszyński, bł. ks. Jerzy Popiełuszko, bł. rodzina Ulmów, jak nasi święci męczennicy czasów wojny i komunizmu. Na nich się wzorujmy, nie na ich przeciwnikach, kimkolwiek by oni byli – powiedział ks. Oko.

Oby ks. Dariusz Oko miał rację, przekonując, że Polacy pójdą za głosem Jezusa Chrystusa

Siły rewolucyjne cały czas pracują nad zmianą poglądów Polaków. Kluczowa jest edukacja. Duchowny zwrócił uwagę na to, jak zmienia się polska szkoła. – W tych wielkich zmaganiach o dzieci wsparcie otrzymuje skrajnie lewicowa, ateistyczna, genderowa Barbara Nowacka – i to przeciw katolickim rodzicom, katechetom i nauczycielom, którzy starają się bronić dzieci przed zbrodniczą genderową deprawacją. Oni wszyscy otrzymują niejako cios w plecy. Bo jeżeli zaakceptuje się arcyateistyczną ideologię gender, to nauczanie katolickie o człowieku i małżeństwie trzeba w większości natychmiast wyrzucić do kosza – zauważył ks. Oko.

PRESJA NOWACKIEJ

Chodzi oczywiście o niesławną edukację zdrowotną. Minister Barbara Nowacka wprowadziła ją do szkół po raz pierwszy w 2025 r., ale wówczas rodzicom udało się wywalczyć jej nieobowiązkowość. Kto chciał, mógł się wypisać; wiele osób z tego skorzystało. W tym roku edukacja zdrowotna jest już obligatoryjna. Wypisać można się wyłącznie z komponentu dotyczącego seksualności. Część rodziców i uczniów może jednak tracić motywację do takiego działania, bo przecież na lekcje tego przedmiotu generalnie i tak trzeba chodzić. Co więcej, jak ustalili eksperci zrzeszeni w Koalicji na rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły, treści ideologiczne są obecne również w innych komponentach edukacji zdrowotnej. Jeżeli zatem jakiś nauczyciel zdecyduje się realizować lewicową agendę minister Barbary Nowackiej, to nic nie uchroni ucznia przed konfrontacją z zupełnie niechrześcijańską antropologią.

W ten sposób poprzez szkołę toruje się drogę do zmiany nastawienia społecznego wobec rewolucyjnych zdobyczy. Towarzyszy temu ofensywa rządu w sprawie przepisywania do polskiego systemu prawnego związków jednopłciowych zawartych poza granicami naszego kraju. Ekipa Donalda Tuska przeprowadza bardzo szeroko zakrojoną kampanię na rzecz doszlusowania przez Polskę do libertyńskich „norm" rodem z Brukseli. W efekcie system się domyka: Watykan sugeruje, że homoseksualizm jest „darem od Boga", na lokalnym synodzie w Polsce aktywiści z jakiejś progejowskiej grupy opowiadają, że trzeba walczyć o „inkluzywną wizję i akceptować wszystkich", a wierni, zwłaszcza młodzi, tracą motywację do walki – i tak mamy już homozwiązki czy gender w szkołach…

W czasach komunistycznych Polacy w większości nie dali się złamać czerwonej ideologii, bo mieli silne oparcie w Kościele katolickim. Czy dzisiaj można liczyć na to samo? Arcybiskup Marek Jędraszewski, który do niedawna kierował archidiecezją Krakowa, jasno wskazywał na genetyczną bliskość ideologii marksistowskiej oraz ideologii LGBT. W „Relacji…", o której tu mowa, nie ma po takiej refleksji śladu. Wprost przeciwnie, wizja kreowana przez środowiska LGBT jawi się raczej jako punkt docelowy. To fundamentalna zmiana.

Oby ks. Dariusz Oko miał rację, przekonując, że Polacy pójdą za głosem Jezusa Chrystusa i wielu świętych, a nie za głosem tęczowych ideologów – zarówno w Krakowie, jak i w całym kraju.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 086c9af544



Monika Piątkowska, kandydatka na prezydenta Krakowa, podczas wieczoru wyborczego, 27 września 2026 r.
FOT. JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS

Z Marcinem Palade, socjologiem polityki
rozmawia Ryszard Gromadzki

Prawica w roli statystów

RYSZARD GROMADZKI: Polska to nie Kraków? Jakie wnioski dla głównych graczy sceny politycznej przyniosła I tura wyborów prezydenta Krakowa?

MARCIN PALADE: Tuż po ogłoszeniu prognozy wyników wyborów w Krakowie namnożyło nam się „specjalistów" od przekładania tego, co powiedzieli przy urnach mieszkańcy tego miasta, na politykę ogólnopolską. Przede wszystkim polityków, publicystów, dziennikarzy z kręgu statystyki jedynie patriotycznej. Na czele z liderem PiS. Tymczasem ze względu na duży udział w puli kandydata niepartyjnego, czyli Gibały, nieobecność kandydata Konfederacji i niższą od zwyczajowej frekwencję jakiekolwiek wnioskowanie na poziomie wyższym niż Kraków ośmiesza owych „specjalistów". Wybory lokalne rządzą się swoimi prawami, choć trzeba przyznać, że w wielkich aglomeracjach, takich jak Kraków, pierwiastek partyjny ma większy wpływ na preferencje. Wniosek podstawowy płynący z krakowskiego głosowania? Sojusz prawicy i Gibały, w celu odwołania Miszalskiego, doprowadził do tego, że Gibała, wcześniej związany z PO i Palikotem, ma dużą szansę wziąć Kraków. Jego konkurentką jest kandydatka premiera Tuska, a prawica może się wyłącznie oblizać. A przepraszam. Nie za bardzo może, bo jest zajęta rywalizacją, kto wyszedł zwycięsko z przegranej całej prawicy w Krakowie. Wybory w tym mieście są, z punktu widzenia polityki ogólnopolskiej, dosyć istotne tylko w jednym aspekcie. Rywalizacji, która toczyła się tam między kandydatkami różnych odcieni lewicy. Wyżej została wyceniona ta spod znaku Razem, co mocno dokłada się do perspektywy samodzielnego startu za rok tej partii w wyborach parlamentarnych. Pokonani, czyli Lewica marszałka Sejmu Czarzastego, tym bardziej będą w tej sytuacji pukać do drzwi premiera Tuska i bez warunków wstępnych prosić o zabranie na wspólną listę całej koalicji za rok.

Po Krakowie kolejne wielkie miasta będą „odzyskane" przez mieszkańców z rąk partyjnych karteli?

Zgodnie z tym, co przewidywałem, nie będzie referendum w Warszawie. Nie będzie też w innych dużych miastach, a tylko tam mogłoby to oznaczać nieco większe zainteresowanie mediów. Zapowiadaną falę, po wygranej prezydenta Nawrockiego, a pamiętamy te buńczuczne zapowiedzi prawicowych zakapiorów, jak to Polska zostanie, od najniższego szczebla przy pomocy referendów odwoławczych, odzyskana z rąk Tuska, można sobie, jak większość werbalnej produkcji polityków i mediów prawicowych, włożyć między bajki. Dużo gadania. A efekty? No właśnie, tak jak w Krakowie, że prawica dołożyła się do tego, że drugie co do wielkości miasto w Polsce przejdzie z rąk liberalnego centrolewu z twarzą Miszalskiego w ręce progresywnego centrolewu z twarzą Gibały. Prawica w roli statystów? Z przekąsem moglibyśmy rzec: robią od lat to, co potrafią najlepiej.

Kiedy rozmawialiśmy kilka miesięcy temu, prognozował pan, że notowania Prawa i Sprawiedliwości trwale usytuują się na poziomie poniżej 20 proc. Tak się stało. Teraz należy spodziewać się „mijanki", czyli wyprzedzania PiS w sondażach przez Konfederację?

O ile spadek PiS w okolice 20 proc. po rozłamie był dosyć łatwy do przewidzenia, o tyle dalsze osunięcie, co wiązałoby się z perspektywą mijanki z Konfederacją, wcale nie musi nastąpić. Dlaczego? Bo z PiS odeszli, w większości na zawsze, ci, którzy latami głosowali na partię Kaczyńskiego wobec braku, widocznej na horyzoncie i liczącej się w sondażach, alternatywy. Pozostali głównie ci, którzy preferencje zmienią, a raczej wygaszą, dopiero kiedy staną przed obliczem św. Piotra. Centroprawicowy wyborca ma do wyboru umiarkowany Rozwój Plus. Ten twardszy Konfederację, a przede wszyst-

eprasa.pl 086c9af544

kim mocno tożsamościową, w ujęciu werbalno-happeningowym, Koronę Brauna. Do wyborów może się więc utrzymać względna równowaga między PiS a Konfederacją. Na dziś to jest 5–6 p.p. przewagi partii Kaczyńskiego. Czy ta różnica będzie większa czy mniejsza, zależy od tego, na ile oba ugrupowania będą łowić w innych elektoratach. Innych, bo mają one tylko niewielki zbiór wspólny. PiS może zjadać Rozwój Plus i próbować przyciągnąć swoich ekswyborców z Korony. Konfederacja ma z kolei pole bitewne na centrowo-liberalnym podwórku. Niemal rozebrała do naga PL2050 Hołowni, ale przy pogarszającej się sytuacji gospodarczej w ciągu roku ma szansę na zyski u miękkich wyborców KO z 2023 r. Zresztą na bezruch w polityce nie możemy narzekać, bo od tamtego czasu przeżyliśmy już kilka mijanek. Liderowanie stracił PiS na rzecz KO. Trzecia Droga zdegradowała się, a po jej rozpadzie partie ją tworzące, spadły do pozycji na szarym końcu partyjnego rankingu. Rozpad Lewicy po wyjściu Razem, w połączeniu ze wzrostem poparcia dla twardej prawicy spod znaku Konfederacji i Korony, zepchnął ją na piąte miejsce. Sporo, jak na niecałe trzy lata, a w sumie nieco ponad dwa, bo sezon na mijanki ruszył po eurowyborach w 2024 r.

Gdyby jednak taki scenariusz się spełnił, PiS będzie bardziej skłonny do zawarcia paktu senackiego? Czy uprzedzenie wobec Grzegorza Brauna jest tak silne, że żadnego paktu na prawicy nie będzie?

Wielokrotnie mówiłem o problemie PiS, który sprowadza się do tego, co jest w głowach polityków, a przede wszystkim liderów tej formacji. Przed chwilą mówiliśmy o mijankach. PiS nie tylko nie jest pierwszy w sondażach. Od wyborów w 2023 r. stracił prawie połowę wyborców. Są dziś oni w Koronie, Konfederacji i Rozwoju Plus. Po latach absolutnej dominacji PiS na prawo od centrum decydenci tej partii nie są zdolni do akceptacji faktu, że są liczącym się podmiotem, ale jednym z wielu. Bo to dzieje się tu i teraz. Aby nie być więźniem przeszłości, która nie wróci, trzeba dokonać autorefleksji, zmiany myślenia i działania. Tymczasem oglądając i słuchając to, co mówią Kaczyński i jego ludzie, można odnieść wrażenie, że zatrzymali się w końcówce 2023 r., a może nawet w lecie tego roku, kiedy po ośmiu latach rządzili samodzielnie i byli przekonani, że dostaną od suwerena po raz trzeci władzę. Bez tego przełamania nie ma szans na szeroki pakt senacki i przejęcie po ośmiu latach wyższej izby parlamentu z rąk centrolewu. Zasada jest prosta – albo wszyscy, albo kolejna przegrana centroprawicy. Tu nie ma pośredniego rozwiązania. Rozumie to Konfederacja, która ustami liderów, głównie Mentzena, zapowiada, że wejdzie do paktu, pod warunkiem że będzie obejmował wszystkie cztery podmioty. Zdaje sobie z tego sprawę też Rozwój Plus, choć tam entuzjastów paktowania z Braunem za bardzo nie widać. Są chyba jednak większe pragmatyzm i racjonalność, w odróżnieniu od PiS. Choć ten deficyt nie sprowadza się tylko do Nowogrodzkiej. W rolę spinającego pakt, choć nie bezpośrednio, mógłby, a w zasadzie powinien wejść prezydent Nawrocki. W końcu chodzi o prezydenckie zaplecze polityczne z wyborów w 2025 r., z koniecznością jego pielęgnowania, jeśli myśli o reelekcji, w wyborach w 2030 r. Ostatnie tygodnie przynoszą jednak, łagodnie rzecz ujmując, chłód przechodzący we wrogość ze strony najbliższego otoczenia głowy państwa. W roli głównej „bryluje", wyjątkowo mało sprawny intelektualnie, minister Kolarski. W stosunku do podmiotu – mam na myśli Koronę Brauna, bez której wspomniani notable z Dużego Pałacu, formacja, która ukształtowała ich mentalnie, czyli PiS, o większości w Senacie mogą sobie tylko pomarzyć. A rzecz sprowadza się do tego, by w 100 okręgach, w tym przede wszystkim w 10–15 swingujących, nie wchodzić sobie w paradę. Zamknąć oczy, zacisnąć zęby i pójść po zwycięstwo. Zresztą jest szansa, by to zbliżenie zainaugurować. Pod koniec listopada są wybory uzupełniające w okręgu 20, po śmierci senatora Różańskiego. To jest dla całej centroprawicy trudny okręg, a tym bardziej gdy pójdzie do wyborów rozbita.

Słabnący, grzęznący w kryzysie PiS to zły prognostyk dla szeroko rozumianej prawicy przed przyszłorocznymi wyborami? Może się okazać, że prawicy zabraknie „szabel" do zbudowania większości.

Spójrzmy na to, co mamy realnie. PiS nie ma szans na samodzielną większość. Nie ma jej nawet, gdyby na łono partii matki powrócił Morawiecki. Nie ma, gdyby dorzucić do tego Konfederację. Pomijam, że niekoniecznie by tego chciała, przynajmniej jej część. To oznacza, że wszystkie człony centroprawicy, których suma mandatów sejmowych dawałby bezpieczną większość, dziś co najmniej 250 mandatów, powinny walcząc o swoje, mieć świadomość, że są wyłącznie fragmentem większej całości. Wobec możliwych procesów konsolidacyjnych na centrolewicy, perspektywy pójścia nawet w jednym bloku KO, PSL, PL2050, Unii Centrum i Lewicy, przy rozczłonkowaniu centroprawicy, ważne jest to, co ta czwórka weźmie, każde ugrupowanie z osobna. PiS rosnąc, może osłabić Morawieckiego. No i cóż z tego, że dostanie ok. 30 proc., gdy zatapiając Rozwój Plus, spowoduje, iż suma mandatów, nawet przy założeniu dogadania się z Konfederacją i Koroną, nie da większości? PiS myśli, że osłabiając innych, wróci na poziom 40 proc. Konfederacja i Korona mają nadzieję, że wzmocnią się kosztem upadłego PiS, w nieodległej perspektywie burząc duopol. Tyle tylko że to jest proces rozłożony w czasie. On się już zaczął i nic nie wskazuje, by miał znacząco przyspieszyć do wyborów w 2027 r. Na prawo od centrum trwa więc w najlepsze antytuskowy chocholi taniec dający nadzieję temuż Tuskowi na kolejne cztery lata rządów.

Dezintegracja prawicy to jedyna szansa na utrzymanie władzy przez Tuska?

To ważny element dający nadzieję na kontynuację rządów obozowi Tuska. Skoro nie idzie realizacja obietnic przedwyborczych, pogarsza się kondycja gospodarki, w tym rośnie bezrobocie, szaleją ceny, to przy – co widzimy – ograniczonym oddziaływaniu przykrywania problemów jednodniowymi wrzutkami pozostaje konsolidacja u siebie i pomoc w dezintegracji u przeciwników. To pierwsze już premier Tusk realizuje. Na wiosnę będziemy widzieć tego efekty. Najpierw odświeżony pakt senacki, potem blok sejmowy. A dezintegracja? Tu Donald Tusk nie musi wkładać zbyt dużego wysiłku. Liderzy centroprawicy, mimo że ubrani w koszulki „anty-Tusk", grają w drużynie szefa rządu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Marcin Palade *– socjolog polityki. Od 1997 r. prowadził Ośrodek Badań Wyborczych, a w 2003 r. współtworzył Polską Grupę Badawczą.*

eprasa.pl 086c9af544



FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER

Trybunał Konstytucyjny – w co gra Tusk?



Rafał A. Ziemkiewicz

„Wejdzie, nie wejdzie?" – chciałoby się sparafrazować kabaretową piosenkę z czasów karnawału Solidarności, gdy wszyscy zadawali sobie to pytanie w związku z „bratnią pomocą" Związku Sowieckiego. Od kilku tygodni obóz władzy dozuje napięcie wokół domniemanego „siłowego wejścia" do Trybunału Konstytucyjnego i osadzenia w nim ludzi, których sam Tusk, bez bawienia się w jakiekolwiek pozory, nazywa „naszymi sędziami"

Temat podgrzewają kolejne pogróżki polityków rządzącej koalicji, opinie znanych z entuzjazmu wobec władzy „ekspertów" w sprzyjających władzy mediach, a także wypowiedzi prawników i polityków przestrzegających premiera przed konsekwencjami „siłowego rozwiązania sporu o Trybunał". Pod siedzibą TK Kluby „Gazety Polskiej" zbudowały na wezwanie Republiki miasteczko namiotowe, do którego pielgrzymują politycy Prawa i Sprawiedliwości, by zagrzewać tam do walki w obronie niezależności Trybunału, co Republika transmituje na żywo. Spodziewany i niedwuznacznie zapowiadany szturm na siedzibę Trybunału policji, czy może, jak podczas przejęcia przed trzema laty państwowych mediów, wynajętych przez władzę prywatnych ochroniarzy, wciąż jednak nie nastąpił i wydaje się wątpliwe, aby miał nastąpić przed ukazaniem się niniejszego numeru.

Co tu jest grane? Czy Tusk rzeczywiście gotów jest w trwającym od 13 grudnia 2023 r. pełzającym zamachu stanu przekroczyć Rubikon, za którym nie będzie już powrotu do wymiany władzy

eprasa.pl 086c9af544

w sposób demokratyczny i pokojowy? Jeśli tak – co go od kilku tygodni wstrzymuje? Czy też wszystko to jest grą pozorów, a prawdziwe cele tej gry są zupełnie gdzie indziej?

TRZY WOZY STRAŻACKIE

Kluczowy dla wyjaśnienia tej sprawy wydaje się moment siłowego wejścia do Akademii Wymiaru Sprawiedliwości i zainstalowania tam przez policję, mianowanego z naruszeniem prawa przez Ministra Sprawiedliwości, nowego rektora, skądinąd o wątpliwej reputacji (habilitacja na Słowacji, praktyczny brak cytowań i naukowego dorobku). W przeddzień tego szturmu i rano, na kilka godzin przed pojawieniem się w gmachu uczelni nowego rektora z policją, niektórzy powiązani z obozem władzy dziennikarze nie wytrzymywali napięcia i dzielili się w mediach społecznościowych swoimi przeciekami, że „będzie się działo w Trybunale Konstytucyjnym". Podobne przecieki docierały, jak się potem okazało, także do mediów opozycyjnych, głównie ze strony funkcjonariuszy, którzy, mówiąc o otrzymanych rozkazach i swoim moralnym oporze przed ich wykonaniem, prosili o nagłośnienie sprawy, by jej zapobiec. Wiadomo także, iż na wspomniany weekend sprowadzono do Warszawy znaczne posiłki policyjne z odległych rejonów – w liczbie zdecydowanie przekraczającej potrzeby spacyfikowania ewentualnego oporu w AWS. Zmobilizowane zostały także inne służby. W telewizyjnych relacjach z przejęcia AWS można było zobaczyć oprócz masy policjantów, ustawione pod uczelnią i ledwie się mieszczące w wąskiej ulicy, aż trzy wozy strażackie, choć ani przez moment nic się tam nie paliło. Po co je wezwano? Czy istniał plan wchodzenia gdzieś po strażackich drabinach?

Komentując sprawę na bieżąco, postawiłem tezę, która nadal wydaje mi się najbardziej logicznym, jeśli nie jedynym logicznym wyjaśnieniem sytuacji. Szturm na AWS był w istocie szturmem zastępczym. Spór ministra Żurka z rektorem Sopińskim trwał od trzech lat i mógł równie dobrze trwać jeszcze kolejny rok, a sam atak na uczelnię przebiegał dość bezładnie, policja pojawiała się i odchodziła, ministerstwa Żurka i Kierwińskiego wydawały przez kilka godzin sprzeczne komunikaty – tak jakby całą akcję improwizowano, mimo iż wspomniane wcześniej przecieki kazałyby oczekiwać czegoś przeciwnego. Można więc domniemywać, że w ostatniej chwili Tusk przestraszył się czegoś i nie wydał rozkazu do zaplanowanej akcji na Trybunał. A ponieważ przygotowania zostały już ujawnione, co nakręciło oczekiwania „żelaznego elektoratu", coraz bardziej rozczarowanego nieskutecznością obiecanych mu rozliczeń, premier ostatecznie skierował przygotowane siły przeciwko odziedziczonym po rządach Zjednoczonej Prawicy władzom resortowej uczelni Ministerstwa Sprawiedliwości.

GRUBA SPRAWA

Czego mógł się przestraszyć Donald Tusk? Z całym szacunkiem, raczej nie pojawienia się w miejscu „kipiszu" parlamentarzystów PiS, choćby nawet mieli przyjść z pistoletami do paintballa, ani nie protestów Klubów „Gazety Polskiej" i kamer opozycyjnej telewizji. Na zmianę jego decyzji wpłynąć mogły tylko mocne sygnały o międzynarodowych konsekwencjach planowanej akcji. Przejęcie przemocą Sądu Konstytucyjnego i zastąpienie sędziów swoimi marionetkami, z których część w ogóle nie złożyła wymaganego prawem ślubowania przed prezydentem, część po jego złożeniu demonstracyjnie odmówiła podjęcia obowiązków dopóty, dopóki „nasi sędziowie" nie będą mieli w Trybunale większości, a wskazany przez premiera na przewodniczącego przejętego trybunału polityk, którego Tusk otwarcie nazwał swoją „prawą ręką", w ogóle nie spełnia ustawowych kryteriów wymaganych od kandydata na sędziego TK – to za gruba sprawa, by nie wzbudziła reperkusji międzynarodowych.

Znaczące wydaje się tutaj słabo odnotowane w mediach wydarzenie, jakim było przegłosowanie przez rządzącą większość w Sejmie i Senacie, na krótko przed zapowiadanym szturmem na Trybunał Konstytucyjny, przysłanej z rządu „ustawy o wykonywaniu orzeczeń Europejskiego Trybunału Praw Człowieka". Dziwna ta ustawa, w największym skrócie nakazująca automatyczne wcielanie w życie orzeczeń ETPC jako części porządku prawnego RP, oczekuje obecnie podpisu prezydenta i nie doczeka się go, choćby dlatego, że sprzeczna jest z Konstytucją RP, która jasno określa, że źródłami prawa są w Polsce jedynie ustawy oraz umowy międzynarodowe w zakresie, w jakim zostały prawomocnie ratyfikowane. Prawdopodobnie jednak nawet nie podpisana miała stanowić dla rządu „podstawę prawną" (czy raczej: medialną) do przejęcia Trybunału. Według dziennikarzy „kuluarowych" w obozie władzy od dłuższego już czasu krążyła krzepiąca pogłoska, że „kierownik" załatwił w ETPC wyrok uznający obecnego przewodniczącego TK za nielegalnego. Jak dotąd jednak żadne takie orzeczenie z ETPC nie przyszło – wyjąwszy orzeczenie nakazujące wypłacania sędziowskim nominatom Sejmu, którzy nie złożyli ślubowania, wynagrodzeń, skądinąd także niemieszczące się w traktatowych kompetencjach trybunału z Luksemburga.

Sam fakt, że rząd próbuje załatwiać taką „podstawę prawną" w ETPC, a nie w TSUE, stanowi sygnał, iż dawna życzliwość sędziowskiego ramienia Unii Europejskiej dla „przywracania praworządności" w Polsce osłabła. Jak dotąd bowiem Unia Europejska, a do momentu zmiany prezydenta i co za tym poszło także ambasadora w Warszawie, USA, dawały Tuskowi swoistą „licencję na zabijanie" podczas przejmowania państwa. Otwarcie zresztą mówił o tym ostatnio bezpośredni wykonawca brutalnej akcji w TVP i PAP, Bartłomiej Sienkiewicz, notabene właśnie w spacyfikowanym wtedy państwowym radiu: – wszyscy trzymali kciuki, dobra, załatwcie to [rządy prawicy], może to nie będzie ładne, my na chwilę odsuniemy głowę na bok, ale załatwcie to, żeby to nie wróciło. Nie zrobiliśmy tego… Istotnie, po każdym kolejnym akcie bandyterki, nielegalnym przejęciu mediów, prokuratury, wyrwaniu z Pałacu Prezydenckiego i uwięzieniu dwóch posłów opozycji etc. przyjeżdżali do Warszawy komisarze Jourová i Renders, demonstracyjnie zamykając szeroko oczy na bieżące wydarzenia, a ambasador Brzeziński zapraszał do siebie bezpośrednio odpowiedzialnych za bezprawie ministrów i zamieszczał w mediach społecznościowych selfiki z wyrazami poparcia dla „przywracania praworządności". Sienkiewicz, za swój ówczesny udział w instalowaniu u władzy koalicji Tuska nagrodzony mandatem eurodeputowanego, ma jednak rację: ten czas został zmarnowany, teraz nie ma już takiego przyzwolenia ani ze strony wyborców,

eprasa.pl 086c9af544

o co mniejsza, ani ze strony eurokratów i szefów głównych unijnych państw.

POLITYK SKRAJNIE CYNICZNY

Można domyślić się, że w obecnej sytuacji byłoby Europie trudno nadal udawać, że w Polsce nic się nie dzieje. Z jednej strony – narasta konflikt Unii z USA. Komisja amerykańskiego Kongresu już jakiś czas temu przedłożyła raport, z którego wynika, że w Europie łamane są prawa obywatelskie i podstawowe zasady demokracji. Przyzwolenie na bezprawie w Warszawie mogłoby dać Ameryce kolejny poręczny argument w zaostrzającej się konfrontacji, w której, jak zwykle, w istocie chodzi o pieniądze, o gospodarczą ekspansję amerykańskich firm na europejskich rynkach i powstrzymywanie uzależnienia starego kontynentu od Chin, ale, też jak zwykle, prawdziwe powody ukryte mogą być pod hasłami troski o demokrację. Poza tym, w sytuacji gdy unijne mocarstwa trzeszczą pod naporem rosnących w siłę „populistów", eurokraci stają się ostrożniejsi w tworzeniu precedensów. A co, jeśli po wieszczonym w sondażach prezydenckim zwycięstwie Marine Le Pen, gdy prawie na pewno francuski, do cna lewicowy „deepstate", podniesie analogiczny rokosz, jak działo się to w Polsce po 2015 r., francuscy „populiści" skorzystają z tuskowego wzoru i odważą się na to, na co PiS się nie odważył – na wyegzekwowanie konsekwencji wyborczego zwycięstwa siłą?

Jeśli powyższe rozumowanie jest poprawne, jeśli szturm na AWS był wojną zastępczą, a nie, jak twierdzi większość prawicowych komentatorów, „próba generalną" przejęcia Trybunału Konstytucyjnego (twierdzeniu temu towarzyszyły przewidywania, że ma to nastąpić pod nieobecność Prezydenta, gdy będzie on w Ameryce, co – jak widać – się nie stało) to jak rozumieć podtrzymywanie napięcia przez kolejne tygodnie, po tym, gdy Tusk musiał swych planów poniechać?

Rzecz w tym, że owo napięcie służy bardziej jemu niż opozycji. Wspomniany już Sienkiewicz, polityk skrajnie cyniczny, ale może dlatego przeważnie trafnie odczytujący sytuację, w cytowanej wypowiedzi dla radia stwierdził też, że dla przeciętnego Polaka walka o Trybunał to „jakaś kłótnia na dalekim trawniku, która w żaden sposób go nie dotyczy". Dla

Można domniemywać, że w ostatniej chwili Tusk przestraszył się czegoś i nie wydał rozkazu do zaplanowanej akcji na Trybunał

Prawa i Sprawiedliwości oraz Republiki, która, jak pokazał choćby sposób wykorzystywania przez rząd Przemysława Krala i sprawy Zondakrypto, uważana jest przez Tuska za istotnego przeciwnika, to jednak sprawa niezwykle absorbująca. A tym samym odciągająca opozycję od innych spraw. Już choćby sam fakt, że PiS, zajęty mobilizowaniem obrońców Święczkowskiego, nie udzielił organizacyjnego wsparcia w zbieraniu podpisów pod referendum o odwołaniu prezydenta Warszawy i ostatecznie zakończyło się ono fiaskiem to istotny zysk dla Koalicji Obywatelskiej. W czasie gdy rząd usiłuje przerzucić odpowiedzialność za wysokie ceny paliw na prezydenckie weta, jednocześnie samemu czerpiąc z drożyzny „nadmiarowe zyski", cała opozycja powinna skupić się na uświadamianiu ogółowi społeczeństwa, że połowa ceny paliwa to określane procentowo podatki, które przynoszą dziś rządowi ponadplanowe dochody (z samego tylko VAT – miliard złotych miesięcznie) i które, podobnie jak marżę dominującego na rynku „Orlenu", może rząd zmniejszyć z dnia na dzień, co zresztą obiecywał Tusk, kiedy był w opozycji. Tymczasem kłamliwa narracja władzy o konieczności wprowadzenia z mocą wsteczną jakiegoś nadzwyczajnego podatku praktycznie nie spotyka się z odpowiedzią uplątanej w wojnę o Trybunał opozycji.

SKAZANI NA DOMYSŁY

Dodajmy dwie rzeczy. Po pierwsze, ta wojna dla przeciętnego Polaka jest nie tylko odległa, lecz także wpisuje się w jego oczach w stereotyp „jedni warci drugich". Gdy rządziła jedna ekipa, Giertych ukrywał się za granicą przed Ziobrą, a pod Trybunałem demonstrował KOD, teraz za granicę uciekł Ziobro przed Giertychem, a pod Trybunał przyszły Kluby „Gazety Polskiej"; wniosek oczywisty – co „normalsom" do tej wojny gangów? Po drugie, Tusk nie może nie wiedzieć, że nawet jeśli, narażając się na wszelkie możliwe konsekwencje, wprowadzi do budynku na Szucha swoje sędziowskie kommando na czele z Maciejem Berkiem, ich orzeczenia i tak pozostaną w „bańce" wyznaczonej zasięgiem TVN i mediów koncernu Ringier Axel Springer. Trudno sobie wyobrazić, że, dajmy na to, prezydent USA przestanie uznawać w Karolu Nawrockim Prezydenta RP tylko dlatego, że pan Berek z panem Markowskim ogłoszą, iż jego wybór jest nieważny, bo stwierdził go „neo-Sąd Najwyższy" zamiast „naszego Sądu Najwyższego".

Odnoszę wrażenie, że Tusk wyciągnął wnioski z ośmioletniej nieskuteczności swej partii po roku 2015, gdy usiłowała ona ściągnąć na ulice miliony krzykiem o praworządności, wolnych sądach i okupacją Sejmu, która skończył się upokarzającym „ciamajdanem". I że obecnie to on właśnie wciągnął w powtórkę z „ciamajdanu" przeciwnika. Co stanie się z obecnym miasteczkiem namiotowym, kiedy Tusk będzie dalej propagandowo przeciągał linę z prezesem TK w dotychczasowy sposób, nie decydując się na realizację ponawianych wciąż pogróżek? Prędzej czy później – to samo, co stało się z poprzednim.

Wspomniane na wstępie rozważania „wejdą – nie wejdą" w czasach pierwszej Solidarności ostatecznie okazały się chybione, bo Sowieci wcale nie zamierzali „wchodzić", rozegrali swą partię inaczej, rękami Jaruzelskiego. W kręgach władzy obok opowieści o „załatwionym" wyroku ETPC chodzi też opowieść, jakoby udało się przekupić wystarczającą liczbę „starych" sędziów TK, którzy już tylko czekają na sygnał do odebrania prezesowi immunitetu. Być może to tylko bajki mające podtrzymać bojowego ducha, jak krążące po Berlinie w pierwszych miesiącach roku 1945 zapewnienia o nowej „wunderwaffe", która zostanie niebawem przez führera użyta i zmieni wszystko. A może Tusk ma jeszcze inny plan? A może, co mi osobiście wydaje się najbardziej prawdopodobne, nie ma już żadnego i rozpaczliwie improwizuje z dnia na dzień? Na razie jesteśmy w tej kwestii skazani na domysły.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 086c9af544

Sejmowe klęski aborterów



Kaja Godek

Środowiska prące do legalizacji aborcji nie są w stanie wykorzystać w parlamencie zwycięstwa w wyborach w 2023 r. Powstała przy Sejmie „Pierwsza Aborcyjna Przychodnia w Polsce" również okazuje się kulą u nogi aborterów

Zapewne niewielu czytelników ma świadomość, że w Sejmie funkcjonuje komisja do spraw aborcji. Jej oficjalna nazwa to „Komisja Nadzwyczajna do rozpatrzenia projektów ustaw dotyczących prawa do przerywania ciąży" i jest to jeden z najdziwniejszych tworów, które wydał z siebie parlament obecnej kadencji. Celem jej istnienia jest wybranie konkretnych grup ludzi, które należy wyjąć spod prawa i pozwolić na ich zabijanie. Zdominowana przez radykalną lewicę komisja miała pokazać, że Polska potrzebuje aborcji, Polki na aborcję czekają, a jako społeczeństwo dorośliśmy już do „światłego" rozwiązania: zalegalizowania w naszym kraju mordowania ludzi na wielką skalę i bez ograniczeń.

Tymczasem przez dwa i pół roku swojego istnienia komisja pokazała coś dokładnie odwrotnego: nikt na aborcję jakoś specjalnie nie czeka, a nawet więcej – opór przeciw aborcji nabrzmiewa. Komisja udowodniła to tak bardzo, że aż… przestała obradować. I słusznie, bo rozmowa o legalizacji zabijania niewinnych ludzi sama w sobie jest skandalem. Komisja powinna nie tyle przestać się zbierać, ile w ogóle rozwiązać się i przeprosić, że kiedykolwiek powstała.

OBALIĆ WYROK

Rząd Donalda Tuska i zawiązana w grudniu 2023 r. koalicja od początku wzięli na tapet kwestię aborcji. Oczywiście każda partia idzie do wyborów z jakimś programem, ale to, że właśnie legalizacja zabijania poczętych dzieci stała się pierwszym i najważniejszym postulatem Koalicji 13 grudnia, zwraca uwagę: projekty dekryminalizacji i/lub legalizacji aborcji (w różnych formach, prowadzących w największym skrócie do jednego – do absolutnej rzezi dzieci pod jakimkolwiek pretekstem) z hukiem wjechały na sejmową agendę już w pierwszych tygodniach po uformowaniu nowego rządu. Prezentacji kolejnych ustaw proaborcyjnych towarzyszyły śmiało formułowane hasła o konieczności „obalenia wyroku TK o aborcji eugenicznej" – co samo w sobie było już zapowiedzią tego, jak nowa władza traktować będzie ustrój państwa (delikatnie mówiąc – doraźnie i wybiórczo), pozorując odwrócenie wyroków najwyższych sądów w Polsce poprzez ustawy, rozporządzenia bez delegacji ustawowej, a nawet wydawanie opinii, które prezentowane na głośnej konferencji prasowej stwarzają wrażenie, jakoby były źródłem prawa.

Przy okazji przytyk do niektórych środowisk nominalnie konserwatywnych: gdy wy opowiadacie, że prawica musi najpierw zająć się ekonomią, polityką zagraniczną czy czymkolwiek innym, a ochrona życia to „temat zastępczy", miejcie świadomość, że wasi przeciwnicy aborcję traktują jak oczko w głowie i bardzo się cieszą, że wy nie chcecie jak najszybciej zwiększać poziomu ochrony życia. Dla liberałów sprawa legalizacji zabijania jest absolutnie kluczowa. To dla nich pierwsze zadanie, gdy tylko zdarzy się zyskać choć trochę władzy.

KLĘSKA OSK

Wiosną 2024 r. cztery projekty legalizujące aborcję przechodzą przez pierwsze czytanie w Sejmie. Dlaczego jest ich aż tyle? Bo każda frakcja polityczna chce zabłysnąć przed własnym elektoratem. 12 kwietnia 2024 r. powstaje wspomniana komisja nadzwyczajna do spraw aborcji, która ma przeanalizować wszystkie projekty, poddać je pod dyskusję i zarekomendować w kolejnym głosowaniu w Sejmie. Przewodniczącą komisji zostaje Dorota Łoboda z KO, która przed objęciem mandatu poselskiego zasiadała w Radzie Konsultacyjnej Ogólnopolskiego Strajku Kobiet (OSK). Współpracowała tam z Martą Lempart i wraz z nią śniła o potędze politycznej środowiska OSK, gdy uda się już odsunąć PiS od władzy.

Pierwszą decyzją prezydium komisji było zorganizowanie wysłuchania publicznego. Pomysł w zamyśle doskonały – na start swoich prac podeprzeć się głosem społecznym, organizacjami aborcyjnymi, pokazać siłę, dać mikrofon aktywistkom, które udowodnią, jak bardzo potrzeba nowych ustaw! „Wysłuchanie społeczeństwa obywatelskiego w procesie stanowienia tak ważnego prawa jest naszym poselskim obowiązkiem" – mówiła Łoboda, nie wiedząc jeszcze, że za chwilę coś ją mocno zaboli. Okazuje się bowiem, że pani przewodnicząca i jej koleżanki z prezydium (m.in. Anna Maria Żukowska) popełniają kardynalny błąd: wierzą we własną propagandę, która przekonuje Polaków, iż zwolenników aborcji jest więcej niż jej przeciwników.

eprasa.pl 086c9af544



Posiedzenie komisji nadzwyczajnej do spraw aborcji, czerwiec 2024 r. Od lewej: Anna Maria Żukowska, Dorota Łoboda, Ewa Szymanowska
FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER

Na wysłuchanie publiczne – otwarte posiedzenie komisji, na które może przyjść i zabrać głos każdy polski obywatel, wystarczy się wcześniej zarejestrować – dociera trzy razy więcej obrońców życia niż aborcjonistów. A te feministyczne aktywistki, które w ogóle wchodzą do Sejmu, już po kilku pierwszych wystąpieniach załamują się i wychodzą.

„Obiecali nam legalizację aborcji, a nie 12-godzinną debatę, czy moja koleżanka może o sobie decydować" – to słowa Natalii Broniarczyk z Aborcyjnego Dream Teamu (ADT), która ostentacyjnie opuszcza Salę Kolumnową i od tego momentu jest ciężko obrażona na komisję za przegrane wysłuchanie. W środowiskach skrajnej lewicy widać strach. „Sejmowe wysłuchanie publiczne w sprawie aborcji dowodzi, że referendum to bezsens" – pisze „Krytyka Polityczna". Jej dziennikarze najwyraźniej utracili wiarę w demokrację, widząc, że oddanie głosu ludziom przyniosło efekt inny niż spodziewany. Ostrze swojej publicystyki lewicowy periodyk kieruje w stronę marszałka Sejmu Szymona Hołowni, promotora pomysłu referendum, który nie chce słuchać organizacji aborcyjnych.

KONFLIKT INTERESÓW

Od tamtej pory komisja spotka się jeszcze cztery razy. Raz, by powołać na stałego doradcę działaczkę grupy Prawniczki Pro Abo Sabrinę Manę-Walasek. Jest to adwokat broniąca m.in. Justyny Wydrzyńskiej z ADT, która jest sądzona za pomoc w zabiciu poczętego dziecka tabletkami poronnymi. Mana-Walasek prowadzi kilka podobnych spraw w sądach, broniąc podsądnych oskarżonych o pomocnictwo w aborcji. Jednocześnie ma doradzać komisji, która zajmuje się projektem dekryminalizacji pomocnictwa; z góry wiadomo, że doradzi, aby za współudział w aborcji nie karać. Jeśli będzie skuteczna i prawo się zmieni, to automatycznie wygra sprawy swoim klientom. A jeśli jest umówiona na „success fee", to zgarnie od nich dodatkowe pieniądze za wygraną. Konflikt interesów? Prezydium komisji w takie drobiazgi nie wnika, niech pani Sabrina pisze z nami prawo!

W lipcu 2024 r. odbywa się ostatnie posiedzenie komisji. Udaje się przegłosować rekomendację dla Sejmu, aby posłowie uchwalili ustawę o dekryminalizacji aborcji. Na sali plenarnej ustawa zostaje jednak odrzucona w całości. W głosowaniu wyłamuje się m.in. PSL, które orientuje się, że aborcyjna komisja to pomysł na to, aby je zmarginalizować. Ludowcy mają już dość przymuszania ich do realizacji cudzego programu.

Do komisji pielgrzymują kolejni politycy koalicji, którzy próbują jakoś załatać dziury w parlamentarnej arytmetyce i przekonać, że którąś z ustaw jednak trzeba uchwalić. Poseł Dorota Łoboda spotyka się m.in. z marszałkiem Sejmu Szymonem Hołownią, w proaborcyjny lobbing angażuje się także wicemarszałek Monika Wielichowska. Rozmowy z sali obrad przenoszą się do kuluarów i nad talerze w sejmowej restauracji.

WSTYDLIWY TEMAT

Po drodze jest kampania prezydencka, jednak mało kto podnosi wtedy kwestię legalizacji aborcji. Nie chce o niej mówić nawet Adrian Zandberg. Kandydat partii Razem uważnie analizuje bliskie sobie uniwersum i wybiera z niego hasła o mieszkalnictwie socjalnym i prawach pracowniczych – to te sprawy mają go ponieść w kampanii. Sztab Zandberga wyjątkowo rozumie, że aborcja ich teraz nie „rozbuja". W odpowiedzi środowisko proaborcyjne promuje narrację, jakoby zostało zdradzone. Zostaje mu już tylko Magdalena Biejat. Finalnie nie zarabia na tym jednak politycznych „kokosów", ponieważ w wyborach dostanie raptem 4 proc. głosów.

Nie ma dobrego klimatu dla aborcji także dlatego, że właśnie wiosną 2025 r. „Gazeta Wyborcza" nagłaśnia temat dziewięciomiesięcznego Felka, któremu Gizela Jagielska zrobiła śmiercionośny zastrzyk w serce w szpitalu w Oleśnicy. Redaktorzy z Czerskiej oceniają najprawdopodobniej, że ich publikacja pomoże Jagielskiej i znormalizuje tzw. późną aborcję. Tymczasem wybucha skandal, bo ludzie nie mogą uwierzyć, jak można zabić prawie noworodka bolesnym zastrzykiem w serce. W „zaściankowej" Polsce społeczeństwo pokazuje, że wciąż nie dojrzało do nowoczesności…

Rafał Trzaskowski, wtedy kandydat na prezydenta, kilkukrotnie odwołuje spotkanie z wyborcami w Oleśnicy. Atmosfera wokół tej dolnośląskiej miejscowości nie sprzyja robieniu pozytywnej kampanii, a Trzaskowski nie chce być postawiony w sytuacji, gdy będzie musiał bronić radykalnej aborcjonistki, o którą w Oleśnicy ktoś na pewno zapyta.

W tym samym czasie zwolennicy aborcji próbują jeszcze raz wywrzeć wpływ na posłów. Jednak efekt jest przeciwny do ich zamierzeń. 8 marca 2025 r. Aborcyjny Dream Team tuż przy Sejmie otwiera ośrodek aborcyjny „AboTak". Jednak ściąga w ten sposób na siebie tak zmasowaną i zdecydowaną reakcję pro-liferów, że nikt już nie może twierdzić, iż wszyscy Polacy tylko czekali na miejsce, gdzie będzie można od ręki usuwać niechciane dzieci.

Od pierwszego dnia funkcjonowania „AboTak" jest w zasadzie sparaliżowany. Środowisko, które do tej pory operowało wyłącznie drogą zdalną – przez e-maile i telefony – otworzyło fizyczną

eprasa.pl 086c9af544



siedzibę, przy której obrońcy życia mogą zgłaszać pikiety i robić akcje uliczne z bannerami, nagłośnieniem, publiczną modlitwą i wystąpieniami przeciw aborcji. Do tej pory trudno było „złapać" aborterów za rękę, ale teraz jest to już możliwe! Tu, blisko, na parterze, za szybą! Do tego obrona życia poprzez uliczne pikiety okazuje się wyjątkowo skuteczna. Na forach aborcyjnych w Internecie pojawiają się wpisy, że do Warszawy nie ma co jechać na aborcję, bo na Wiejskiej jest niespokojnie i nie ma tam za bardzo warunków, żeby wziąć tabletki, zrelaksować się i poronić.

„AboTakiem" interesują się nie tylko obrońcy życia. Istnienie tego punktu zwraca także uwagę środowisk medycznych. Nawet ci ginekolodzy, którzy nie sympatyzują z pro-liferami, po cichu przyznają, że Aborcyjny Dream Team stał się dla wszystkich problemem. Bo jeśli w końcu doszłoby tam do jakiejś tragedii – w warunkach, gdy nie ma tam lekarza, położnej ani nawet pielęgniarki – to kobieta z komplikacjami trafi na SOR któregoś ze szpitali w Śródmieściu w Warszawie. Jeśli nie przeżyje – a tabletki poronne mogą spowodować śmierć matki – to lekarze, którzy pacjentki nie odratowali, będą mieli podobne problemy, jak ci z Pszczyny. Czyli wieloletni proces o błąd medyczny (choć aborcję zaczął ktoś inny), ryzyko skazania i zawieszenia prawa wykonywania zawodu. Nikt z medyków nie chce takiej „tykającej bomby" w pobliżu swojego miejsca pracy. Możesz być za aborcją, możesz nawet sam ją przeprowadzać na swoim oddziale, ale nie chcesz ponosić takiego ryzyka! Dlatego zależy ci, żeby punkt z wydawanymi lekką ręką tabletkami poronnymi znikł z twojego miasta.

AWANTURA

Na te wszystkie problemy ruchu aborcyjnego nakładają się kolejne – coraz bardziej widoczne i całkowicie otwarcie artykułowane.

W styczniu 2025 r., na posiedzeniu Parlamentarnego Zespołu Praw Kobiet, dochodzi do starcia pomiędzy Aborcyjnym Dream Teamem a posłankami, m.in. Wandą Nowicką, Dorotą Łobodą, Marceliną Zawiszą i Dorotą Olko. Proaborcyjne posłanki zostają zaatakowane za to, że wciąż nie doszło do legalizacji aborcji. Te w odpowiedzi zrzucają winę na Donalda Tuska, PSL i generalnie jakość koalicji. Wywiązuje się kłótnia, w trakcie której aktywistki ADT żądają, aby – wobec braku legalnej aborcji – przynajmniej dać im pieniądze na oferowanie aborcji nielegalnie. Wszystko się nagrywa, krąży potem po sieci, a internauci komentują, że brakuje już tylko nagrania, „jak targają się za kudły".

Tak wygląda społeczne tło działania komisji nadzwyczajnej do spraw aborcji. Zaplecze już nie ufa temu gremium, komisja kilkakrotnie ośmieszyła się i dała dowód, że nie zdobędzie poparcia. Co kilka miesięcy pojawia się jednak alarm, że wkrótce komisja znowu się zbierze. W ciągu ostatnich dwóch lat takie alarmy były co najmniej trzy, ostatni pod koniec września tego roku (planowane na poniedziałek posiedzenie spada z agendy w piątek wieczorem). Oficjalny powód: Ministerstwo Zdrowia nie zdążyło z niezbędną ekspertyzą. Nieoficjalny: zbyt duże zainteresowanie. I to zainteresowanie z tej „niewłaściwej" strony światopoglądowego sporu…

KRWAWE SREBRNIKI

Aborcyjne aktywistki płaczą w social mediach i wypominają prezydium komisji, że mimo braku posiedzeń przewodnicząca i jej zastępczynie co miesiąc dostają dodatki za „pracę". Dorota Łoboda wzięła już w sumie 74 tys. zł, cztery inne posłanki z prezydium – od 37 do 55 tys. zł każda. W sumie podatnicy wypłacili 277 tys. zł posłankom, które mają ustalić, kogo i jak mordować.

Powiedzmy sobie szczerze: to już coś więcej niż strata pieniędzy. To krwawe srebrniki, przeznaczane na cel, który w parlamencie nigdy nie powinien być realizowany.

Tym bardziej że od momentu powstania komisji do chwili obecnej zaszła jeszcze jedna ważna zmiana – w Pałacu Prezydenckim. Na końcu legislacyjnych przepychanek jest przecież weto prezydenta Nawrockiego. Nie ma zbyt wielu chętnych, aby dołączyć do grona przyszłych przegranych; upadek każdej z aborcyjnych ustaw jest bowiem przesądzony. Dorota Łoboda może więc sobie truchtać po sejmowych korytarzach w poszukiwaniu chętnych do poparcia aborcji, może tupać nóżką, ale dla kolegów z sejmowych ław nie ma żadnej ciekawej oferty, a jedynie perspektywę współudziału w nieuchronnym blamażu.

Komisja nadzwyczajna do spraw aborcji nigdy nie powinna powstać. Dziś byłoby najlepiej, gdyby jak najszybciej się rozwiązała

Komisja do spraw aborcji została skutecznie obezwładniona i trzeba tu oddać szacunek przede wszystkim wielu ludziom dobrej woli, którzy – czasem zupełnie wbrew nadziei – szli na wysłuchanie publiczne, by bronić życia w miejscu wrogim temu życiu, protestowali na ulicach, pod Sejmem i w Internecie. I tym, którzy poszli na wybory prezydenckie, nawet jeśli mieli wątpliwości, czy i jak głosować.

Komisja nadzwyczajna do spraw aborcji nigdy nie powinna powstać. Dziś byłoby najlepiej, gdyby jak najszybciej się rozwiązała i złożyła publiczną samokrytykę. To gremium służy wyłącznie zaspokajaniu ego proaborcyjnych posłanek i jest narzędziem do wyłudzania pieniędzy podatnika. A cel jej działania jest sprzeczny z konstytucją, prawem naturalnym i zdrowym rozsądkiem.

Po co utrzymywać ten skandaliczny byt?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest członkiem Zarządu Fundacji „Życie i Rodzina" (ratujzycie.pl).

eprasa.pl 086c9af544


FOT. ADOBE STOCK

Policja niedoszkolona



Łukasz Warzecha

24 września na służbie zginął sierżant Natan Sieroń. Policjant miał 29 lat. Uczestniczył w akcji na posesji 33-letniego podejrzanego o kradzież w Kraśniku Górnym na Dolnym Śląsku

Podejrzany pojawił się w trakcie działań policji i zaczął strzelać, co ważne, z broni posiadanej nielegalnie. Młody funkcjonariusz został trafiony w głowę i mimo szybkiej akcji ratunkowej zmarł następnego dnia w szpitalu. Sprawca został ujęty. Szacunek dla zabitego na służbie policjanta nie powoduje jednak, że nie należy stawiać pytań o przebieg akcji czy o poziom jego wyszkolenia. Tymczasem tak właśnie chciałaby rzecz zamknąć policja.

PRZEWAGA PRZESTĘPCY

Śmierć sierżanta Sieronia skomentował na X Marcin Możdżonek, prezes Polskiego Związku Łowieckiego i zarazem polityk Nowej Nadziei, partii Sławomira Mentzena, stanowiącej jeden z członów Konfederacji. Wytknął policji, że wysyłanie na akcję niedoszkolonych funkcjonariuszy kończy się tragedią, a dzieje się tak, jako że formacja ma problemy kadrowe. Wskazał na to, że policjanci za mało ćwiczą z bronią i są to w dodatku szkolenia statyczne na zamkniętych strzelnicach zamiast szkoleń dynamicznych. Możdżonek ma rację: prawdopodobnie znacznie lepsze przygotowanie do szybkich reakcji z bronią w ręku ma przeciętny cywil uprawiający strzelectwo w ramach IPSC (International Practical Shooting Confederation – Międzynarodowa Konfederacja Strzelectwa Praktycznego) czy jeszcze bardziej według standardów IDPA (International Defensive Pistol Association – Międzynarodowe Stowarzyszenie Strzelectwa Obronnego). W tej ostatniej dyscyplinie kładzie się szczególny nacisk na posługiwanie się bronią niezmodyfikowaną w warunkach możliwie najmocniej przypominających autentyczne.

Możdżonek napisał również, że funkcjonariusze nierzadko obawiają się użycia broni nawet w sytuacjach podbramkowych, ponieważ państwo niekoniecznie staje potem po ich stronie. Wreszcie stwierdził, że „przestępca ma nad funkcjonariuszem wyraźną przewagę psychologiczną i taktyczną, policjant strzela w ściśle określonym celu obezwładnienia, podczas gdy napastnik dąży do zabójstwa". Faktycznie, takie zasady wynikają z Ustawy o broni palnej i środkach przymusu bezpośredniego, która reguluje używanie tych narzędzi przez służby, w tym policję. Artykuł 7 tego aktu mówi, że „środków przymusu bezpośredniego lub broni palnej używa się lub wykorzystuje się je w sposób wyrządzający możliwie najmniejszą szkodę" oraz dalej: „Podejmując decyzję o użyciu lub wykorzystaniu broni palnej, należy postępować ze szczególną rozwagą i traktować jej użycie jako środek ostateczny".

Ustawa nie zawiera kontratypu, który zwalniałby funkcjonariusza z odpowiedzialności w przypadku, gdy na drobiazgową ocenę brakowało czasu lub gdy agresor działał z wyraźnym zamiarem pozbawienia policjanta życia. Częściową zmianę tego stanu rzeczy proponował kilka miesięcy temu Związek Zawodowy „Policyjna Solidarność" (nie mylić z NSZZ „Solidarność" Policjantów). We wspomnianej wcześniej ustawie miał się znaleźć dodatkowy przepis, który ograniczałby odpowiedzialność policjantów za naruszenie restrykcji w użyciu broni palnej do sytuacji, kiedy funkcjonariusz „wiedział i nie miał wątpliwości, że działa w sposób inny niż wskazany w przepisach". Ta propozycja wzbudzała jednak zrozumiałe obawy, bo aby ukarać policjanta za nadużycie środków przymusu lub broni palnej trzeba by mu wykazać, że działał z pełną świadomością naruszenia prawa – a to byłoby niezmiernie trudne, o ile w ogóle możliwe.

Na przytoczony wyżej wpis Marcina Możdżonka zareagował rzecznik Komendy Głównej Policji podinsp. Andrzej Fijołek. Była to reakcja tak kuriozalna, że trzeba ją zacytować w całości:

Policja liczy obecnie niemal 104 tys. funkcjonariuszy – najwięcej w swojej historii. Poziom wakatów wynosi około 6 proc. Nie ma zatem żadnych podstaw, by tragiczną śmierć sierż. Natana Sieronia przedstawiać jako skutek sytuacji kadrowej Policji.

Funkcjonariusz wykonywał obowiązki służbowe. Miał na sobie kamizelkę z napisem „POLICJA", a mimo to sprawca oddał w jego kierunku strzał. To działanie napastnika doprowadziło do śmierci policjanta – nie jego dwuletni staż, liczba wakatów ani formułowane dziś, bez znajomości pełnych ustaleń, tezy dotyczące szkolenia.

Dyskusja o doskonaleniu Policji jest potrzebna, ale proszę nie uprawiać polityki na tragedii i śmierci funkcjonariusza. Śmierć policjanta wymaga szacunku i odpowiedzialności za słowo, a nie budowania politycznej narracji.

Apel, aby nie uprawiać polityki „na śmierci funkcjonariusza", jest w oczywisty sposób obłudny. To tragiczne zdarzenie jest przykładem skutków problemów,

eprasa.pl 086c9af544

o których pisze Marcin Możdżonek. Te problemy pozostają ukryte i nic się wokół nich nie dzieje, dopóty dopóki nie zdarzy się coś, co przyciąga uwagę opinii publicznej – zwykle niestety na bardzo krótko, tak jak właśnie zabójstwo policjanta na służbie. Policja zaś jest niestety służbą całkowicie podporządkowaną politycznie, będzie więc, szczególnie na poziomie Komendy Głównej, bronić swoich politycznych mocodawców. Tak jest teraz, tak samo było za poprzedniej władzy, która się swoim policyjnym sojusznikom odwdzięczała, tak jak inspektorowi Jarosławowi Szymczykowi, któremu za rządów PiS nie spadł włos z głowy z powodu odpalenia w budynku KGP granatnika nielegalnie przywiezionego z Ukrainy. Było to skrajnie demoralizujące dla szanujących prawo policjantów.

Fakt, że policja liczy 104 tys. funkcjonariuszy, paradoksalnie potwierdza tezy Marcina Możdżonka. Wakaty udaje się bowiem zapychać znaczącym obniżeniem standardów. Ustępstwa zaczął robić już rząd PiS, m.in. zezwalając w regulaminie musztry, określającym umundurowanie i wygląd policjantów, na posiadanie widocznych podczas służby tatuaży.

Dramatem jest zaś przede wszystkim czas trwania kursu podstawowego w policji. Ten bowiem nie zmienił się od lat, mimo dawnych obietnic komendanta Szymczyka, i nadal wynosi zaledwie sześć i pół miesiąca. Jest to jeden z najkrótszych czasów przygotowania do pracy w policji w Europie. Dla porównania: we francuskiej Police Nationale kurs podstawowy na najniższy poziom Gardien de la paix (odpowiednik korpusu posterunkowych i sierżantów policji) trwa rok, a następnie kolejny rok poświęca się na wdrażanie do zawodu w praktyce. Również rok trwa szkolenie rekrutów do żandarmerii (Gendarmerie Nationale). W Wielkiej Brytanii nie ma odpowiednika polskiego skoszarowanego kursu, ale dwuletni kompleksowy program wejścia do zawodu (Police Constable Entry Programme). Nawet dłuższy, bo trwający aż dwa i pół roku, jest podobny program przystosowania zawodowego (Grundausbildung) w niemieckiej Bundespolizei (policji federalnej; poszczególne kraje związkowe mają też własne organizacje policyjne). Z tego okresu pięć i pół miesiąca to praktyki, odbywane np. w policji granicznej (Grenzpolizei) lub w służbie na lotniskach.

GOŁĘBIE SERCA

Wniosek jest jasny: na polskie ulice wychodzą funkcjonariusze niedoszkoleni, w dodatku rekrutowani w oparciu o obniżone kryteria zarówno fizyczne, jak i psychologiczne. Wskutek tego pojawiają się potem takie kurioza jak tzw. sweet focię dwóch wypielęgnowanych policjantek z Gryfic, które cyknęły sobie selfika z „uratowanym" gołębiem. Dumna z wyczynu funkcjonariuszek miejscowa komenda zdjęcie wrzuciła na stronę i opisała: „Nietypowa interwencja przydarzyła się wczoraj policjantkom z Gryfic. Podczas służby zostały wezwane na interwencję do gołębia, który nie był w stanie latać. Funkcjonariuszki podjęły interwencję, aby zapewnić zwierzęciu bezpieczeństwo i uchronić je przed dalszymi obrażeniami. Gołąb został zabezpieczony, a następnie przekazany pod odpowiednią opiekę". Obie panie, skądinąd całkiem urodziwe, prezentują się w nienagannym makijażu, a jedna z nich ma spięte, ale wiszące luźno piękne, długie włosy.

Ta scenka jest symboliczna dla stanu polskiej policji: policjantki zajmujące się nielatającym gołębiem – a więc nie zajmujące się w tym czasie niczym innym – wyszykowane jak na pokaz mody nie dają pewności, że z równą skutecznością będą umiały zmierzyć się z realnym zagrożeniem. Ta z nich, która powiewa włosami, pokazuje w dodatku całkowity brak wyobraźni – u niej i u jej przełożonych, długie, nieupięte włosy nadają się bowiem znakomicie do tego, żeby za nie złapać.

Ale bywają i konsekwencje znacznie poważniejsze. W Bolkowie w ubiegłym roku funkcjonariusz, usiłując zatrzymać pod Biedronką skradziony pojazd, oddał strzały w jego kierunku, lekceważąc zasady oczywiste dla każdego cywilnego posiadacza broni: strzelał w dół, tak że pocisk zrykoszetował o nawierzchnię i trafił, szczęśliwie niegroźnie, drugiego policjanta stojącego po przeciwnej stronie zatrzymywanego samochodu. Nie zawsze sytuacja kończy się względnie szczęśliwie. W 2024 r. na ulicy Inżynierskiej w Warszawie niedoświadczony funkcjonariusz pionu kryminalnego oddał strzał w kierunku kolegi z innego patrolu, zabijając go. W tej sprawie rzecznik komendanta także apelowałby, żeby „nie robić polityki"? Przecież te zdarzenia układają się w logiczny ciąg.

W odpowiedzi rzecznika KGP szczególnie absurdalny jest fragment, który mówi o tym, że sierżant Sieroń został trafiony przez zabójcę, choć miał na sobie kamizelkę z napisem „policja". Kamizelkę, dodajmy, niekuloodporną. Czy rzecznik chce powiedzieć, że policjanta ma chronić napis „policja" na odblaskowej kamizelce, a nie umiejętności strzeleckie, dobry wywiad kryminalny czy przewidujący przełożeni?

Trudno nie przypomnieć sobie słynnej sceny z „Psów" Władysława Pasikowskiego, w której kompletnie nieprzygotowana ekipa policjantów (w większości byłych esbeków) próbuje zatrzymać mafiosów w motelu, co dla tych pierwszych kończy się masakrą. Od premiery kultowego obrazu minęły 34 lata, a można odnieść wrażenie, że historia zatoczyła koło. Tak jak bohaterowie „Psów" nie byli kompletnie gotowi na starcie z brutalną przestępczością początku lat 90., tak dzisiaj policjanci ratujący gołąbki nie są gotowi na zmierzenie się z coraz brutalniejszą przestępczością imigrantów, i nie tylko.

Relacje, które po tragedii w Kraśniku pojawiły się mediach, wskazują, że na miejscu było zaledwie kilku funkcjonariuszy – w krytycznym momencie miało ich być tylko sześciu. Mężczyzna, który podejrzewany był o kradzież, nie został zidentyfikowany jako niebezpieczny, nie wezwano więc wyspecjalizowanego pododdziału odpowiadającego za tzw. realizacje. Wydział Spraw Wewnętrznych będzie zapewne sprawdzał, dlaczego tak się stało, ale najpewniej o wynikach tego wewnętrznego dochodzenia niczego się nie dowiemy.

Policja realizuje dziś głównie dwa cele: wypełnia polityczne polecenia rządzących (zarówno obecnych, jak i poprzednich – przypomnijmy sobie jej kuriozalne działania podczas pandemii) oraz robi propagandę, epatując w mediach społecznościowych łzawymi historyjkami o uratowanych gołębiach czy niespodziewanym pilotażu do szpitala. Pod warstwą PR kryją się strukturalne problemy, które bezpośrednio wpływają na nasze codzienne bezpieczeństwo. Niedoszkoleni, niedoświadczeni policjanci to nie tylko zagrożenie dla nich samych, lecz także dla nas. W najlepszym razie nas nie obronią, a w najgorszym – postrzelą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 086c9af544



Urząd pełen empatii?

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Deklarowała, że będzie rzecznikiem, który zawsze staje po stronie dzieci. Dziś sama znalazła się w ogniu krytyki. Monice Hornie-Cieślak zarzuca się przekraczanie granic urzędniczej interwencji, a jej biuro mierzy się z oskarżeniami o mobbing

Monika Horna-Cieślak podczas konferencji prasowej PSL i Rzecznika Praw Dziecka, 26 marca 2026 r. FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

Oficjalna biografia urzędującej od grudnia 2023 r. rzecznik praw dziecka Moniki Horny-Cieślak brzmi jak historia osoby stworzonej do tej funkcji. Prawniczka i działaczka społeczna, która tematem praw dziecka interesowała się od nastoletniości. Skończyła prawo na warszawskim Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego i zrobiła to z wyróżnieniem. Była członkiem Komisji Praw Człowieka przy Naczelnej Radzie Adwokackiej, gdzie przewodniczyła Sekcji Praw Dziecka i działała w komisji do spraw współpracy z sądami przy Okręgowej Radzie Adwokackiej w Warszawie. Weszła we współpracę z Radą Europy. Reprezentowała dzieci i młodzież w postępowaniach sądowych. „Udzieliłam tysięcy konsultacji prawnych na rzecz osób młodych. Spędziłam z osobami młodymi tysiące godzin na komisariatach policji, w prokuraturze, w sądzie i własnej kancelarii adwokackiej" – informuje Horna-Cieślak.

Pani Rzecznik ma też na koncie nagrody i wyróżnienia – w konkursie „Prawnik Pro Bono 2019", zwycięstwo w „Rising Stars – Liderzy Jutra 2019", miejsce w gronie „25 najlepszych prawniczek w biznesie" magazynu „Forbes Women". Na stanowisko RPD zgłosiły ją wspólnie kluby tworzące nową większość parlamentarną: Koalicja Obywatelska, Lewica, PSL-Trzecia Droga i Polska 2050-Trzecia Droga. Przekonywano, że po uznawanym za prawicowego radykała Mikołaju Pawlaku Horna-Cieślak w końcu zamiast zajmować się ideologią, zajmie się dobrem dzieci. Ona sama obiecywała: „Rzeczą nową w urzędzie, która nie funkcjonowała dotąd w stopniu, moim zdaniem, potrzebnym, będzie oddanie głosu młodym osobom. Sprawienie, że staną się pełnoprawnymi uczestnikami rozmowy o ich prawach".

Biuro RPD chwali się, że pod nowym kierownictwem urząd podjął 3390 spraw karnych – o 47 proc. więcej niż rok wcześniej i aż o 112 proc. więcej niż w 2023 r. Monika Horna-Cieślak przekazała podczas dorocznego sprawozdania w Sejmie, że chodziło najczęściej o przemoc domową, wykorzystywanie seksualne, zaniedbania, przemoc fizyczną i psychiczną czy sprawy dotyczące śmierci dzieci. Biuro złożyło 298 zawiadomień o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, 54 zażalenia na odmowy wszczęcia postępowania, 92 wnioski o zwierzchni nadzór prokuratorski i 10 kasacji do Sądu Najwyższego.

PRZEMOC INSTYTUCJONALNA

Zwolennicy stylu obecnego rzecznika podkreślają, że nareszcie urząd pełni osoba aktywna i zaangażowana. Sęk w tym, że głośniej niż o osiągnięciach Horny-Cieślak jest o kolejnych skandalach z jej udziałem. Niedawno wybuchł największy kryzys jej kadencji. W sierpniu Monika Horna-Cieślak była na warszawskiej Białołęce świadkiem sytuacji, w której matka szarpnęła małe dziecko i na nie krzyczała. Według matki emocje były wywołane obawą o dziecko, które nagle weszło na ruchliwą jezdnię. Gdy rzeczniczka zwróciła uwagę, kobieta miała odpowiedzieć wulgarnie.

eprasa.pl 086c9af544

Horna-Cieślak zawiadomiła policję. Tymczasem – jak ujawnił portal Zero.pl – funkcjonariusze sprawdzili sytuację rodziny, nie znaleźli jednak podstaw do natychmiastowego odebrania dzieci. Sprawa trafiła do sądu rodzinnego. Pracownik Biura RPD miał kontaktować się z sądem, przekonując o konieczności odebrania dzieci, jednak sąd nie zdecydował się na taki krok i zarządził pilny wywiad środowiskowy. Następnego dnia rodzinę odwiedził kurator, który również nie stwierdził podstaw do natychmiastowego umieszczenia dzieci w pieczy zastępczej. Tutaj sprawa się nie skończyła. Po dalszych działaniach i spotkaniu z udziałem RPD oraz przedstawicieli policji funkcjonariuszka zastosowała wobec rodziców nakaz opuszczenia mieszkania i zakaz zbliżania się do dzieci. Ponieważ nie udało się od razu zapewnić im innej opieki, trzy- i czterolatek trafili do placówki opiekuńczo-wychowawczej. Sąd rodzinny nakazał ich natychmiastowy powrót do domu.

ECHO „LEX KAMILEK"

Uzasadnienie decyzji stawia całą aktywność Horny-Cieślak w sprawie rodziny w bardzo złym świetle. Według relacji Zero.pl sąd ocenił działania podjęte wobec rodziny jako „rażąco nieproporcjonalne do zaistniałego zdarzenia" i wskazał, że mogą one nosić znamiona „przemocy instytucjonalnej". Ponadto zwrócono uwagę na osobiste zaangażowanie RPD i możliwość wykorzystania autorytetu urzędu do forsowania stanowiska o konieczności odebrania dzieci. Sama Horna-Cieślak nie ma sobie nic do zarzucenia. Przekonuje, że była bezpośrednim świadkiem zachowania, które uznała za przemoc wobec dzieci, i musiała działać. Odwołuje się przy tym do tragicznej historii zakatowanego Kamilka z Częstochowy jako przykładu konsekwencji zaniechania reakcji na sygnały o krzywdzeniu dziecka. Warto dodać, że sprawa rodziny z Warszawy była bardziej złożona – policja poinformowała, że była wcześniej objęta procedurą Niebieskiej Karty, pomocą ośrodka pomocy społecznej oraz nadzorem sądowym. Nie zmienia to jednak faktu, że organy, które badały sytuację bezpośrednio po zdarzeniu – w tym sąd i kurator – nie znalazły podstaw do natychmiastowego odebrania dzieci.

Mimo wielu słów o akceptacji, tolerancji i poszanowaniu godności człowieka największy problem w kadencji obecnej RPD pojawił się wewnątrz zarządzanej przez nią instytucji

Krytycznie działania RPD oceniła sędzia rodzinna Karolina Sosinska, prezes Stowarzyszenia Sędziów Sądów Rodzinnych „Pro Familia". W rozmowie z Onetem wskazała, że sama Niebieska Karta czy nadzór kuratora nie oznaczają automatycznie konieczności umieszczenia dziecka w placówce. Ostrzegała również przed sytuacją, w której osobisty osąd może zaburzać obiektywną ocenę sprawy. Z kolei prof. Mariusz Jędrzejko, pedagog specjalny i socjolog, powiedział portalowi WP Kobieta: „RPD jest osobą o głębokim niedouczeniu pedagogiczno-psychologicznym". Dodał, że gdyby decyzja należała do niego, Horna-Cieślak nie pełniłaby funkcji. Jak wyjaśnił, nagłe oderwanie kilkulatka od rodziców może samo w sobie stać się źródłem głębokiej traumy. Sprawa z Białołęki wywołała również polityczne konsekwencje. Politycy opozycji zaczęli zapowiadać wnioski o odwołanie rzecznik. Do Prokuratury Krajowej wpłynęło z kolei zawiadomienie dotyczące przekroczenia uprawnień i fałszywego oskarżenia. Sprawę zbada Prokuratura Okręgowa w Szczecinie.

NIEPEDAGOGICZNE LODY

Białołęka nie jest pierwszą historią, po której wokół RPD rozpętała się burza. Tuż przed wakacjami, cała Polska dyskutowała o akcji „darmowe lody za pasek". Działająca od lat Lodziarnia pod Dębem w Pszczynie jak co roku chciała rozdać darmowe lody uczniom, którzy otrzymali świadectwo z biało-czerwonym paskiem. Jednak po piśmie z Biura RPD ogłoszono, że tym razem najlepsi uczniowie nie dostaną nagrody. Właścicielka została „poproszona" przez Monikę Hornę-Cieślak o zaprzestanie inicjatywy, bo ta ma rzekomo prowadzić do uzależnienia poczucia własnej wartości dziecka od szkolnych stopni i wywoływać zbędną presję. Sprawa błyskawicznie przerodziła się w polityczno-internetową awanturę, a krytyka przyszła nawet od resortu edukacji. „Litości, pracowitość, ambicję i talent uczniów warto zauważać i nagradzać" – skomentowała minister Barbara Nowacka. RPD broniła się, twierdząc, że doszło do „absurdalnej manipulacji", ponieważ urząd nie wydał żadnego formalnego zakazu, a jedynie apel. Ostatecznie pszczyńska lodziarnia ponownie rozdawała lody. – Coś, co miało przeszkodzić, wypromowało tę akcję na całą Polskę – stwierdził w rozmowie z Polsat News jeden z uczniów.

MOBBING W BIURZE RPD

Monika Horna-Cieślak wiele mówi o akceptacji, tolerancji i poszanowaniu godności każdego człowieka. Tymczasem chyba najbardziej paradoksalny problem w jej kadencji pojawił się nie na zewnątrz, lecz wewnątrz zarządzanej przez nią instytucji. W czerwcu TVN24 opublikował reportaż dotyczący atmosfery pracy w Biurze RPD. Punktem wyjścia był pozew Łukasza Korzeniowskiego – młodego prawnika, którego do urzędu osobiście rekrutowała Horna-Cieślak. Były pracownik domaga się od Skarbu Państwa zadośćuczynienia i przeprosin m.in. za mobbing, którego – jak twierdzi – miał doświadczyć. Dziennikarki dotarły do blisko 20 byłych i obecnych osób zatrudnionych w Biurze RPD. W ich opowieściach przewijają się wątki o pracy w atmosferze strachu, wypaleniu, nocnych wiadomościach od szefostwa i destrukcyjnym wpływie pracy na życie prywatne. W najbardziej dramatycznych relacjach pojawiały się nawet myśli samobójcze. Choć jedną z przyczyn trudnej sytuacji był ogromny wzrost liczby spraw wpływających do urzędu, to według relacji dokładały się do tego decyzje organizacyjne podejmowane przez kierownictwo.

Powstaje obraz urzędu, który reklamuje się jako wrażliwy, empatyczny i stanowczy nawet wobec potencjalnej agresji; wewnątrz sam boryka się z patologiami. W przypadku Moniki Horny-Cieślak trudno mówić o braku aktywności – jest odwrotnie. Liczba podejmowanych spraw rośnie, urząd składa zawiadomienia, zażalenia, kasacje i występuje do prokuratury. Pytanie: Czy aktywność ta zawsze ma na celu dobro dzieci?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 086c9af544



Piotr Semka
z Zamku Paretz

Potwór spotyka papugę

My, Polacy, mamy swoją romantyczno-polityczną opowieść o romansie Napoleona z panią Marią Walewską. Niemcy mają swoją podobną legendę z cesarzem Francuzów w roli głównej. Parogodzinne spotkanie cesarza Francuzów z pruską królową Luizą stało się w wiekach XIX i XX narodowym symbolem podniesienia się państwa Hohenzollernów z najgłębszego upadku

Do rozmowy „boga wojny" z meklemburską żoną króla Fryderyka Wilhelma III doszło 6 lipca 1807 r. we wschodniopruskiej Tylży. Dlaczego ta parogodzinna rozmowa urosła do rangi jednego z najżywszych mitów niemieckiej historii? I w 250. rocznicę urodzin Luizy, i rok przed okrągłą, 220. rocznicą spotkania w Tylży w Zamku Paretz koło Poczdamu – w ukochanym wiejskim zaciszu pruskiej królowej – poświęcono temu wydarzeniu specjalną ekspozycję.

To dobra okazja do pokazania, jak współczesna Republika Federalna bez ostentacji, ale troskliwie pielęgnuje stare pruskie mity. Odsączając je nieco z szowinistycznych akcentów i opakowując w nonszalancki kostium. Jak to zaznaczają autorzy wystawy, „bez zbędnego sentymentalizmu". Ale czy nie na tym właśnie polega współczesna smart power?



Popiersie Luizy w Zamku Paretz
FOT. PIOTR SEMKA

BYLE DALEJ OD BERLINA

Zamek Paretz, mimo swej nazwy, to bynajmniej nie żadna groźnie wyglądająca warownia. To neoklasycystyczny wiejski pałac wkomponowany umiejętnie w krajobraz brandenburskich łąk i zagajników. Do Poczdamu są stąd tylko 23 km. Nic dziwnego. Pan na dobrach Paretz – następca tronu Fryderyk Wilhelm – ze swą świeżo poślubioną żoną, Luizą Meklemburską, wybrali miejsce, z którego na każde wezwanie ojca, króla Fryderyka Wilhelma II, mogli szybko stawić się przed oblicze władcy.

Po drugiej wojnie światowej wygnano stąd ostatnich Hohenzollernów i na socjalistyczną modłę w dawnym gnieździe pruskiej reakcji umieszczono szkołę rolniczą. Na szczęście kolejni dyrektorzy dbali, by mebli nie rozszabrowano, a wnętrz z subtelnymi malowidłami nie zdewastowano. Po 1990 r. pałac objęła Fundacja Pruskich Pałaców i Ogrodów, która z ramienia państwa opiekuje się mieniem po rodzie Hohenzollernów.

Krążąc po pałacu, podziwiam, jak wspaniale go odnowiono. Część mebli zwieziono z innych rezydencji, a sporą część wnętrz zrekonstruowano z dużym smakiem i dużym nakładem sił i środków. Szczególne wrażenie robią dawne królewskie pomieszczenia mieszkalne w pałacu, z cennymi, ręcznie malowanymi i drukowanymi tapetami papierowy-

eprasa.pl 086c9af544

mi oraz meblami, obrazami, grafikami i porcelaną ocalonymi z pierwotnego wyposażenia.

Jednak głównymi bohaterami pałacu są wspomniani już Fryderyk Wilhelm i Luiza.

„To jeden z najpiękniejszych celów wycieczek w brandenburskim krajobrazie pałacowym – zachwala pałacowy folder. – Zespół pałacowy i wiejski został zaplanowany w latach 1797–1804 dla pruskiego następcy tronu i późniejszej pary królewskiej Fryderyka Wilhelma III i Luizy, księżniczki Meklemburgii-Strelitz, i zrealizowany został z zastosowaniem nowych technik budowlanych i wysokich standardów estetycznych. Spełniał on zarówno pragnienie królewskiej rezydencji, jak i wymagania funkcjonującej wsi rolniczej".

Na romantyczną modę młoda para traktowała Paretz jako swoje zaciszne wytchnienie, z dala od blichtru i etykiety dworu w Berlinie.

Na ścianach zamku oglądam sztych z przyszłą królewską parą w ogrodowych „świątynkach dumania". Fryderyk Wilhelm recytuje żonie wiersze, a Luiza w zamyśleniu plecie wianuszki z kwiatów dla męża. Idylla romantyczna w stężeniu stuprocentowym.

W 1797 r. Fryderyk Wilhelm III obejmuje tron po zmarłym ojcu. Młodziutka, 21-letnia w chwili objęcia tronu Luiza rodzi dziecko za dzieckiem i od razu zdobywa serca mieszkańców stolicy Prus. Jest w kwiecie dziewczęcej urody i wdzięku. Gdy po raz pierwszy przybywa pod zamek nad Szprewą, czule obejmuje i całuje dziewczynkę z kwiatami. Szefowie protokołu są zdegustowani – poprzednie, sparaliżowane etykietą królowe nigdy nie zdobywały się na takie gesty. Ale Luizie przychodzą one naturalnie. Berlińczycy są zachwyceni jej bezpośredniością. Młodziutka królowa szybko ożywia zatęchłe sale. Nie tylko wnosi ożywienie do dworu, lecz także ma swoje własne opinie polityczne. Nie cierpi Napoleona, którego w Europie nazywają „potworem" lub „korsykańskim wilkołakiem". Ale nawet polityka w tamtej romantycznej epoce miała malowniczą formę.

Gdy 3 listopada 1805 r. car Rosji Aleksander I i król Prus podpisali konwencję, na mocy której Prusy zobowiązały się do przystąpienia do III koalicji antyfrancuskiej przeciwko Napoleonowi Bonaparte, Luiza towarzyszyła im w wyprawie do krypty Kościoła Garnizonowego w Poczdamie. Obaj władcy w obecności królowej Luizy zeszli do podziemi świątyni przy świetle pochodni. Trzymając się wszyscy troje za ręce, nad sarkofagiem Fryderyka Wielkiego złożyli sobie przysięgę wiecznej przyjaźni oraz sojuszu przeciwko Francji. Mistrzowie ceremonii znów byli zaszokowani. Nikt nigdy wcześniej nie dopuszczał kobiet, nawet żon królów pruskich, do takich spotkań na szczycie. Ale jest już XIX w. i wszystko musi być sentymentalne. A takie sprytne osóbki jak Luiza doskonale się w tych nowych klimatach odnajdują.

Spotkanie cesarza z królową było politycznie bez znaczenia. Nie przyznał się do niczego. Kpił, że Luiza była jedynie „papugą Hardenberga"

To Luiza według historyków namawiała chwiejnego i ostrożnego Fryderyka Wilhelma do sprowokowania cesarza Francuzów. I w końcu król Prus uległ żonie. Na swoje nieszczęście. Armia pruska zastygła we fryderycjańskim drylu i sromotnie przegrała w bitwie po Jeną 14 października 1806 r. Rodzina królewska musiała uciekać do Szczecina. 27 października „korsykański wilkołak" uroczyście wkroczył przez Bramę Brandenburską do podbitego Berlina.

UCIECZKA

W muzealnej wozowni oglądam kilkanaście starych karet i sań członków rodu Hohenzollernów. Stare drewno i poszarzała ze starości, niegdyś zapewne lśniąca złota farba. Można się tylko zadumać z zazdrością, jak wiele z tych cudeniek sztuki kołodziejów z XVIII w. przetrwało do naszych czasów.

Na podobnych saniach w ponurą zimę pogromu Prus w1806 r. królowa Luiza uciekała przed zwycięskim Napoleonem do Królewca – ostatniego zakątku pod władzą swego królewskiego męża, który jeszcze bronił się resztką sił przed „Grande Armée".

I znów w salach Zamku Paretz trudno pozbyć się porównań. Jesień 1806 r., po spektakularnym pogromie wojsk pruskich pod Jeną, to dla Polaków karnawał radości. Z Poznania i Warszawy pruskie wojska uciekają na łeb na szyję gonione także przez naszych szwoleżerów. Przez kolejne pół roku królewska para mieszka w Królewcu, a połączone armie rosyjska i pruska walczą z Napoleonem na terenie ówczesnych Prus Wschodnich.

Napoleon rezyduje w zamku w Kamieńcu (Finckenstein) koło Iławy w towarzystwie naszej rodaczki Marii Walewskiej. A Luiza podtrzymuje ducha bojowego u boku swego wiecznie hamletyzującego małżonka. W końcu połączone siły rosyjsko-pruskie przegrywają decydującą bitwę 13 i 14 czerwca 1807 r. pod Frydlandem. Armia napoleońska zajmuje Królewiec i Fryderyk Wilhelm wraz z Luizą znów muszą uciekać w nieznane.

Niedługo potem car Aleksander prosi Napoleona o rozmowy pokojowe. Na miejsce „spotkania na szczycie" zostaje wybrana pruska Tylża, gdzie podpisany zostaje pokój. Napoleon zabiera prusakom Wielkopolskę i Mazowsze, aby stworzyć z nich Księstwo Warszawskie. Gdańsk zostaje wolnym miastem.

Król Fryderyk Wilhelm jest tylko biernym widzem na dyplomatycznym targu dwóch imperatorów. I wtedy pojawia się w kręgu jego doradców desperacki pomysł – wysłać do „potwora" Luizę, aby wybłagała od cesarza jakieś ustępstwa dla Prus.

Zdruzgotany król pruski godzi się na wszystko.

OKO W OKO Z KORSYKANINEM

Królowa Luiza szybko przybyła do Tylży na wezwanie swojego męża i podjęła osobistą, choć ostatecznie bezskuteczną próbę przekonania Napoleona do złagodzenia surowych warunków pokojowych nałożonych na Prusy. Do spotkania doszło w historycznym budynku Młyna na obrzeżach Tylży.

Autorzy wystawy wskazują, że „spotkanie cesarza z królową było politycznie bez znaczenia. Napoleon nie przyznał się do niczego. Kpił, że Luiza była jedynie »papugą Hardenberga« (Karla Augusta von Hardenberga – szefa pruskiej dyplomacji), jak miał to powiedzieć francuski cesarz po spotkaniu. Pruska

eprasa.pl 086c9af544



Sztych z 1907 r. przedstawiający spotkanie Napoleona z Luizą w Tylży
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

historiografia stworzyła jednak później poruszającą, heroiczną opowieść o „dumnej ofierze" królowej, aby ukryć całkowitą bezsensowność tego spotkania."

To prawda. Królowa nie wybłagała nawet oddania Prusom twierdzy Magdeburg.

Wszystko to jednak nie tłumaczy, dlaczego spotkanie Napoleona z Luizą trwało parę godzin. Na tyle długo, by zaniepokojony król Fryderyk Wilhelm wkroczył w końcu do komnaty, w której odbywało się spotkanie.

Francuzi natychmiast po spotkaniu zaczęli rozpuszczać plotki, że cesarz miał dość obcesowo wykorzystać cesarzową. Paradoksalnie całkiem zgodnie współbrzmiały z tą insynuacją zachwyty pruskich apologetów władczyni o jej „nadzwyczajnej ofierze, którą bez wahania złożyła na ołtarzu dobra ojczyzny".

Wbrew tej atrakcyjnie brzmiącej wersji, szczególnie pieprznej i miłej dla Polaka, który pamięta o roli Prus w rozbiorach Polski, nie ma jednak – jak się zdaje – podstaw do uznania tych plotek za prawdę. A jednak coś musiało chodzić cesarzowi po głowie (tylko jemu?), bo sporo później miał wspominać, że nie wiadomo, co by się stało, gdyby zazdrosny mąż w końcu nie wtargnął do komnaty. Na pewno Bonaparte był pod wrażeniem wdzięku i urody Luizy. A czy ona coś uzyskała?

Mimo wszystko pozostawił jej męża na tronie, nie zlikwidował Prus, a gdy te później zdradziecko przeszły na stronę Rosji w 1813 r., wyrzucał sobie, że nie rozdeptał do końca państwa Hohenzollernów.

Historycy są zdania, że ocalenie Prus to efekt dyplomacji cara Aleksandra, a nie efekt siły uroku meklemburskiej księżniczki.

„LUISE-MYTHOS"

Rok i miesiąc po spotkaniu w Tylży Luiza umiera w pałacu swego ojca w meklemburskim Hohenzieritz. Do końca płonęła w niej żądza odwetu wobec Francji. W konspiracji przed tchórzliwym mężem wspierała tajne przygotowania pruskich wojskowych – Ferdinanda von Schilla i Gerharda von Scharnhorsta – do nowej wojny z Francją.

Zmarła 19 lipca 1810 r. na zapalenie płuc, które lekarze zlekceważyli.

I natychmiast po jej śmierci zaczęła narastać legenda, według której postrzegano w jej odejściu ofiarę w intencji uwolnienia Niemiec od Napoleona.

Autopsja wykazała, że jedno płuco królowej uległo zniszczeniu, a zabójczy guz znajdował się także w sercu. Hrabina Sophie Marie von Voss, czołowa dama dworu Luizy, napisała w swoim pamiętniku: „Lekarze twierdzą, że polip w sercu królowej jest następstwem wielkiego i długotrwałego żalu".

W czasie zrywu Prus przeciw Napoleonowi w latach 1813–1815 Luiza stała się patronką „wojny wyzwoleńczej".

Na jej cześć Fryderyk Wilhelm ustanowił Order Luizy dla kobiet, które odznaczyły się w wojennych zasługach dla Prus. Było to, jak się zdaje, pierwsze w Europie odznaczenie przeznaczone wyłącznie dla kobiet.

A gdy w 1871 r. Prusy doprowadziły do zjednoczenia Niemiec i syn Luizy, Wilhelm, został pierwszym cesarzem, kult jego matki przybrał cechy kultu państwowego. W wyścigu o coraz bardziej wzniosłe wyobrażenia królowej jeden z rzeźbiarzy stworzył nawet rzeźbę Luizy z małym Wilhelmem na rękach. Dla katolików niemieckich i polskich taka „pruska madonna" była bluźnierczym bałwochwalstwem.

Im mocniej rósł taki kult, tym bardziej dbano też o zwalczanie plotek o „nadzwyczajnym poświęceniu królowej dla dobra kraju". Na wystawie obejrzeć można sztych z popularnej książeczki dla młodzieży, przedstawiający spotkanie Napoleona z Luizą w Tylży z 1907 r. Postać rzekomo obecnego na spotkaniu dyplomaty dodano dla zdementowania plotek o „męczeństwie" królowej.

Po drugiej wojnie kult Luizy przyblakł. W NRD była na indeksie z racji ogólnego potępienia Hohenzollernów, a w RFN tamtych czasów – z racji odchodzenia w cień starej pruskiej mitologii.

Dopiero po zjednoczeniu w 1990 r. przypomniano sobie o Luizie, ale bardziej w tonacji sentymentalnej reminiscencji.

I właśnie taka jest ekspozycja w Zamku Paretz. Bez szowinistycznej legendy, ale raczej w stylu wdzięcznego romantycznego obrazka. A w tak ładnym i urokliwym miejscu wdzięk Luizy może złagodzić nawet uzasadnioną historycznie prusofobię gościa z ojczyzny madame Walewskiej.

Zresztą ciekawe, co by obie panie sobie opowiedziały, gdyby spotkały się tête-à-tête.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Znaczek i koperta Bundespost z Luizą z 2026 r., wydane z okazji 250. urodzin królowej FOT. PIOTR SEMKA

Ekspozycja „Potwór spotyka papugę. Napoleon Bonaparte i królowa Prus Luiza w Tylży 1807" w Zamku Paretz potrwa do 1 listopada. Szczegóły na: https://www.spsg.de/schloesser-gaerten/objekt/schloss-paretz.

eprasa.pl 086c9af544



Sztuczna inteligencja coraz częściej pojawia się również na scenach teatralnych FOT. TEATR CHOREA

Dusza i atak cyfrowego świata



Grzegorz Kondrasiuk

Jeśli jeszcze w ogóle jestem w stanie uwierzyć w „potencjał krytyczny" teatru (co jest dziś kompletnie wyświechtanym sloganem), to chyba tylko w przypadku teatru takiego, który mierzy się z niepokojącą potęgą sztucznej inteligencji. Mało kto zresztą zdaje sobie sprawę, że nie tylko technologia, lecz także teatr i towarzysząca mu refleksja mają tu coś na sumieniu: modele komunikacyjne opisywane przez Ervinga Goffmana (tego od „teatru życia codziennego") i jego następców inspirowały projektantów „ej-aja".

Spektakle o sztucznej inteligencji, i z jej udziałem, powstają coraz częściej, a wśród nich zdecydowanie wyróżnia się niepokojący „Grief//bot" Teatru Kombinat. Ta niezależna produkcja z wrocławskiej sceny offowej konfrontuje się z samym centrum problemu. Zespołowa praca Katarzyny Baranieckiej (reżyseria), Agnieszki Wolny-Hamkało (tekst), Davida Sypniewskiego (projekt i trening bota), Pawła Palcata (kreacja aktorska, a i pewnie wszystkie zadania po trochu) brutalnie łamie wrażliwość, stawia pytania graniczne. Wszyscy zapewne dziś je sobie stawiamy, przynajmniej jeśli chodzi o ambaras poznawczy z udającymi człowieka procesorami wyposażonymi w umiejętności komunikacyjne. Nie używałbym może tu liczby mnogiej, gdyby nie to, że po pokazie spektaklu na łódzkim festiwalu Retroperspektywy na rozmowie z twórcami została cała publiczność. To się normalnie nie zdarza.

Wszystko zaczęło się zapewne od gestu Davida Sypniewskiego (pracownik naukowy SWPS, „projektant operujący na skraju technologii, odpowiedzialności społecznej i sztuki", jak czytam, na jego profilu uczelnianym). Zdecydował się on na wykorzystanie w procesie przygotowawczym twórczości swojej, zmarłej ponad 20 lat temu, mamy Nataszy Czarmińskiej, poetki, piosenkarki. Dane, w tym wspomnienia z dzieciństwa, po „odpodobnieniu" i zmieszaniu ze wspomnieniami występującego tu aktora wgrał do bazy danych, czyli zasobów treningowych zaprojektowanego przez siebie bota, który „występuje" w spektaklu (głównie jako głos). W zawiązaniu fabuły oglądany na scenie fikcyjny bohater, grany przez Pawła Palcata, konfrontuje się ze śmiercią matki. Ale twórcy spacerują tu po niebezpiecznej grani, podejmują grę z realnością, włączając elementy jawnie autobiograficzne, bo także i Palcat, i to niedawno, przeżył śmierć matki. Tak czy inaczej, częścią przepracowania żałoby (jak to się dziś mówi w modnym, terapeutycznym żargonie) występującego tu prawdziwego-fikcyjnego bohatera są planowane i nieplanowane interakcje z tytułowym botem żałobnym.

Już sam w sobie ten gest wykorzystania autentycznego, w tym także i intymnego, prywatnego materiału, stawia pytania natury etycznej. Do tego został obudowany w wyrafinowaną, dojrzałą formę artystyczną. Spektakl zestraja mocną, fizyczną grę Palcata, projekcje wideo, audiosferę czerpiącą z piosenek Czarmińskiej, użycie realistycznej lalki. Powstała emocjonalnie wyczerpująca, przejmująca wypowiedź o granicach korzystania z technologii, a nieco dopowiadając (i nie zdradzając szczegółów) – także o porażce tego roszczenia, tego marzenia. Najmocniej skojarzyła mi się ona z przesłaniem lemowskiej „Solaris". „Grief//bot" to wypowiedź w jakiś dziwny sposób uczciwa, przy wszystkich kontrowersjach. Pozostawiła mnie na długo z pytaniami, z niepokojem o przyszłość w kształcie projektowanym gdzieś tam, w laboratoriach. Z mnóstwem pytań. O integralność i nienaruszalność ludzkiej tożsamości, bo wgrywanie modelom językowym danych zmarłych osób w widoczny sposób ją kwestionuje. O prawo do użycia danych pozostałych po zmarłej osobie. O konsekwencje dla psychiki żyjących, co się odbywa już na naszych oczach, ponieważ coraz więcej samotnych w pełnej zdziczenia, społecznej dżungli „zaprzyjaźnia" się z modelami językowymi. I może najważniejsze, towarzyszące ludzkości od dawna: czym może się skończyć powielenie gestu Stwórcy.

Chyba najmocniejszą częścią spektaklu jest ta, kiedy do rozmowy z grief//botem zostaje zaproszona publiczność. Zadawane pytania obnażały nasze iluzje, pragnienia, lęki, bezradności wszystkich, którzy zdecydowali się wejść z nim w dialog. Zmieniał się on w swoisty pojedynek, którego stawką było, być może, ratowanie integralności ludzkiej tożsamości. Dusza człowieka postindustrialnego, poszerzonego przez narzędzie cyfrowe jest dziś poobijana, podkradziona, sprzedana, porzucona. A teatr – znowu, a więc jest to jeszcze możliwe! – przydał się do dziwacznego testu, sprawdzenia na żywo, czy dusza ta jeszcze w ogóle istnieje i czy da się ją zamienić na ciąg zer i jedynek. ©℗

TEATR KOMBINAT, „GRIEF//BOT"
KONCEPCJA I REŻYSERIA: KATARZYNA BARANIECKA
TEKST: AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO
PROJEKT BOTA: DAVID SYPNIEWSKI
OBSADA: PAWEŁ PALCAT
PREMIERA: 20 LUTEGO 2026 R.
POKAZ NA FESTIWALU RETROPERSPEKTYWY (ŁÓDŹ): 23 SIERPNIA 2026 R.

eprasa.pl 086c9af544



Laureaci 51. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni podczas gali na scenie Teatru Muzycznego FOT. ANNA BOBROWSKA

Neomarksiści kulturowi



Remigiusz Włast-Matuszak

Absencja Daniela Olbrychskiego w jury 51. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych wywołała szum medialny niemniejszy od podziału laurów imprezy

Trzeci rok z rzędu usiłowałem dowiedzieć się od dyrekcji festiwalu, jakie cztery filmy dołączyło MKiDN do 12 konkursowych wyłonionych przez dyrekcją artystyczną. Bezskutecznie. Przed 12 miesiącami na moje prośby rzecznik prasowy resortu zareagował klasycznie, po prostu zablokował moje konto, a teraz jedna z sześciu decydentek dyrekcji FPFF – po trzech tygodniach i ponagleniu – odpisała mi, że „tajemnica ochrony danych osobowych (!!!) nie pozwala ujawnić, jakie filmy zostały zgłoszone do konkursu" itp. Zwykła informacja staje się „tajemnicą państwową spec. znaczenia"! Madame, każdy film ma napisy początkowe i końcowe, gdzie z imienia i nazwiska są wymienione osoby odpowiedzialne nawet za catering na planie i WC! Reżyserzy odrzuconych filmów mogą się czuć upokorzeni, zawstydzeni? Wprost przeciwnie, głośno komentują werdykt dyrektor artystycznej FPFF i polityczne decyzje ministerstwa z Krakowskiego Przedmieścia. Od ponad 10 lat jestem tzw. członkiem Rady Programowej FPFF w Gdyni. Tym razem nie było jej spotkania, a nawet konferencji prasowej, a jedynie tajne „Śniadanie Prasowe", rankiem w kinie Iluzjon. Nie dostałem zaproszenia, a zadałbym wiele niewygodnych pytań wiceministrowi MKiDN Maciejowi Wróblowi.

W latach ubiegłych na łamach „Do Rzeczy" postulowałem prezentację wszystkich filmów zgłoszonych do konkursu festiwalowego w wybranym kinie (wybranych kinach), aby społeczeństwo mogło zobaczyć, na jakie produkcje wydano nasze pieniądze, i co w Gdyni pominięto. „Resort" kultury i FPFF pozostają nieugięte w swojej odmowie.

CZEKAJĄC NA „CAŁOPALENIE"

Tegoroczny 51. FPFF zaczynał się „bulwarowo". Daniel Olbrychski publicznie rozdarł szaty, gdyż dyrektor od kinematografii w MKiDN, sławny (osławiony) Maciej Dydo, wyrzucił go ze składu jurorów festiwalu. Decyzję cofnięto, ale dotknięty do żywego aktor oferty powrotu nie przyjął. Jury w swoim składzie było – delikatnie mówiąc – „ciekawe", takie „z łapanki". Przewodniczący Krzysztof Zanussi zadanie miał trudne. Poprawność polityczna takich filmów jak „Ojczyzna" Pawła Pawlikowskiego, o powrocie do powojennych Niemiec Tomasza Manna, czy „Nasza rewolucja" Piotra Domalewskiego, opowiadająca historię związku Jacka Kuronia i jego żony Gajki, „Hot Spot" Agnieszki Smoczyńskiej o starym polityku, dyktatorze rządzącym krajem za pomocą AI, konfrontowała się z obrazami ważnymi historycznie: „Pojedynek" (o zbrodni w Katyniu) Łukasza Palkowskiego oraz „Przez ścianę" (o terrorze w bierutowskiej Polsce) Macieja Sobieszczańskiego.

Zanussi bardzo odważnie i roztropnie 20 lat temu, po powołaniu Polskiego

eprasa.pl 086c9af544

Instytutu Sztuki Filmowej, stwierdził, że zasady przyznawanie dotacji na realizację filmów fabularnych (i pozostałych) są KORUPCYJNE, gdyż w danym roku lider komisji w PISF, pan X, przyznaje miliony panu Z, a w następnym roku odwrotnie.

Wszelkie gildie filmowców natychmiast przywołały reżysera do porządku, przypominając mu „różne" zaszłości. Zanussi zamilkł i sam zaczął korzystać z mechanizmu przyznawania dotacji. Jego dwa ostatnie filmy: „Eter" z 2018 r. i „Liczba doskonała" z 2022 r. były wręcz słabe, a publiczność je zignorowała. Czekamy na „świeżynkę" pt. „Całopalenie" – już sam tytuł zapowiada intelektualne wstrząsy.

BEATYFIKACJA JACKA KURONIA

Nawiązując do powyższych uwag, byłem przekonany, że reżyser Zanussi pod presją poprawności politycznej i innych nacisków przyzna Złote Lwy Pawłowi Pawlikowskiemu za „Ojczyznę" (dawniej „Vaterland"), nagrodzoną na MFF w Cannes 2026 r. za najlepszą reżyserię, a tu „szok i niedowierzanie", reżyser Pawlikowski dostał jedynie nagrody pocieszenia – za reżyserię oraz za scenografię. Drugim powszechnym faworytem był film Piotra Domalewskiego pt. „Nasza rewolucja", przedstawiający kilka lat z politycznej działalności Jacka Kuronia i jego żony Grażyny (Gajki), i o ile bardzo wspierałem w MKiDN (PiS-owskim) scenariusz poprzedniego filmu Domalewskiego pt. „Ministranci", a film okazał się świetny, o tyle miałem do niego żal, że wdeptuje w polityczną beatyfikację Jacka Kuronia. Doskonale pamiętam, jak przez radio agitował za „socjalizmem z ludzką twarzą" itd. Lista zarzutów wobec polityka z czasów jego działań w III RP jest długa, dlatego doceniam werdykt jury, że jedynie nagrodziła Jacka Komana za drugoplanową rolę męską w „Naszej rewolucji". Świetnych drugoplanowych ról było zresztą kilka. Pominięcie Bogusława Lindy, grającego oficera lekarza z Katynia w filmie Łukasza Palkowskiego „Pojedynek", uważam za duże przeoczenie. Można było przyznać nagrody ex aequo.

NA MIARĘ „CASABLANKI"

Na szczęście i zgodnie z wysokimi walorami artystycznymi i historycznymi jury uhonorowało Złotymi Lwami Macieja Sobieszczańskiego za dramat miłosny z czasów terroru komunistycznego pt. „Przez ścianę". Młodzi w kazamatach MBP przy Koszykowej (dzisiejsza siedziba Ministerstwa Sprawiedliwości ministra Żurka!), niesłusznie aresztowani, porozumiewają się alfabetem Morse'a. Miłość pozwala im przetrwać. Nie boję się nazwać dzieła Sobieszczańskiego dziełem na miarę polskiej „Casablanki" z 1942 r. z Humphreyem Bogartem i Ingrid Bergman. Jestem przekonany, że zyska milionową widownię, a pokolenie 20–30-latków pierwszy raz w życiu dowie się czegoś o MBP, ministrze Radkiewiczu i jego zastępcach: Romanie Romkowskim oraz Mieczysławie Mietkowskim.

Srebrne Lwy zdobył film pt. „Powiedz mi, co czujesz" dr. Łukasza Rondudy, kuratora Muzeum Sztuki Współczesnej – „klocka Trzaskowskiego". Film to niemal „eksponat" z tego muzeum. Jak informuje FPFF, jest to „portret najmłodszego pokolenia Polaków zanurzonego w kulturze terapeutycznej", i dalej: „zainteresowanego zdrowiem psychicznym i skupionego na antyprzemocowych wzorcach". „Film przygląda się również nowej, czułej męskości przełamującej jej dotychczasowe opresyjne i toksyczne wzorce". O matko i córko! Najważniejsza scena filmu to ta, gdy para „bohaterów" biegnie po ulicy i sika w majtki/spodnie! To jest to, czego oczekiwał podatnik, finansując dzieło Rondudy znanego z filmu „Wszystkie nasze strachy" (tematyka LGBT) i dokumentu o „czapce wpierdolce".

Pominięcie Bogusława Lindy grającego oficera lekarza z Katynia w filmie Łukasza Palkowskiego „Pojedynek" to duże przeoczenie

Obsypany nagrodami został też film Jana Komasy pt. „Dobry chłopiec" („Good Boy"). Anglojęzyczny film, którego akcja rozgrywa się w Anglii, z angielskim aktorami. Nagrodzono go za najlepszy scenariusz – doprawdy przecież scenariusz (i film) to popłuczyny, plagiacik z „Mechanicznej pomarańczy" Stanleya Kubricka (rok 1971), zakończony przesłaniem z „Poematu pedagogicznego" sowieckiego „pisatiela" Antona Siemionowicza Makarenki. Rozumiem, że poza reżyserem Zanussim jury arcydzieła Kubricka nie widziało i o Makarence nie słyszało, ale to nie usprawiedliwia popełnienia fatalnej pomyłki. Film został nagrodzony też za montaż – było kilka innych filmów z tym elementem w lepszym wykonaniu. I w końcu kpina zupełna: nagrodę za najlepszą rolę męską dostał Anson Boom. Było kilka innych kreacji na FPFF, choćby Aidan Gillen czy Jakub Gierszał, obaj w filmie „Pojedynek".

Złoty Pazur, a raczej „złotą wykałaczkę", zdobył najsłabszy film FPFF pt. „Hot Spot" Agnieszki Smoczyńskiej. Dostał też nagrody za muzykę, dźwięk i kostiumy. Rozumiem, że jury bało się Smoczyńskiej, ale bez przesady. „Hot Spot" to zupełna bzdura SF. Sześć lat temu walczyłem ze scenariuszem tego filmu. „Głowa" rządząca państwem/światem/cywilizacją to superinteligencja, dziwnym trafem mająca przypominać postać prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Lata mijały, film powstał już za panowania KO i o, niezamierzone dziwo, teraz Głowa wizualnie przypomina maskę starego Donalda Tuska lat niemal 70!

Godne pochwał były również inne filmy. Akcja dramatu „Dziki, dziki wschód" Jana Holoubka toczy się zimą 1943 r. w małym polskim miasteczku. „Exotic" to obraz społeczno-muzyczny w reżyserii Soni Orlewicz-Zakrzewskiej, z niepokojącą kreacją Jaśminy Polak. „Violetta Villas" (reż. Karolina Bielawska) przedstawia biografię legendarnej piosenkarki, a „Kobieta stanu wolnego", w reżyserii Elizy Godlewskiej i Alana Ruczyńskiego, przynosi wstrząsający wizerunek problemu bezdomności w Polsce.

Wręczając Złote Lwy, „ministra" (tak ją zaanonsował klaun serialowy prowadzący Galę FPFF) Marta Cienkowska oświadczyła, że „zmieniamy, odzyskujemy kulturę" i „jeszcze rok walki przed nami". Ufam, że najwyżej 12 miesięcy panoszenia się, a potem powrót normalności. Dziś bowiem zarówno FPFF, jak i MKiDN to – zgodnie z teorią Antonia Gramsciego – instytucje opanowane w całości przez neomarksistów kulturowych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 086c9af544

Klasyka z wąsami



Efektowna adaptacja „Odysei" w reżyserii Christophera Nolana znacznie odbiega od pierwowzoru literackiego Homera FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Piotr Gociek

Ćwiartowanie i mielenie klasyki stało się we współczesnym kinie powszechne. Od Emily Brontë po George'a Orwella

Część z tych filmów nie znalazła w kinach publiczności, za to doczekała się pochwał za odwagę i bezkompromisowość. Wziąć dorobek nieżyjącego od dawna autora i posiekać, wyszydzić, obrócić kota ogonem, rzeczywiście, ależ to wielka odwaga. Spójrzmy na serię filmów, które weszły na nasze ekrany w cieniu sporów o serial „Lalka" Pawła Maślony i wcześniejszych kontrowersji wokół „Odysei" wedle Christophera Nolana. Nie, to zdecydowanie nie jest dobry rok dla klasyki.

Czy ktoś pamięta jeszcze promocyjny hałas wokół nowej wersji „Wichrowych Wzgórz"? Miał to być kinowy hit na walentynki. Po wyjściu z kina byłem tak zniesmaczony, że postanowiłem pominąć to dziwne dokonanie milczeniem, wychodząc z założenia, że nie ma potrzeby zawracania głowy czytelnikom „Do Rzeczy" rzeczami bezwartościowymi. Dziś wracam do tego filmu dlatego, że jest częścią potopu ideologicznej chałtury, który z każdym rokiem niestety narasta. Reżyserem filmu była aktorka brytyjska Emerald Fennell, od kilku lat kręcąca także filmy. Jej debiut („Obiecująca. Młoda. Kobieta") to kino zemsty (kobiet na mężczyznach), z kolei całkiem niezły „Saltburn" był reinterpretacją motywów z „Utalentowanego pana Ripleya" Patricii Highsmith, tyle że rozegraną w świecie brytyjskiej arystokracji.

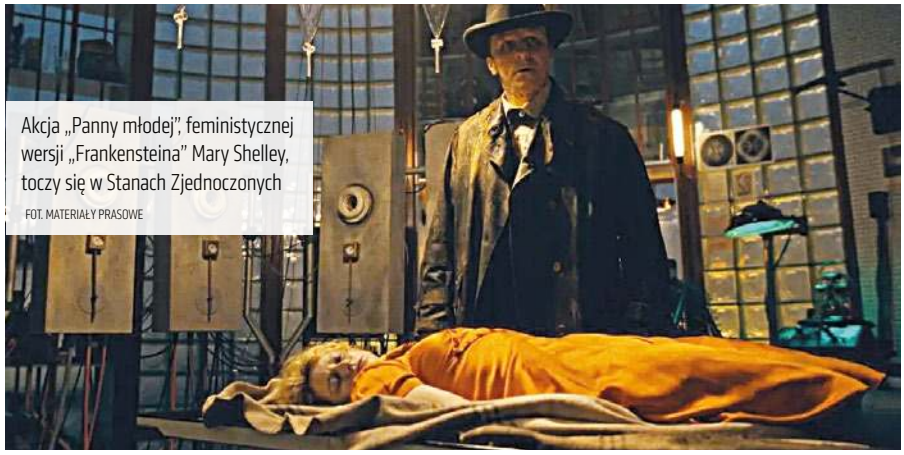
Słowo „reinterpretacja" jest kluczowe dla „Wichrowych Wzgórz"; dodałbym nawet: bardzo luźna reinterpretacja. Fennell rozbudziła nadzieje, obsadzając w rolach głównych Margot Robbie (Catherine) i Jacoba Elordi (Heathcliff), zamieniła jednak klasyczną, posępną historię miłosną w trudny do zniesienia spektakl wrzasków, jęków i scen sadomasochistycznych. Rozczarowanie było ogromne, ale napędzany potężną kampanią reklamową film zdołał zarobić łącznie na świecie niemal ćwierć miliarda dolarów. Bez wątpienia częściowo dlatego, że kupujący bilety nie do końca wiedzieli, jaki pasztet wysmażono z brytyjskiej klasyki tym razem, a tytuł „Wichrowe Wzgórza" ma potężną moc przyciągania. Krótko mówiąc, dla miłośników prozy Emily Brontë nie były to udane walentynki.

Wielka kampania promocyjna nie była jednak w stanie uratować mordu dokonanego na innej brytyjskiej klasyce: filmu „Panna młoda!" („The Bride!") w reżyserii Maggie Gyllenhaal. Ta wzięła z kolei na warsztat powieść „Frankenstein" Mary Shelley i dokonała swojej „reinterpretacji". Akcję przeniosła do przedwojennego Chicago, w centrum dramatu postawiła nie potwora, lecz jego równupiorną narzeczoną, zamieniając całość w manifest feministyczny przebrany w coś na kształt „Bonnie i Clyde". Gyllenhaal nakręciła film tak zły, że nawet przychylni lewoskrętnym ekscesom krytycy mieli kłopot z jego chwaleniem. Ale gdy już krytykowali, to oczywiście nie za głupotę, tylko za chaotyczny montaż i brak spójności. Ups. Film kosztował tyle co „Wichrowe Wzgórza", czyli ok. 90 mln dol. Zarobił jednak tylko jedną czwartą tej kwoty, szybko zszedł z ekranów kin, a i w streamingu pozostaje tylko jednym z wielkich kuriozów roku 2026.

CAMUS ANTYRASISTOWSKI

Lato należało do „Odysei" Christophera Nolana, o której sporo pisałem w osobnym tekście. Ale wspomnieć o niej krótko trzeba, jak to ujął Antoni Libera, Nolan wziął fundamentalny dla cywilizacji Zachodu tekst Homera i obrócił go w tyradę przeciw tej cywilizacji. Piękno, zachwyt, mądrość, niezwykłe przygody – wszystko to ustąpiło traktatowi o tym, jak zły jest człowiek, a przebiegły, zuchwały Odyseusz zamienił się w żołdaka dotkniętego syndromem PTSD. A ponieważ publiczność już dała się wychować, czy może lepiej powiedziałbym: urobić, w takim właśnie duchu, to film okazał się sukcesem kasowym. Tak jak wcześniej „Hamnet", który z kolei redukował znaczenia najsłynniejszego dramatu Szekspira, zmieniając wielki traktat o sensie życia, polityce i ludzkich namiętnościach w łzawą przypowiastkę o traumie rodzica po stracie dziecka.

eprasa.pl 086c9af544



Akcja „Panny młodej", feministycznej wersji „Frankensteina" Mary Shelley, toczy się w Stanach Zjednoczonych

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Najnowsza ekranizacja „Wichrowych Wzgórz" mocno rozczarowała, lecz okazała się sukcesem finansowym

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jesień roku 2026 przyniosła nam nieszczęsną „Lalkę" w wersji Netflixa, znaczy w reinterpretacji Pawła Maślony, ale w cieniu sporów, jakie (słusznie) wywołała ta produkcja, równie niepokojące rzeczy działy się w kinie. Oto jeden z bardziej znanych reżyserów francuskich, François Ozon, wziął na warsztat słynną powieść Alberta Camusa „Obcy". Jego film, pokazywany w ubiegłym roku na festiwalu filmowym w Wenecji, trafił na polskie ekrany z rocznym opóźnieniem. Wizualnie intrygujący, nakręcony w czerni i bieli, estetycznie elegancki, to co najlepsze zawdzięcza zdjęciom Manu Dacosse'a. Jeśli zaś idzie o adaptację, znów mamy do czynienia z reinterpretacją, choć na pozór bliską oryginałowi. Otwarcie manifestujący swój homoseksualizm Ozon musiał jednak dodać do tego arcydzieła francuskiej literatury egzystencjalnej coś od siebie, znaczy wątki homoerotyczne oraz dołożyć przesłanie antyrasistowskie. Tak się to dziś robi, panie i panowie, takie obowiązują reguły.

A przecież rok jeszcze się nie skończył: przed nami premiera nowej wersji „Rozważnej i romantycznej" na motywach słynnej powieści Jane Austen. Film trafi do polskich kin w połowie października. Jeszcze nie oglądałem, ale przeczucia mam ponure, gdy widzę w recenzjach zagranicznych, że podkreśla się odejście od lekkości, humoru i satyry społecznej literackiego oryginału na rzecz klimatów ponurych. W przyszłym roku Greta Gerwig, autorka „Barbie", ma nam dać pierwszy z planowanych filmów wedle cyklu „Opowieści z Narnii" C.S. Lewisa. Może już czas zacząć się bać? Szczególnie że to projekt Netflixa.

ORWELL ANTYKAPITALISTYCZNY

Co ciekawe i niepokojące, nie tylko lewa strona sporu pozwala sobie na karygodne manipulacje klasyki literatury, by dopasować ją (reinterpretować?) na potrzeby współczesnych ideologicznych wojen. Jakieś było moje rozczarowanie, gdy obejrzałem „Folwark zwierzęcy" według prozy George'a Orwella (Film trafił na polskie ekrany we wrześniu). Film w reżyserii Andy'ego Serkisa (pamiętamy go z roli Golluma we „Władcy pierścieni") to kuriozum. Z jednej strony nadzieje były wielkie, bo to projekt Angel Studio, czyli niezależnej amerykańskiej firmy producenckiej, która na sztandary wciągnęła sprzeciw przeciwko lewoskrętnemu Hollywood i nie wstydzi się wartości chrześcijańskich, inwestując w projekty konserwatywne. To właśnie Angel Studio stało za sukcesem świetnego thrillera „Sound of Freedom. Dźwięk wolności" (2023), a niedawno za „Młodym Waszyngtonem", który odniósł w amerykańskich kinach tak wielki sukces, że już trwają prace nad kontynuacją. W grudniu także do polskich kin ma trafić ich dramat o narodzinach Chrystusa „Zero A.D.".

W przypadku animowanego „Folwarku zwierzęcego" producenci i scenarzyści powędrowali jednak na manowce. Niby wszystko się zgadza, jest świetna obsada (w wersji oryginalnej m.in. Seth Rogen, Steve Buscemi, Woody Harrelson czy Glenn Close). Ale przerobiono gorzką satyrę Orwella na film o przesłaniu wymierzonym w… złych, chciwych kapitalistów. Widzę w tym wyraz głębokiego zagubienia amerykańskiej altprawicy, która w swoim antyestablishmentowym zapale (zresztą słusznym) przekracza granicę między krytyką zwyrodnień turbokapitalizmu a kapitalizmu jako takiego. Co niebezpiecznie zbliża wyznawców MAGA i okolic do retoryki, jaką uprawiają obecnie w USA socjaliści kolonizujący coraz bardziej Partię Demokratyczną. To jest poważne zagrożenie, ponieważ z badań opinii publicznej wynika, że coraz więcej konserwatywnych wyborców (czy raczej republikańskich), zwłaszcza młodych, zaczyna z aprobatą wypowiadać się np. o nacjonalizacji banków czy kluczowych elementów amerykańskiej gospodarki.

Wszystko to dowodzi, jak bardzo potrzebna jest nam klasyka. Nie klasyka wydrwiona, przekręcona, reinterpretowana, zremiksowana, przemielona. Odpowiedzi na wątpliwości nowego wieku znajdujemy przecież w dziełach dawnych, tyle że trzeba opanować w tym celu sztukę czytania ze zrozumieniem i nie dać się uwieść zapalczywym agitatorom politycznym. Tymczasem to, co nazywa się dziś „adaptacjami klasyki", to najczęściej domalowywanie wąsów do portretu „Mony Lisy" – w najlepszym przypadku. A w najgorszym? W najgorszym – część wielkiej inżynierii społecznej. Sami odpowiedzcie sobie, którą interpretację wolicie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 086c9af544



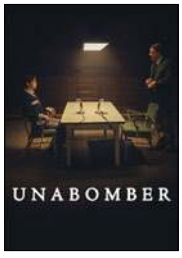
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Melodramacik



★★★☆☆☆

REŻ. JANUS METZ PEDERSEN
„UNABOMBER"
USA 2026

wyst. Jacob Tremblay, Russell Crowe, Shailene Woodley

Ted Kaczynski, nazywany Unabomberem, był jednym z najbardziej inteligentnych przeciwników, z którym kiedykolwiek zmierzyć musiały się amerykańskie organy ścigania. Ten pojedynek na spryt Kaczynski wygrał (mimo że ostatecznie został schwytany), bo udało się go aresztować nie dzięki jego błędom, nie dzięki profilom przygotowanym żmudnie przez FBI, ale dlatego, że wsypał go jego własny brat. W opublikowanym przez prasę manifeście Unabombera wyczytał bowiem frazy i porównania, które mocno przypominały mu retorykę Teda.

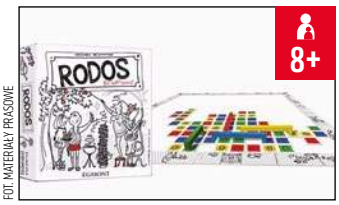
Scenarzyści filmu, który miał premierę kilka dni temu na Netflixie zamieniają ten pojedynek w ckliwą opowiastkę o tym, jak to skrzywdzony za młodu wrażliwy geniusz musiał zejść na złą drogę. Jeden z niewielu ciekawych elementów tej układanki to krzywdziciel – profesor psychologii z Harvardu Henry Murray, którego gra Russell Crowe i czyni to świetnie. Dobrą robotę wykonuje też Jacob Tremblay w roli tytułowej, ale skalę sukcesu ma ograniczoną, nie przez braki talentu, ale braki scenariusza, w którym oprócz łopatologii w stylu „Jokera" Todda Phillipsa (przykuli go do kaloryfera, no to się mścił) ciekawych rzeczy brak. Jest za to jazda obowiązkowa wedle podręcznika kręcenia współczesnych opowiastek rozrywkowych: za wszystkim stoi zła CIA, a FBI ma kłopot ze złapaniem Unabombera głównie ze względu na panującą w firmie mizoginię.

Agentkę Miller, którą przedstawia się tu jako kluczową dla wysiłków biura, gra Shailene Woodley i jest mniej więcej tak fascynująca jak deski chaty, w której mieszka Unabomber. Cóż, nie każda decyzja obsadowa kończy się takim sukcesem jak obsadzenie Jodie Foster w „Milczeniu owiec".

Akcja skacze między młodością Teda i torturami, jakim poddaje Kaczynskiego prof. Murray na uczelni, a połową lat 90., kiedy to dobiec końca miało śledztwo. Nic jednak nie przybliża nas do rozwiązania zagadki Unabombera. Co tak naprawdę było przyczyną jego przemiany? Terrorystyczne metody były absolutnie nie do zaakceptowania (jego bomby zabiły trzy osoby i zraniły 23 inne), ale czy w jego antytechnologicznym manifeście kryje się jakiś sens, a jeśli tak – to dlaczego? Oto idealny przedmiot refleksji w czasach, gdy świat opanowuje gorączka irracjonalnych lęków przed AI. Ale zamiast refleksji dostajemy melodramacik. ©℗

GRA TYGODNIA: „RODOS. BITWA O DZIAŁKĘ"

Wakacje na Rodos? A może na RODOS? Rodzinne ogródki działkowe urzekły Grzegorza Rejchtmana, który stworzył idealną grę na zakończenie sezonu działkowego. Planowanie, spryt i odrobina szczęścia mogą sprawić, że to twoja działka wygra jako największa i najpiękniejsza. Każdy z graczy uprawia inną roślinę. Zadaniem jest stworzenie jak największej działki, poprzez zabezpieczenie swoich upraw i połączenie jej najdalej sięgających zakątków. Układaj kafelki, blokuj płotkami i siatkami rywali działkowiczów! Bądź królem RODOS! ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

Anna Zalewska

- ***Gatunek:*** ***kafelkowa, układanka logiczna***
- ***Producent, wydawca:*** ***Egmont***

eprasa.pl 086c9af544

Ostatni romantycy

KINO



★★★☆☆☆

REŻ. MACIEJ KAWALSKI „LALKA" POLSKA 2026

wyst. Marcin Dorociński, Kamila Urzędowska, Agata Kulesza

Zdegustowani serialem Netflixa mogą odetchnąć. Kinowa „Lalka" nie szarpie Bolesława Prusa za wąsy, choć gdyby pojawiła się na ekranach pierwsza, zapewne i ona zebrałaby cięgi od strażników narodowego kanonu. Kawalski i spółka, mając do dyspozycji zaledwie 162 minuty, musieli dokonać znacznych skrótów. Ofiarą padł m.in. Rzecki, który po amputacji wątku Stawskiej stał się figurą drugorzędną.

Z całym szacunkiem dla Marka Kondrata tę rolę powinien zagrać młodszy aktor. Zatrudnienie weteranów odczytuję jako hołd złożony złotej epoce adaptacji literackich. Jan Englert w 1978 r. był subiektem, po 48 latach awansował na księcia.

Nowej „Lalce" najbliżej jest właśnie do serialu Ryszarda Bera. Bohater, zuchwały kapitalista, zakochuje się jak sztubak. Na domiar złego w nieodpowiedniej kobiecie. Wokulski-Dorociński jak na mój gust jest zbyt ekspresyjny (może za bardzo przywiązałem się do Wokulskiego-Kamasa). Łęcki w interpretacji Seweryna to zwykły głupiec. Inni, nawet kuzynek Starski, są natomiast zadziwiająco samoświadomi. Pani Meliton wprawia machinę w ruch. Bez niej nieśmiały bohater poprzestałby na westchnieniach, zamiast osaczać lubą „presją ekonomiczną".

Prus pojawia się na ekranie jako dziennikarz „Kuriera". Chciałoby się więcej takich scen, ale Kawalski – który w „Niebezpiecznych dżentelmenach" zaskoczył dezynwolturą – tutaj postanowił być aż do przesady akuratny. W Zakopanem, kurorcie autonomicznej Galicji, wyeksponował austriacką żandarmerię. W rusyfikowanej Warszawie przegapił obecność carskich sołdatów. Scenarzyści nie skorzystali też z okazji, by odcenzurować oryginał. Może z sympatii do Wokulskiego… Obszerniejsze pokazanie relacji z Suzinem rzuciłoby wszak cień na byłego powstańca. Nigdy dość przypominania: „wielką sprawą", dla której nasz nuworysz mógł i powinien wszystko poświęcić, była nauka lub filantropia, nie ojczyzna.

Sądzę, że największą przeszkodą w zdobyciu przez nową „Lalkę" serc publiczności będzie anachronizm jej przesłania. Antyromantyczna wersja Netflixa, w której mężczyznom najbardziej zależy na pieniądzach, a kobietom na pognębieniu mężczyzn, lepiej odpowiada duchowi naszych czasów. ©℗

Wiesław Chełminiak

MORAŁ W KURNIKU

Zaczyna się ab ovo, czyli od jajka, finałem nie będzie jednak rosół. Tytułowa bohaterka wygrała szczęśliwy los na loterii życia: urodziła się z czarnym upierzeniem, dzięki czemu spotka ją los inny niż koleżanki. Ciekawa świata i zaradna swymi poczynaniami wielekroć zaprzeczy krzywdzącym stereotypom o kurzym móżdżku. Zazna przygód godnych protagonistów awanturniczych powieści. Wybierze wolność, ale będą próbować zrobić z niej kurę domową. György Pálfi bawi się konwencją. Mamy tu kino drogi, love story, dreszczowiec (ucieczka przed lisem), a nawet horror (przedwczesny pogrzeb), przede wszystkim jednak moralitet. Zanim nasza Greczynka odnajdzie prawdziwą miłość i zostanie matką, pozna prawdę o drapieżnym i bezdusznym gatunku Homo sapiens. Unikajmy wzroku kwok oraz kogutów. W ich oczach widać, co o nas myślą. ©℗



KINO

★★★★☆☆

REŻ. GYÖRGY PÁLFI „KURA" („KOTA") WĘGRY/GRECJA/ NIEMCY 2025

wyst. Yannis Kokiasmenos, Maria Diakopanayotou, Argyris Pandazaras



ANNA ZALEWSKA

DO ZOBACZENIA

Picasso i pikasiaki. Nowoczesna ceramika

Niewiele osób wie, że Pablo Picasso w dojrzałym wieku interesował się również ceramiką, tworząc unikatowe dzieła, własnoręcznie ryte i malowane. W 1948 r. przywiózł ze sobą do Polski 20 dużych fajansowych półmisków, z których sześć możemy podziwiać na krakowskiej wystawie.

Naczynia prezentowane są obok polskiej ceramiki autorskiej i fabrycznej o charakterystycznych, asymetrycznych kształtach, zdobionej abstrakcyjnymi motywami w mocnych, kontrastowych barwach. To pikasy lub pikasiaki, stylizowane w taki sposób, aby kojarzyły się ze stylem hiszpańskiego artysty. Ich twórcami są m.in. projektanci z Instytutu Wzornictwa Przemysłowego w Warszawie. Oprócz pikasiaków można obejrzeć unikatową ceramikę takich twórców jak: Julia Kotarbińska, Helena Hussarska, Leszek Dutka, Andrzej Trzaska czy Helena i Lech Grześkiewiczowie. ©℗



FOT. TOMASZ SUTOR

GDZIE? ***Kamienica Szołayskich, Kraków***
KIEDY? ***do 7 lutego 2027 r.***

eprasa.pl 086c9af544



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Wieczny strach

Ta powieść piszącego po rosyjsku, a żyjącego na Zachodzie pisarza białoruskiego, choć dzieje się już po rozpadzie ZSRS, na początku naszego wieku w Mińsku, opowiada o komunizmie, tym najgorszym, najbardziej tragicznym z lat stalinowskich, ale i o jego pozostałościach. O złogach wciąż istniejących i zatruwających życie także tych, którzy z racji późnego urodzenia mieli prawo liczyć na to, że będą żyć w zupełnie innym świecie. O tym, że tak nie jest, przekonuje się Sasza, młody wdowiec, który nawiązuje więź z 91-letnią ofiarą represji z lat wojennych i poznaje jej niezwykły życiorys.

Tatiana Aleksiejewna urodziła się w Londynie, co w sowieckiej rzeczywistości już było obciążające. Otrzymała pracę w Ludowym Komisariacie Spraw Zagranicznych, czyli w sowieckim MSZ-cie, bo i tam potrzebni byli ludzie ze znajomością języków obcych. W 1934 r. poznała Loszę, architekta, działającego w organizacji Pomoc Więźniom Politycznym, zlikwidowanej dopiero przez Jeżowa. Losza pomagał w zbiórce środków dla skazanych. Pobrali się, mieli córkę Asię.

Do ostatniego dnia przekonana była, że wojny nie będzie; w końcu – powiada – „po zawarciu paktu Ribbentrop-Mołotow utrzymywaliśmy z Niemcami co najmniej dobre relacje", a gdy niemiecka armia weszła do Paryża, sowieccy dyplomaci wyszli na powitanie hitlerowskich wojsk. Jedyny chargé d'affaires źle mówił o przywódcy III Rzeszy, toteż został odwołany i skazany w Moskwie na pięć lat za szerzenie nastrojów antyniemieckich. – A wie pan kiedy? – pyta swego rozmówcę Tatiana Aleksiejewna. – We wrześniu 1941 r.! Faszyści stali pod Moskwą, a my wsadzaliśmy do więzień swoich dyplomatów, ponieważ wypowiadali się źle o Hitlerze. No tak, wrogami to były Polska, Finlandia, Japonia, ale nie Niemcy przecież.

Mąż został zmobilizowany i po pewnym czasie znalazła jego nazwisko na nadesłanej przez Czerwony Krzyż liście jeńców przebywających w Rumunii. To była fatalna wiadomość. Dzielny, radziecki żołnierz nie mógł trafić do niewoli, powinien oddać życie – za ojczyznę i Stalina. Jeżeli jednak się poddał, uznany zostawał za dezertera, a jego bliskich aresztowano jako rodzinę zdrajcy.

Jej względnie normalne życie zakończyło się w lipcu 1945 r.: „Radzieccy obywatele przeżywali niewiarygodny entuzjazm, a czekiści wmaszerowali do mojego domu w takt zwycięskich marszy". W czymś, co udawało śledztwo, była poniżana, bita i gwałcona. Skazano ją na 15 lat łagru, odsiedziała 10, ale dopiero po zrehabilitowaniu w 1957 r. zezwolono jej wrócić do Moskwy. Nie miała tam już nikogo, pojechała więc do Mińska, gdzie odnalazła matkę męża. Dopiero Tatiana ustaliła fakty, dowiedziała się o rozstrzelaniu Loszy i o córce zmarłej z niedożywienia w 1946 r.: „Władza sowiecka nie ofiarowała jej ani grobu, ani krzyża. Tylko tabliczkę z numerem".

W trakcie poszukiwań poznała kobietę, której męża, białoruskiego reżysera teatralnego, rozstrzelano w 1937 r., syna aresztowano dwa lata później, za to, że rozmawiał w ojczystym, białoruskim języku. Zlikwidowano go, ale nie mogła ustalić miejsca pochówku.

„Pamiętam – opowiada Tatiana – jak siedziałyśmy w tym mieszkaniu w kwietniu 1961 r. Człowiek dopiero wrócił z Kosmosu. Jurij Gagarin obwieścił, że nie widział tam żadnego Boga, a Jadwiga, usłyszawszy jego słowa, zadrwiła: Nie trzeba było lecieć w Kosmos, żeby się tego dowiedzieć – wystarczyło udać się do pierwszego lepszego łagru […]. Znów przegrałyśmy – powiedziała Jadwiga. – Teraz już zawsze będą zasłaniać się sukcesem Gagarina i mówić, że to nie było po nic…

Co nie było po nic…?

Wszystko. Rozstrzelanie carskiej rodziny, to, co spotkało białych oficerów, których tysiącami zagnano na barki i potopiono żywcem, tambowskie powstanie chłopskie, spalone wsie, zamordowani poeci, Hołodomor, łagry – teraz już zawsze będą mówić, że to nie było po nic.

Można by pomyśleć, że bez tego nie moglibyśmy polecieć w Kosmos.

Niestety większość zawsze będzie właśnie tak myśleć".

Jest 2010 r., a w Kuropatach, miejscu, gdzie NKWD-ziści rozstrzelali w latach 30. dziesiątki tysięcy osób, interweniuje policja, zamykając demonstrujących przeciw planowanej obwodnicy prowadzącej akurat przez cmentarz. Także Tatianę i Saszę, mającego swoją osobistą traumę, swój ból i pamięć noszącą to samo imię.

Ale białoruski „Baćka" jest czerwony do szpiku kości. Nie podoba mu się, że czczona jest pamięć ofiar represji. Stalina przyjęło się chwalić, nie krytykować. A dzieci w przedszkolu w Mińsku obchodząca urodziny wychowawczyni częstuje otrzymanym tortem w kształcie towarzysza Stalina. Ktoś zjadł mu nogę, kto inny pagony i medale. Ale za bardzo im nie smakował. Może te dzieci potrafią już żyć bez strachu? ©℗



★★★★★★

SASZA FILIPENKO „CZERWONY KRZYŻ"
NOIR SUR BLANC, WARSZAWA 2026

eprasa.pl 086c9af544



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Z kufra mistrza

Za niezbyt udanym tytułem (sugerującym wesołą historię o ufokach) kryje się książka dobra, poważna i ciekawa. Córka Briana Aldissa na stulecie jego urodzin (przypadło w ubiegłym roku) wybrała z obszernej spuścizny ojca 27 opowiadań. Czy najlepszych? Raczej jej najbliższych. Jest to jednak próbka reprezentatywna dla twórczości znakomitego autora, który podobnie jak J.G. Ballard wyrwał się z getta brytyjskich pisarzy SF i jest dziś postrzegany po prostu jako wybitny pisarz brytyjski drugiej połowy XX w., moim zdaniem ciekawszy i bardziej różnorodny od Ballarda.

Z 27 opowiadań aż 19 to polskie premiery; te, które już znaliśmy, ukazują się z kolei w nowym przekładzie (nie było to potrzebne, ale takie prawa rynku – kto tam ma czas i pieniądze, by szukać autorów lub spadkobierców poprzednich tłumaczeń). Dla fanów fantastyki ważną wieścią jest uwzględnienie opowiadania „Superzabawki trwają przez całe lato", które chciał na ekran przenieść Stanley Kubrick, by ostatecznie odstąpić projekt Stevenowi Spielbergowi. Tak powstał film „A.I. Sztuczna inteligencja". Aldiss po latach wspominał, że nie chciał początkowo sprzedawać praw do tekstu. No bo niby jak z kilku stron Kubrick miałby zrobić dwugodzinny film? Reżyser przekonał go słowami: „Mogłem to zrobić z opowiadaniem Clarke'a, to mogę i z twoim" (arcydzieło ekranowe science-fiction pt. „2001. Odyseja kosmiczna" inspirowane było krótkim opowiadaniem Arthura C. Clarke'a „Posterunek").

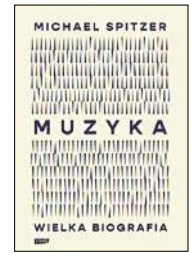
Zmarły w 2017 r. Aldiss był jednym z tych pisarzy, którzy najpierw zainteresowali się literaturą, a dopiero potem fantastyką. Nigdy nie satysfakcjonowały go proste opowiastki, zawsze chciał zaserwować czytelnikom coś więcej (czasem przesadzał z zapałem do eksperymentów, jak wielu innych autorów Nowej Fali). Nowy wybór ukazuje skalę jego talentu, od klasyki SF jak „Biedny mały wojownik", po prozę psychologiczną jak „O jeden tupolew za daleko"), w której fantastyka (tu akurat alternatywna) służy jako katalizator wydarzeń, ale ważniejszy jest styl (coś między Ianem McEwanem a Janem Wolkersem). ©℗



★★★★★★
BRIAN ALDISS „HALO, ZIEMIA! JESTEŚCIE TAM?" REBIS 2026

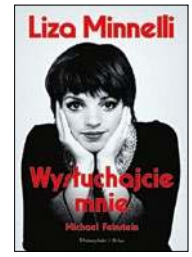
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Od muzyki sfer po melodie pop, od króla Dawida do Michaela Jacksona, obszerna, imponująca znawstwem i obfitująca w anegdoty opowieść, której autor swobodnie wędruje między muzykologią a psychologią i filozofią.



MICHAEL SPITZER „MUZYKA. WIELKA BIOGRAFIA" ZNAK

Autobiografia kontrowersyjnej gwiazdy, której życie naznaczone było walką z uzależnieniami. Gwiazda „Kabaretu", uwielbiana artystka, wykpiwana za wybory w życiu prywatnym. Mówi wiele. Nie wszystko, ale chyba szczerze.



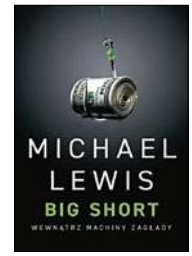
LIZA MINNELLI „WYSŁUCHAJCIE MNIE" PRÓSZYŃSKI I S-KA

Uroczy, subiektywny i pożyteczny przewodnik po warszawskich drogach i bezdrożach. Dla każdego coś ciekawego, szlakiem syrenek, a może bobrów, a może historii. Moje serce podbiła górska korona Warszawy. Da się!



JAN MENCWEL „PRZYGODOWNIK WARSZAWSKI" NEWHOMERS

Wznowienie najlepszej książki o kulisach wielkiego kryzysu 2008 r., w roku 2015 zekranizowanej. Lektura fascynująca, zwłaszcza że kolejny kryzys na horyzoncie. Lewis pracował za młodu na Wall Street i wie, o czym pisze. ***recenzuje Piotr Gociek***



MICHAEL LEWIS „BIG SHORT" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:
„WE WNĘTRZU ZIEMI"
Adaptacja klasycznej powieści przygodowo-fantastycznej otwierającej cykl Pellucidar, opartej na szalonym pomyśle: Ziemia we wnętrzu jest pusta i kryje inny świat. Ale ponieważ Edgar Rice Burroughs miał wielki talent narracyjny i nielichą wyobraźnię, rzecz czyta się świetnie. Jest to rozrywka w tradycyjnym stylu: mężczyźni są bohaterscy i honorowi, a kobiety nie gardzą ich protekcją.



JEAN-DAVID MORVAN, RAFAEL ORTIZ „WE WNĘTRZU ZIEMI" EGMONT 2026

Piotr Gociek

eprasa.pl 086c9af544



Z emerytowanym pułkownikiem US Army Lawrence'em B. Wilkersonem
rozmawia Michał Krupa

NATO to żywy trup

MICHAŁ KRUPA: Prezydent Trump ogłosił, że w sprawie utworzenia stałej bazy wojskowej w Polsce poczyniono „wielkie postępy". Polski minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz oświadczył, że Polska jest gotowa na stałe przyjmować amerykańskich żołnierzy. Koszty tych inwestycji po stronie polskiej mają wynieść od 15 do 17 mld zł. Decyzję tę przyjął z zadowoleniem również prezydent Polski Karol Nawrocki. Oficjalnym celem tej bazy ma być odstraszanie Rosji. Jaka jest pana wstępna ocena tego planu?

PŁK LAWRENCE B. WILKERSON: Po pierwsze, nigdy nie wiadomo, co Trump naprawdę ma na myśli, mówiąc o „wielkich postępach" – może to oznaczać wszystko: od „kiedyś to zrobimy", przez „do końca mojej kadencji chyba będziemy mieli bazę w Polsce", aż po „w ogóle nie składałem żadnych obietnic…". Tak to wygląda, gdy ufa się Donaldowi Trumpowi w obecnej kadencji – a właściwie zawsze.

Po drugie, jeśli baza o jakimkolwiek realnym znaczeniu rzeczywiście powstanie i jeśli Amerykanie w ogóle będą mieli dość żołnierzy, by ją obsadzić, to jej obecność nie ustabilizuje Polski ani Europy Wschodniej, lecz przeciwnie: będzie działać destabilizująco. Byłby to jeden z najniebezpieczniejszych kroków, które Warszawa mogłaby teraz wykonać w coraz bardziej szalejącej Europie. Dotyczy to

eprasa.pl 086c9af544



FOT. ADOBE STOCK

wielu, jeśli nie większości rządów poszczególnych państw (chwała Bogu za Hiszpanię), Unii Europejskiej i Komisji Europejskiej, a także samego NATO. Wszystkie te struktury nie tylko tracą znaczenie, lecz także dryfują w stronę niebezpiecznych i rażąco wstecznych postaw. Von der Leyen wie, że Ukraina kradnie większość euro, które jej wysyła, ale i tak chce kupić czas – jak sama sądzi – na przezbrojenie NATO.

Rosja ma ogromne zasoby tego, czego Europa potrzebuje energetycznie, żeby przetrwać do chwili, gdy era paliw kopalnych ustąpi miejsca odnawialnym źródłom energii. Ten proces jest dziś nierówny i opóźniony, ale przyspieszy, gdy skutki spowodowanej przez człowieka zmiany klimatu staną się jeszcze bardziej drastyczne. Na razie jednak rosyjskie paliwa kopalne są Europie niezbędne.

Co więcej, jak mawia mój przyjaciel, emerytowany generał armii amerykańskiej Dennis Laich, amerykańska armia „ma pysk aligatora i wargi dzięcioła" – czyli dużo gada, a mało może. Szybko stajemy się papierowym tygrysem. Jaki więc pożytek dla bezpieczeństwa ma łączenie dwóch takich tygrysów, skoro istnieją inne rozwiązania: dyplomacja i normalne relacje gospodarcze zamiast baz, sankcji i nieodpowiedzialnych słów pod adresem Moskwy?

W 2018 r. Michael Kofman napisał artykuł krytykujący ówczesne plany utworzenia w Polsce „Fortu Trump". Zakładając, że Rosja byłaby zdeterminowana, by zaatakować Polskę, Kofman zwraca uwagę na istotną kwestię: „Zawsze znajdą się tacy, którzy uważają, że w odstraszaniu im więcej, tym lepiej i że samo ustawienie jednostek gdzieś w pobliżu granic przeciwnika automatycznie zwiększa odstraszanie. Tak to nie działa. Siły muszą być adekwatne do możliwości przeciwnika, pokazywać, że potrafią zagrozić temu, co on ceni, i być odporne na atak z zaskoczenia. Umieszczenie dywizji w Polsce niewiele daje. Wręcz przeciwnie – świadczy o niezrozumieniu rosyjskiej doktryny wojskowej i rosyjskiej myśli wojskowej". Czy jako były wojskowy podziela pan te oceny?

Podzielam je niemal w całości. To „niemal" dotyczy tylko skrajnego pytania o rzeczywistą żywotność sił przy granicy. Decyduje tu ogromny potencjał nuklearny imperium amerykańskiego, ustępujący jedynie Rosji – a różnica jest tak niewielka, że nie warto o niej dyskutować. Coraz częściej stare pojęcie odstraszania traci sens wobec kilku obłąkanych przywódców dysponujących taką bronią, a imperium jest dziś pod tym względem przykładem szczególnie jaskrawym. Ten „parasol nuklearny" wciąż jednak odstrasza, zwłaszcza teraz, a wobec bilionów dolarów, które imperium zamierza wydać na nowe uzbrojenie tego typu, być może także w dłuższej perspektywie. Nie ma przy tym żadnej gwarancji, że wraz z niewątpliwym słabnięciem Ameryki w innych dziedzinach broń jądrowa nie zacznie odgrywać w jej rachubach bezpieczeństwa coraz większej roli.

„Jak mawia mój przyjaciel, emerytowany generał armii amerykańskiej Dennis Laich, amerykańska armia dużo gada, a mało może"

Niektórzy zwracają uwagę, że polski entuzjazm wobec stacjonowania amerykańskich sił na terytorium Rzeczypospolitej jako gwarancji bezpieczeństwa zdaje się pomijać to, co w ostatnich miesiącach dzieje się z bazami USA na Bliskim Wschodzie. Czy zgodziłby się pan, że jest w tym sporo myślenia życzeniowego?

Tak, zgadzam się. Stary model baz wysuniętych szybko okazuje się przestarzały i przy tym bardzo kosztowny. Siły rozlokowane z dala od własnego terytorium są skrajnie wrażliwe, a wraz z nimi stają się wrażliwe także państwa gospodarze. Imperium powoli zaczyna to rozumieć, najjaskrawiej w Azji Południowo-Zachodniej, skąd w ciągu najbliższego roku, a może nieco dłużej, najpewniej wycofa wszystkie siły wysunięte, z możliwym wyjątkiem okresowej obecności marynarki na otaczających wodach. Imperialna koncepcja reduty na półkuli zachodniej, odbudowy sił, dominacji nad „podwórkiem" i grabienia go w razie potrzeby nie zostawia miejsca na bazy zamorskie, z pewnością nie w skali ponad 750 takich baz i instalacji dziś istniejących.

W Europie wciąż spekuluje się o żywotności NATO. Jedni twierdzą, że sojusz jest w odwrocie, inni – że uratować go może tylko „NATO 3.0", z silniejszym europejskim trzonem. Jak pan ocenia przyszłość NATO w najbliższym czasie?

Uważam, że NATO to „żywy trup", czekający już tylko na odrzucenie poglądów takich strategicznych głupców jak Mark Rutte, Ursula von der Leyen, Friedrich Merz, Emmanuel Macron i inni rusofobiczni przywódcy. Niedawne wybory w Szwecji mogą zwiastować to, co europejskie społeczeństwa zrobią w najbliższych latach, by odrzucić obecną

eprasa.pl 086c9af544



Ursula von der Leyen wie, że Ukraina kradnie większość euro, które jej wysyła

FOT. ADOBE STOCK

generację liderów – z wyraźnym wyjątkiem Hiszpanii. Podobny sygnał daje AfD w Niemczech. W samym imperium ludzie tacy jak Elbridge Colby, Stephen Miller i Russ Vought, znacznie silniejsi niż J.D. Vance, Marco Rubio czy Pete Hegseth, myślą o przyszłości imperium amerykańskiego jako o reducie na półkuli zachodniej, a nie o wplątujących sojuszach z Europą czy Azją Wschodnią. Dlatego spodziewam się zaniku więzi transatlantyckiej, poza relacjami gospodarczymi, finansowymi i innymi pozamilitarnymi. Podobnie osłabną, jak sądzę, związki militarne z Japonią i Koreą Południową.

Niedawno poczynił pan ważną uwagę o rosyjskiej polityce zagranicznej, przypominając, jak wysoko pana były szef, Colin Powell, cenił rosyjskiego ministra spraw zagranicznych Siergieja Ławrowa. Co wyróżnia Ławrowa na tle wielu innych szefów dyplomacji, w tym naszego Radka Sikorskiego?

Powell powiedział mi kiedyś: „Kiedy Siergiej mówi, mówi to, co myśli – i myśli to, co mówi". Było to późną wiosną 2004 r., tuż po jego nominacji na ministra spraw zagranicznych Rosji. Przypomniałem sobie te słowa, gdy stwierdził: „Nasza cierpliwość się skończyła…" – o wojnie na Ukrainie. „Nasza cierpliwość" oznacza tu Putina, jego samego i znaczną część Rosji. Trzeźwy, niezwykle mądry i w pełni reprezentujący swojego prezydenta Siergiej, tak jak chiński minister Wang Yi, należy dziś do najwybitniejszych dyplomatów świata. Zachód, Japonia czy Korea nie mają nikogo na ich poziomie. Są z tej samej ligi co wybitny Brazylijczyk Sérgio Vieira de Mello, zabity w Iraku z powodu fatalnych błędów imperium.

Jako ktoś, kto był u szczytów władzy, gdy w 2003 r. podejmowano katastrofalną decyzję o inwazji na Irak, jak pan ocenia obecną wojnę z Iranem i sposób, w jaki sprzedano ją Amerykanom i światu?

Po pierwsze, tej wojny Amerykanom nie sprzedano: nawet teraz sprzeciwia się jej ponad 64 proc. obywateli, a ten odsetek jeszcze wzrośnie. Po drugie, propaganda, którą próbowano ją uzasadnić – posiadanie paliwa jądrowego do broni, rakiety balistyczne, „oś oporu", sponsoring terroryzmu i ucisk własnego społeczeństwa – po tylu latach przestała być przekonująca. Zwłaszcza w świetle ludobójczych działań Izraela wobec Palestyńczyków i rosnącego wśród Amerykanów przekonania, że największym terrorystą i zabójcą na Ziemi jest właśnie Izrael. Dziś w Stanach pojawia się nawet fala podziwu i sympatii dla innych obrońców Palestyńczyków, Ansar Allah, czyli Huti. Sądzę też, że jest szacunek dla Irańczyków i ich twardej odmowy uległości wobec imperium kierowanego przez Hegsetha i Trumpa. Reszta świata powoli rozumie również, że ta wojna to farsa: imperium nie ma strategii poza bombardowaniem, zabijaniem i sankcjami – a nic z tego nie działa i wiele z tego tworzy długi łańcuch zbrodni wojennych.

Czy mógłby pan rozwinąć myśl, którą często pan powtarza: że w administracji Trumpa doszło do poważnego załamania procesu podejmowania decyzji w sprawach bezpieczeństwa narodowego? Czasem aż kusi, by uznać, że działania obecnego Białego Domu są pod tym względem naprawdę bez precedensu.

Działania Białego Domu Trumpa są całkowicie bez precedensu w podejmowaniu decyzji o bezpieczeństwie narodowym i niemal równie bezprecedensowe w sprawach wewnętrznych. W tej pierwszej dziedzinie proces decyzyjny Trumpa leży całkowicie poza ustawowym reżimem stworzonym przez National Security Act z 1947 r. i jest tym samym nielegalny. Formalnego procesu nie ma w ogóle. Decyzje Trumpa w sprawach bezpieczeństwa są chaotyczne, kapryśne, stale się zmieniają i nie opierają się na żadnej strategii – poza zarabianiem pieniędzy dla Trumpa i jego wybranych przyjaciół, takich jak Kushner i Witkoff, rzekomych wysłanników dyplomatycznych. Dla każdego, kto próbuje je zrozumieć, tworzą niemal gobelin nieustannie zmieniających się kształtów.

Dobrym przykładem są nielegalne zabójstwa na pełnym morzu: bez jakiegokolwiek procesu, a przy okazji bez jakiegokolwiek widocznego wpływu na dopływ nielegalnych narkotyków do USA. To po prostu zabójstwa urządzane po to, by zabijać – by po hobbesowsku pokazać, że imperium może to robić i zrobi.

W sprawach wewnętrznych niemal każdą decyzję podejmuje Stephen Miller, zastępca szefa sztabu Białego Domu do spraw polityki, albo Russell Vought, dyrektor Office of Management and Budget. Trump tylko przybija na nich swoje nazwisko, gdy już pojawią się na Twitterze. Rozmontowanie puli prasowej Białego Domu to jeden z najbardziej jaskrawych przykładów.

Najgroźniejsze jest jednak to, co robi ICE: zgarnia, więzi, zabija lub deportuje każdego, kogo uzna za niepożądanego. Trzeba się spodziewać, że ta rażąco niekonstytucyjna i ohydna praktyka potrwa także podczas wyborów uzupełniających. ICE to „brunatne koszule" Trumpa – uzbrojone ramię śmiertelnej władzy państwa.



płk Lawrence B. Wilkerson
– emerytowany pułkownik Armii Stanów Zjednoczonych i weteran wojny w Wietnamie. W latach 1993–1997 był zastępcą rektora, a następnie rektorem US Marine Corps War College w Quantico w Wirginii. W latach 2002–2005 kierował gabinetem sekretarza stanu USA Colina Powella.

eprasa.pl 086c9af544

Jaka jest szansa?



Janusz Korwin-Mikke

Nigdy nie wiemy, jak podejmujemy decyzje. To, czego uczą na uczelniach, polega na stosowaniu skomplikowanego aparatu matematycznego do wyciągania wniosków z kilku (czasem więcej) danych obiektywnych. Jednak liczba takich danych w prawdziwym życiu jest nieskończona

To pytanie dręczy naszą świadomość albo podświadomość nieraz i setki razy dziennie. Instynktownie oceniamy szanse (naukowo nazywane „prawdopodobieństwem" – ale bądźmy rozsądni i po męsku lakoniczni), że stawiając nogę na jezdni, zostaniemy potrąceni przez samochód – i jeżeli szansa na to jest zbyt duża – to tej nogi nie stawiamy.

Ogromna większość tych ocen odbywa się całkowicie podświadomie – zresztą jedno drugiego nie wyklucza. Gdy oceniamy szansę, że dziewczyna przyjmie pozytywnie nasze umizgi, to często zastanawiamy się nad tym świadomie, nieraz nawet głośno – ale też jednocześnie pracuje nad tym nasza podświadomość – i nigdy nie wiemy, w jaki sposób podjęliśmy decyzję.

Zastanawiają się nad tym psychologowie – zastanawiają się też specjaliści od TPD, czyli Teorii Podejmowania Decyzyj. To znaczy: zastanawiali się dawniej, kiedy nauka była jeszcze nauką.

Tu dygresja. Dawniej „językoznawca" to był ktoś, kto znał się na tym, jak ludzie używają języków. Odkąd nauka została upaństwowiona (czyli przestała być „nauką"), językoznawca to człowiek, który poucza nas, jak mamy mówić – i wykorzystuje reżymowe szkoły, by zmuszać nas do mówienia tak, jak on uważa za słuszne.

(Na szczęście istnieją jeszcze językoznawcy starej daty...).

POUCZANIE ZAMIAST BADANIA

Podobnie ze wszystkim. Na przykład ekonomiści zajmowali się badaniem, jak ludzie gospodarzą; dziś mówią nam, jak powinniśmy gospodarować naszymi zasobami. Trudno jednak się dziwić, że różni ekonomiści dają nam bardzo rozbieżne wskazówki.

I znów: istnieje grupa ekonomistów na etatach państwowych, którym politycy pozwalają gospodarzyć nie swoimi pieniędzmi. Wyniki są zazwyczaj marne – bo 1) nie istnieją obiektywne kryteria decyzyj, 2) to nie są ich pieniądze, więc nie przykładają do tych decyzyj odpowiedniej wagi.

Proszę zauważyć, że różnica polega na tym, czy decyzje podejmuje właściciel czy tylko manager. Słynny przykład to sukces gentlemana, znanego oczywiście z imienia i nazwiska, który chciał ubezpieczyć dwa ogromne budynki na długi czas na sumę kilku miliardów (!) US$. W czasie trwania negocjacyj budynki uległy zniszczeniu. Jegomość mimo to otrzymał od ubezpieczycieli $4,6 mld. Jego majątek wynosi $1 mld – istnieje więc silne przypuszczenie, że $3,6 mld pochłonęły nie tyle koszta sadowe, ile łapówki dla managerów, by uznali jego pretensje. Właściciel by go posłał k cz'ortu na kuliczki...

Jest dość obojętne, czy jest to urzędnik państwowy czy korporacyjny. Właściciel akcyj dużej spółki akcyjnej ma w niej tyle samo do powiedzenia, co obywatel PRL – a może nawet mniej, bo trudno mu urządzać uliczne protesty. Dziś kapitalizm umarł, bo wyginęli kapitaliści, wyparci przez managerów. Gospodarcze skutki czego widzimy.

Wynajęci przez państwa ekonomiści nie są za swoje błędy rozliczani. Wywaleni z jednej posady idą na ogół na drugą. Kuriozalnym przykładem był śp. Oskar Lange, jeszcze przedwojenny socjalista, który swoimi radami przeszkadzał w rządzeniu ekonomistom PZPR. Wywalono go więc z kraju i skierowano do postępowych wtedy Indyj. Gdy doprowadził do całkowitej stagnacji gospodarkę tego ogromnego kraju, wyrzucono go z trzaskiem... na Sri Lankę, gdzie podłożył podwaliny pod katastrofalną gospodarkę śp. Sirimavo Bandaranaike, syngaleskiej socjalistki, która zrujnowała gospodarkę Cejlonu. Do dziś jest jednak uważany za wybitnego ekonomistę, bo... pisał sążniste prace „naukowe".

Również w nauce, którą się zajmowałem, czyli TPD, rozrosła się i kwitnie szkoła pouczająca ludzi, jak trzeba podejmować decyzje (zamiast badania, jak ludzie decyzje podejmują).

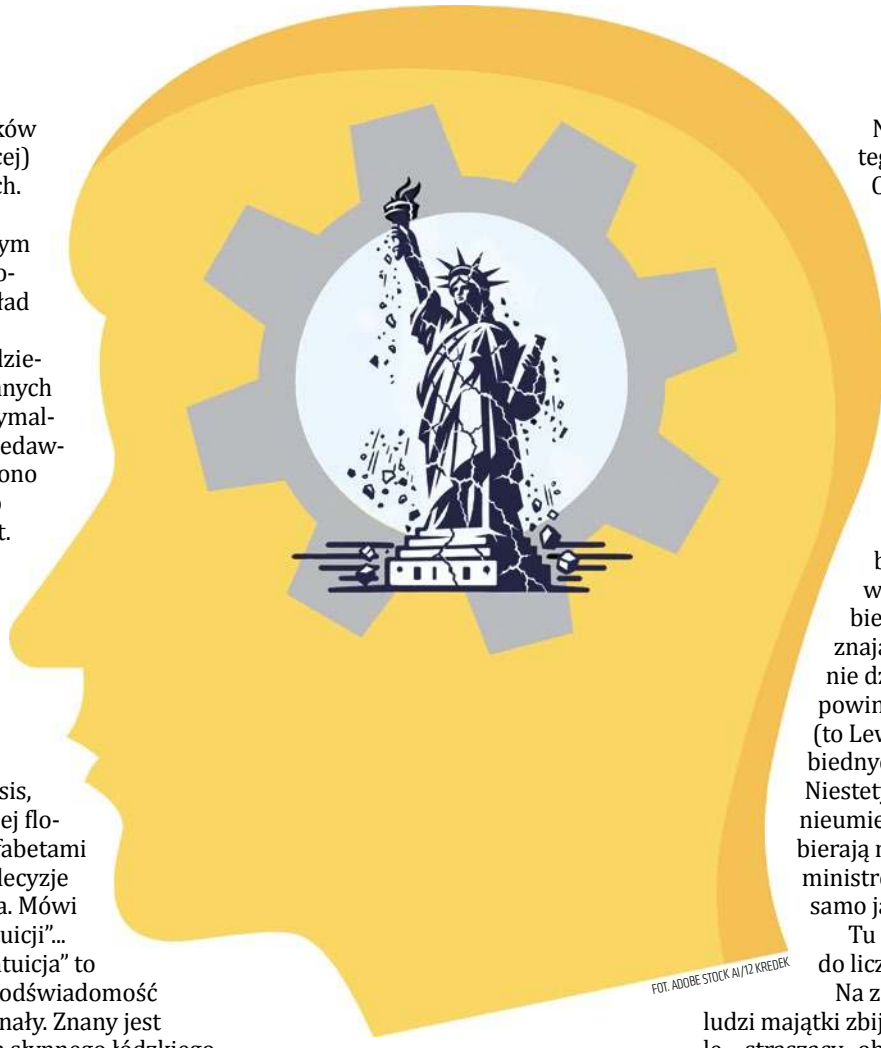
Jak już napisałem, tak pojmowana „nauka" przestaje być nauką – bo nauka bada, jak jest, i ma w nosie, czy z tego jest jakaś korzyść czy nie. Gdy zaczynamy patrzeć na korzyści, to natychmiast dociekanie Prawdy schodzi na drugi plan... a z czasem w ogóle przestaje się liczyć.

Koniec dygresji.

ROLA INTUICJI

Nigdy nie wiemy, jak podejmujemy decyzje. To, czego uczą na uczelniach, polega na stosowaniu skomplikowanego aparatu matematycznego do

eprasa.pl 086c9af544



FOT. ADOBE STOCK AI/12 KREDEK

wyciągania wniosków z kilku (czasem więcej) danych obiektywnych. Jednak liczba takich danych w prawdziwym życiu jest nieskończona. Znany jest przykład korporacji, która na podstawie 20 (dwudziestu) mozolnie zbieranych danych wybrała optymalnie najlepszego sprzedawcę – którego wyrzucono po dwóch dniach, bo śmierdziało mu z ust.

Tu występuje zdumiewające niektórych scjentystów zjawisko, że często ludzie nieznający ani ekonomii, ani TPD – a nawet będący (jak śp. Arystoteles Onassis, właściciel największej floty tankowców) analfabetami – podejmują dobre decyzje i budują całe imperia. Mówi się o „znakomitej intuicji"...

Tymczasem ta „intuicja" to dostrzegane przez podświadomość drobne, a ważne sygnały. Znany jest przykład prokurenta słynnego łódzkiego bankiera, śp. Izraela Poznańskiego, który poszedł na wykład ministra o sytuacji gospodarczej i jako pierwszy zadzwonił do pryncypała, że jest źle, co pozwoliło Poznańskiemu uniknąć dużych strat.

Pytany, jak to zrobił, oświadczył: „Minister zaczął od słowa: »Niestety...«, więc wyszedłem i zadzwoniłem. Inni czekali do końca wykładu...".

Ta decyzja była świadoma. Ale nasza podświadomość wyciąga wnioski z mimiki, z mowy ciała, ze sposobu narracji. Celują w tym kobiety, które rozwinęły tę intuicję w wyniku selekcji naturalnej: nie rozumiały, co mówi mężczyzna, ale bezbłędnie oceniały jego szanse po takich drugorzędnych cechach; te, które nie wyrobiły sobie tej intuicji, ginęły z głodu razem ze swoimi dziećmi.

Widać to np. w brydżu. Jak wiadomo, grają tam pary, które muszą przekazywać sobie informację o swoich kartach przy pomocy mendla słów – jednak istnieje opinia, że „wszystkie stałe pary oszukują". Nie, niekoniecznie „cynkują" – po prostu ich podświadomość wyciąga wnioski z również nieświadomego zachowania partnera.

BŁĘDY I GŁUPOTA

Jednak znane są obiektywne błędy w przyjmowaniu przez decydentów informacyj – zarówno świadomie, jak i nieświadomie. Najważniejszym błędem – absolutnie powszechnym – jest ocena szans. Nasza podświadomość – ale i świadomość – pomija drobiazgi, zauważając tylko Rzeczy Wielkie.

To bezbłędnie od lat wykorzystują socjaliści i inni etatyści. Ściągają od „obywatela" (dawniej byli „poddani", o których troszczyła się Monarchia – obecnie są „obywatele", których trzeba ograbić z pieniędzy) 30 gr w cenie bułki, 2 zł w cenie litra benzyny – w sumie 1000 zł miesięcznie – i z wielkim przytupem fundują za to temu obywatelowi np. „800+"!

Nie chodzi o to, że ludzie tego nie dostrzegają. Chodzi o to, że nawet jak ktoś się uprze i pokaże Kowalskiemu, iż wpłacił miesięcznie ten tysiąc, a dostał tylko 800, to on i tak będzie uważał, że dostał więcej... Bo kto by się przejmował tymi 30 gr?!

Oczywiście tacy ludzie biednieją w myśl zasady: „– Jesteś biedny, boś głupi. – A skąd wiesz, żem głupi? – Boś biedny!". i Prawica wyznająca zasadę: „Chcącemu nie dzieje się krzywda" nie powinna się tym przejmować (to Lewica twierdzi, że broni biednych przed wyzyskiem!). Niestety, żyjemy w d...kracji i ci nieumiejący liczyć ludzie wybierają na posłów i (pośrednio) ministrów takich, co liczą tak samo jak oni...

Tu dochodzimy wreszcie do liczenia szans.

Na zupełnej nieświadomości ludzi majątki zbijają np. ubezpieczyciele – straszący „obywateli" strasznymi wypadkami, które mogą się im przytrafić; nie wspominając oczywiście, że te wypadki są rzadkie. Jest oczywiste, że statystyczny Kowalski zawsze więcej wpłaci ubezpieczycielowi, niż dostanie odszkodowania (bo inaczej ubezpieczyciele by zbankrutowali...), ale Kowalscy nadal uważają ubezpieczania... za swoją zdobycz socjalną!

Najważniejszym błędem – absolutnie powszechnym – jest ocena szans. Nasza podświadomość – ale i świadomość – pomija drobiazgi, zauważając tylko Rzeczy Wielkie. To bezbłędnie od lat wykorzystują socjaliści i inni etatyści

eprasa.pl 086c9af544

Co więcej: głupich jest więcej niż mądrych, więc w d…kracji głupia (tfu!) Większość wprowadza nawet sama na siebie jarzmo przymusowego ubezpieczenia!

(Dawniej człowiek zamiast się ubezpieczać, odkładał „na czarną godzinę", a jeśli nieszczęście przytrafiało się, zanim odłożył godziwą sumkę, to rodzina się dokładała; dlatego państwa zwalczają rodzinę jako „nieuczciwą konkurencję" dla ubezpieczycieli).

Państwa zaś popierają ubezpieczenia, bo Kowalski zamiast wpłacić składkę (która jest opodatkowana), mógłby wydać pieniądze np. na dziwki (co nie jest opodatkowane).

11 WRZEŚNIA A „PATRIOT ACT"

Przykładem absolutnie błędnej (i absolutnie powszechnej) oceny sytuacji jest sprawa 11/IX. Obiektywnie bowiem nie stało się wtedy nic wielkiego: zawaliły się dwie chałupy – duże, co prawda, ale w Ameryce wszystko jest duże; zginęły niecałe 3 tys. ludzi – więcej ludzi ginęło wtedy miesięcznie w wypadkach drogowych – i nikt się tym specjalnie nie przejmował (i słusznie!). Amerykanie odpowiedzieliby na to, jak na jednym z memów: na miejsce dwóch wieżowców WTC buduje się pięć, na kształt palców dłoni – przy czym środkowy dwa razy wyższy...

Dziś „amerykański styl życia" jest już martwy: ubezpieczyciele i rządy wyhodowały sobie całe pokolenia ludzi podatnych na zastraszenie. Ludziom tym udało się wmówić „Patriot Act", czyli ustawę likwidującą ogromną ilość amerykańskiej tradycyjnej Wolności – dla zwiększenia bezpieczeństwa. Był to typowy trick ubezpieczycieli: płacimy ogromną kwotę, by zabezpieczyć się przed wypadkiem, który zdarza się może raz na 500 lat (albo rzadziej).

Proszę z tym porównać odporność psychiczną naszych przodków: po wykryciu „spisku prochowego" Anglicy nie wprowadzili żadnych przepisów, które by krępowały wolność poddanych JKM Jakóba I Stuarta. Natomiast „Patriot Act" wprowadził dziesiątki nieraz absurdalnych ograniczeń i utworzył (nieistniejące do tej pory!) ministerstwo spraw wewnętrznych o kompetencjach... większych niż sowiecka „czerezwyczajka". Na szczęście obecne obyczaje polityczne nie dopuszczają do tego, by DHS, czyli Departament Bezpieczeństwa Krajowego, rozwydrzył się jak Czeka, ale JE Donald Trump już zaczyna naciągać jego kompetencje. Przy czym „Patriot Act" znacząco rozszerzył też uprawnienia DoJ, czyli Ministerstwa Sprawiedliwości, i uprawnienia podległych mu agencji (szczególnie FBI) w zakresie inwigilacji, podsłuchów oraz zbierania danych wywiadowczych na terenie USA.

Jak mówią libertarianie: „Kto poświęca Wolność na rzecz bezpieczeństwa, Wolność utraci, a bezpieczeństwa i tak nie uzyska". Paradoks polega na tym, że FBI (które, jak każda policja, uważa, iż „obywatele" mają za dużo Wolności...) jest podejrzane o to, że wiedziało o planowanym zamachu

Pionierzy przyjeżdżali do Ameryki nie dlatego, by sobie pogłosować, lecz dlatego, że w Ameryce panowała Wolność. Kiedyś ci pionierzy narzucali (bez głosowania!) styl życia Amerykanom – dziś nowi przybysze, kobiety i Murzyni narzucają większością głosów styl antyamerykański

i nie zapobiegło mu, by przeforsować coś na kształt „Patriot Act" – być może nie przypuszczając, że zamach aż tak znakomicie się uda. Niektórzy nawet podejrzewają, że FBI w całości ten zamach zmontowała! Na przykład śp. Franciszek Cossiga, premier i prezydent Włoch, powiedział: „Włoska agencja wywiadowcza wie bardzo dobrze, że ten katastrofalny atak został zaplanowany i przeprowadzony przez CIA i Mosad, z pomocą światowego syjonizmu, aby oskarżyć kraje arabskie i przekonać zachodnie mocarstwa do wkroczenia do Iraku i Afganistanu".

Byłem dwa razy w USA przed 1987 r. i zachwycała mnie tamtejsza Wolność. Bez żadnego prześwietlania chodziłem po Kongresie i budynkach rządowych; gdy raz spóźniałem się na lotnisko, to minutę przed startem bez żadnej kontroli wrzucono mnie razem z bagażami na pokład już grzejącego silniki samolotu (przysunięto schodki i otwarto drzwi). Nie policzyłem tego, ale jestem przekonany, że Amerykanie w pół roku więcej tracą przez to, że muszą pojawiać się na lotnisku pół godziny przed startem (a dawniej, w kapitalizmie, obowiązywała zasada: „Time is money"!) i prześwietlać się, niż wynosi wartość tych dwóch wieżowców (ok. $4 mld). Ale te straty powstają w tysiącach innych miejsc – a najważniejsza jest atmosfera strachu i podejrzliwości. Parę lat temu Murzyna, poddanego brytyjskiego, zamknięto, gdy sobie na lotnisku zażartował, że w reklamówce ma bombę, i sam ambasador JKM dopiero po dwóch miesiącach zdołał go wyciągnąć z ciupy!

Tego nigdy nie było. Dawniej miało się do ludzi zaufanie – a jeżeli raz na jakiś czas ktoś go nad'użył: no, to trudno! Widocznie Bóg tak chciał (Amerykanie wierzyli wtedy w Boga!).

Jeżeli strach przed wydarzeniem, które zjawia się raz na 500 lat, potrafił spowodować, że Amerykanie zrezygnowali z American way of life na korzyść życia pod skrzydłami bezpieki, to proszę zrozumieć, jak łatwo jest namówić ludzi np. na szczepienia przeciwko rzadkim chorobom. Dość powiedzieć, że podczas epidemii COVID nie umarło w USA ani jedno dziecko do lat pięciu – a mimo to wmówiono Amerykanom obowiązek zaszczepienia tych dzieci (co u niektórych spowodowało komplikacje, czasem śmiertelne!).

Pionierzy, którzy zdobywali Dziki Zachód nie uwierzyliby, że ich potomkowie mogą tak zmopsieć!

Jest to efekt d…kracji – bo ci pionierzy przyjeżdżali do Ameryki nie dlatego, by sobie pogłosować, lecz dlatego, że w Ameryce panowała Wolność. Kiedyś ci pionierzy narzucali (bez głosowania!) styl życia Amerykanom – dziś nowi przybysze, kobiety i Murzyni narzucają większością głosów styl antyamerykański.

Niektórzy publicyści spod znaku Alt-Right zastanawiają się nawet, czy Stany Zjednoczone, które przestały wypełniać swoją misję cywilizacyjną, powinny nadal istnieć czy nie lepiej się podzielić na konkurujące ze sobą państwa.

Ciekawe...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 086c9af544

Paryska lekcja dla Kościoła



Papież Leon XIV podczas Mszy św. w Katedrze św. Szczepana w Metzu, 28 września 2026 r.

FOT. SIMONE RISOLUTI/VATICAN MEDIA/ABACA/EAST NEWS



Wojciech Golonka

Słowa i postawa papieża – skupionego w modlitwie, śpiewającego wielokrotnie z wiernymi „Salve Regina" po łacinie, w godnie skrojonych szatach liturgicznych, wyrażającego postawą wiarę w obecność Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie – ewidentnie miały zarówno nadać sens przynależności do Kościoła, jak i tchnąć we francuskich katolików nadzieję

Wizyta Leona XIV we Francji, przypominająca swą skalą charyzmatyczne pielgrzymki Jana Pawła II po świecie, dziś już dość odległe, została powszechnie odebrana jako sukces. Jednak komentatorzy, zarówno kościelni, jak i świeccy, niekoniecznie wskazywali, co dokładnie rozumieją przez sukces wizyty papieskiej. Najczęściej chodziło o niewątpliwie wielką skalę uczestnictwa Francuzów w różnych wydarzeniach z udziałem Ojca Świętego. Wizyta budziła mniej lub bardziej powszechny entuzjazm i poczucie wspólnoty, zresztą ponad podziałami światopoglądowymi i religijnymi – takie przynajmniej można było odnieść wrażenie, śledząc jej przebieg w dniach 25–28 września.

Tłumacząc tak pojmowany fenomen tej wizyty, zacznę zatem od przytoczenia w luźnych słowach kilku znaczących wypowiedzi, które wybrzmiewały w mediach, a były charakterystyczne dla panujących w tych dniach nastrojów we Francji. „Jestem Żydem, ale płaczę ze wzruszenia, widząc, że w naszym kraju są jeszcze katolicy, że możemy być na nowo wspólnotą narodową zdolną stawić opór postępującej islamizacji kraju. Jako Żyd nie mam tych samych wierzeń co katolicy, ale nasza francuska wspólnota narodowa, to oczywiste, ma chrześcijańską tożsamość, która dziś wybrzmiewa na nowo"; „Nie jestem wierzący, ale cieszę się z tego przyjazdu papieża, cieszę się, że jesteśmy, czujemy się dziś wspólnotą" i w końcu głos jednej z ofiar wykorzystania seksualnego w szkole Notre-Dame de Bétharram na południu Francji, która wzięła udział w prywatnym spotkaniu kilku ofiar z Leonem XIV:

eprasa.pl 086c9af544

„Nie jestem już wierzący… ale ten gość ma w sobie coś takiego, że nie mogłem nie przeżegnać się w jego obecności”.

BEZ OJCA I MATKI

Te dwie pierwsze wypowiedzi ze strony ludzi niewierzących, traktujących wizytę Leona XIV jako powiew świeżego powietrza, wskazują na kluczową okoliczność wizyty papieża, która jest wręcz dramatyczna. Chodzi o daleko idące oderwanie władzy od ludu francuskiego, tak że przeciętny Francuz w praktyce czuje się we własnym kraju obywatelem gorszego sortu, pozbawionym ojca w osobie prezydenta, a także matki w postaci organów Republiki. Najnowszy sondaż, opublikowany już po wizycie papieskiej, wskazuje, że Emmanuel Macron cieszy się obecnie rekordowo niskim poparciem społeczeństwa, na poziomie jedynie 18 proc., stąd łatwo odgadnąć, jak wielkie musi być znużenie jego rządami. Zresztą od 2024 r. Francja ma rząd mniejszościowy, na którego czele stanęło już trzech premierów. Taka sytuacja, wbrew nastrojom politycznym, utrzymuje się tylko dlatego, że nieformalna większość parlamentarna ma więcej do stracenia, rozwiązując Zgromadzenie Narodowe, ponieważ taki ruch spowodowałby siłą rzeczy przesilenie polityczne, zarówno ku prawej, jak i ku lewej stronie jednocześnie, ze stratą dla rządzącego dziś centrum.

Z jednej strony spora część Francuzów ma serdecznie dosyć samego prezydenta i tego, co Emmanuel Macron symbolizuje całym sobą: kosmopolitycznej, wynarodowionej elity, zadufanej w sobie i gotowej forsować swą globalną agendę choćby z krzywdą dla zwykłych ludzi (pamiętamy protesty „żółtych kamizelek”, których powrót zapowiadany jest na tę jesień). Z drugiej strony dwie kadencje Emmanuela Macrona, dobiegające właśnie końca 10-lecie jego rządów, przyniosły kolosalny napływ imigracji w tempie przeszło pół miliona ludzi rocznie, siłą rzeczy modyfikując strukturę tożsamościową kraju. Abstrahując od aspektów stricte religijnych, wizyta Leona XIV była zatem dla wielu Francuzów przede wszystkim okazją do tego, by poczuć, że ktoś się nimi interesuje jako wspólnotą, szanuje, a nawet chwali ich chrześcijańską tożsamość narodową i – w sumie między wierszami, a czasem nawet wprost, poprzez modlitwę do Matki Bożej z Lourdes o wyproszenie dla Francji przywódców mądrych, troskliwych i skłonnych do poświęceń – daje nadzieję na lepsze jutro. Na polityczne lepsze jutro.

Kontekst pustki politycznej, która czeka na wypełnienie, powszechnego znużenia przybierającego czasem postać wręcz rozpaczy, był więc, w przypadku tej wizyty, fundamentalny. Ale oficjalna wizyta papieża we Francji miała przede wszystkim charakter religijny. Jeśli zatem przeciętny, niereligijny Francuz mógł odebrać masowe zgromadzenia wokół papieża, powszechny entuzjazm czy elementy jego przemówień jako powiew świeżego powietrza i znak nadziei, to co dopiero mogli czuć praktykujący katolicy, którzy w swym kraju są jednak mniejszością, w dodatku geograficznie rozproszoną. Są oni wprawdzie wciąż dość wyraźnie obecni w społeczeństwie, jednak ich głos praktycznie nie przekłada się na kwestie kulturowe, społeczne i polityczne we Francji, czego świeżym przykładem jest legalizacja eutanazji. Ta zaś, oprócz swej radykalnej sprzeczności z nauką Kościoła, naraża dodatkowo katolickie instytucje opiekuńczo-zdrowotne na likwidację, gdyby państwo wprowadziło przymus stosowania prawa w tym zakresie (wciąż pozostaje to kwestią otwartą).

W tak trudnym położeniu z pewnością nie znajduje się inna, być może mniej rozpoznawalna w przestrzeni publicznej od katolików mniejszość, tj. francuska masoneria. W ostatnich latach szczególnie otwarcie chwali się ona swoją skutecznością polityczną, jako że rewolucyjne światopoglądowo ustawy powstają – jak twierdzą jej członkowie – najpierw w jej lożach, skąd następnie trafiają pod obrady parlamentu. Masoneria szczyci się od lat publicznymi względami prezydentów Francji i ewidentnie aspiruje do miana arcykapłanów Republiki – nie bez powodu Emmanuel Macron odwiedził niedawno jedną z jej świątyń. I właśnie ta triumfująca dziś niemal na wszystkich polach „matka i strażniczka rewolucji” apeluje ze swych lóż, jak uczynił to ostatnio Guillaume Trichard, ponowny Wielki Mistrz Wielkiego Wschodu Francji, o zakazanie we Francji zupełnie wolnych szkół, argumentując, że nie ma dla nich miejsca w Republice. Tymczasem przeważająca liczba szkół katolickich we Francji, kształcących w praktyce dzieci w sposób niewyznaniowy, działa na zasadzie umowy programowej z państwem, zapewniającym im subwencje. Jednakże w ciągu ostatnich kilku dekad powstało, na kanwie konstytucyjnej swobody nauczania, wiele szkół zupełnie wolnych od nadzoru ideowego państwa, wyróżniających się swym poziomem kształcenia, z których część to właśnie szkoły katolickie.

WYJŚĆ Z KATAKUMB

W tym niełatwym położeniu katolików francuskich wizyta Ojca Świętego, biorącego publicznie w obronę ich konstytucyjne prawa, chwalącego ich tożsamość i dziękującego im za poświęcenie, była odebrana przez nich jako wręcz życiodajny tlen. Media na świecie rozpisywały się nawet o „wyjściu katolików z katakumb” we Francji, co jednak jest przesadą. Problem nie dotyczy wszak ich widoczności jako takiej, choć podczas Mszy papieskiej w Paryżu, zwanej przez wszystkich „olbrzymią”, gdyż zgromadziła ona 800 tys. uczestników, rzeczywiście mogli się oni policzyć publicznie. Zasadniczo chodzi o nabranie wiatru w żagle w kwestii ich społecznej podmiotowości, jako katolików, a także podmiotowości… względem samego Watykanu! Franciszek traktował bowiem kraje „starej Europy” z pewną nieskrywaną pogardą – co również podkreślano przy okazji tej wizyty – być może ze względu na kompletny zastój religijny oraz nieznane w Ameryce Południowej zasady laicyzmu paraliżujące społeczne zaangażowanie Kościoła. Stąd zarówno jego wizyta w 2023 r. w Marsylii, w mieście imigranckim par excellence, jak i wizyta na Korsyce w 2024 r. nie miały charakteru oficjalnych odwiedzin – ostatnim nawiedzeniem przez papieża Francji jako takiej była tak naprawdę odległa wizyta Benedykta XVI, do której doszło w 2008 r. Wraz z przyjazdem Leona XIV katolicy francuscy mogli zatem paradoksalnie poczuć, że nie są obywatelami drugiej klasy również w samym Kościele powszechnym (dodajmy, że ograniczenie dostępu do Mszy trydenckiej przez Franciszka nie mogło być odebrane we Francji jako przejaw ojcowskiej miłości).

eprasa.pl 086c9af544

Leon XIV przyjechał do Francji bardzo dobrze przygotowany, a przynajmniej redaktorzy jego, trzeba przyznać, niejednolitych przemówień byli świetnie zorientowani w bolączkach kraju i położeniu tamtejszego Kościoła. Od strony religijnej papież ewidentnie kładł nacisk na wzbudzanie nadziei: warto być katolikiem z podniesioną do góry przyłbicą, bycie katolikiem wpisuje się w wielowiekową historię samej Francji, która wydała niezliczone rzesze świętych – reprezentowanych przez półtoratysięczny tłum statystów na widowiskowym spektaklu na stadionie Parc des Princes, przy okazji wieczornego czuwania z młodzieżą, które zgromadziło 80 tys. dusz. Nie należy bać się zakładać rodziny i posiadać dzieci. Liturgia powinna być godnie sprawowana, dla zbudowania ludu Bożego i właściwego kultu Bożego, o co apelował do całego duchowieństwa kraju. Biskupi nie powinni się obawiać nawet konfrontacji przy zabieraniu publicznie głosu, tym bardziej że „nie wszystko to, co legalne, jest moralne" – papież ewidentnie opowiedział się systematycznie i stanowczo za życiem, a przeciw antycywilizacji śmierci, która w republikańskiej Francji czuje się dziś niestety jak w domu (zresztą hasło wizyty brzmiało: „Aby mieli życie").

W Lourdes papież wygłosił kazanie, którego elementów próżno szukać na co dzień w samych wystąpieniach papieskich (!) czy uśrednionych kazaniach biskupich na świecie. Leon mówił bowiem, nawiązując do istoty przesłania objawień Matki Bożej w Lourdes, o obowiązku nawrócenia, tym razem nie ekologicznego, ale z grzechu, o obowiązku pokuty i wynagradzania miłości Bożej za grzechy ludzi, a nie tylko za swe osobiste upadki.

Słowa i postawa papieża – skupionego w modlitwie, śpiewającego wielokrotnie z wiernymi „Salve Regina" po łacinie, w godnie skrojonych szatach liturgicznych (jakże kontrastujących z cyrkowymi odcieniami szat arcybiskupa Paryża i jego asysty na okoliczność inauguracji odbudowanej po pożarze Katedry Notre Dame!), wyrażającego postawą wiarę w obecność Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie – ewidentnie miały zarówno nadać sens przynależności do Kościoła, jak i tchnąć we francuskich katolików nadzieję. Leon XIV poniekąd reagował zachowaniem i pewnymi wypowiedziami na krytykę, której mógł być przedmiotem ze strony środowisk konserwatywnych czy tradycjonalistycznych w ciągu ostatniego roku. Jeśli np. rok temu, w przemówieniu do członków Papieskiej Międzynarodowej Akademii Maryjnej, nazywał Maryję wprost „kobietą synodalną", by chwilę potem autoryzować atak kard. Fernándeza na jej tradycyjne tytuły Pośredniczki i Współodkupicielki, to obecnie jego maryjność miała zupełnie inny, tradycyjny wręcz posmak.

OWOCE TRADYCJI

Różne wypowiedzi papieża, które padły we Francji, nie były jednak wolne zarówno od stałych już lejtmotywów obecnego pontyfikatu, jak i pontyfikatów ostatnich dekad, w których trudno dostrzec skuteczną siłę napędową dla odrodzenia katolicyzmu na Zachodzie. Rousseauistyczny zachwyt nad „wspaniałym człowieczeństwem", godność osoby ludzkiej odmieniana przez wszystkie przypadki, bezkrytyczna pochwała naturalistycznego renesansu, bezbożnego oświecenia, a zwłaszcza haseł rewolucji francuskiej „wolność, równość, braterstwo", wprowadzały silny dysonans na tle bardziej tradycyjnych słów i gestów Ojca Świętego. Czy kapłani i biskupi, bestialsko zamordowani w Paryżu we wrześniu 1792 r., podobnie jak francuskie elity katolickie pomordowane w czasie całej rewolucji, nie zostali zgładzeni, by w końcu zapanowały „wolność, równość i braterstwo"? Tymczasem papież modlił się w różnych miejscach ich kaźni (wizyta w byłym klasztorze karmelitów, Msza na Place de la Concorde, gdzie funkcjonowała gilotyna), jednocześnie chwaląc dewizę Republiki w obecności prezydenta Macrona… A przecież to właśnie hasłem wolności uzasadniono zarówno legalizację eutanazji we Francji, jak i wpisanie do konstytucji ochrony „praw reprodukcyjnych" kobiet, czyli możliwości dokonywania aborcji. Czy w przypadku Ojca Świętego sprzeciw wobec zbrodni eutanazji nie wybrzmiałby o wiele mocniej, gdyby stwierdził, korzystając z całego swojego autorytetu wikariusza Chrystusa na Ziemi, że jest to zamach na święte prawo Boże, a ci, którzy jej dokonują, narażają się tym samym na wieczne potępienie? Czy o wiele bardziej, a przede wszystkim długofalowo, papież nie rozbudziłby religijnego zapału wiernych, głosząc, za swym Boskim Mistrzem, że ci, którzy zaprą się samych siebie i ducha tego świata, uwierzą i wytrwają do końca, dostąpią nagrody wiekuistej, która jest nieporównywalna z obecnymi trudami?

Pytanie, co zostanie po silnych przeżyciach, słusznie pojawia się wśród wielu komentatorów. Szczególnie że wspomniane na początku spektakularne pielgrzymki Jana Pawła II nie zdołały zapobiec cichej apostazji Zachodu. W przypadku Leona sytuacja katolicyzmu we Francji jest już jednak inna. Jest on nie tyle przyczyną takiego stanu rzeczy, ile jego wizerunkowym i duchowym beneficjentem. Nie chodzi tylko o wzrastającą falę chrztów wśród dorosłych i nastolatków, która, choć wciąż marginalna w skali całego kraju, przybierając na sile, świadczy o głodzie nadprzyrodzoności wśród części Francuzów wychowanych bez Boga i bez religii. Przede wszystkim to w młodym pokoleniu katolików nastąpiło ewidentne przecięcie ważnych trajektorii. Progresiści, którzy zdominowali francuski katolicyzm w drugiej połowie XX w. (wywołując tym samym tak silną reakcję tradycjonalistów w tym kraju), odchodzą masowo do lamusa ze swymi kompleksami wobec publicznego wyrażania wiary, prawowiernego rozumienia dogmatów i tradycyjnej pobożności.

Najnowsze statystyki pokazują, że ponad połowa duchowieństwa w wieku 24–35 lat odprawia liturgię także po łacinie (i chodzi tu głównie, choć niejedynie, o Mszę trydencką), z kolei klasztory, które modlą się wyłącznie w tym języku, okazują się całkowicie odporne na powszechną plagę zamykania takich miejsc we Francji, nieraz wielce historycznych, nad czym ubolewał sam papież podczas wrześniowej wizyty. Właśnie to pozbawione modernistycznego nastawienia pokolenie zaczyna dziś oddolnie narzucać ton we francuskim Kościele. Tacy ludzie spragnieni są nie tyle Kościoła synodalnego czy permanentnego dostosowywania się do świata (czego wyrazem jest systemowe zarzucenie łaciny), ile autentycznej wiary i życia katolickiego. W przeciwieństwie do swego poprzednika papież Leon tę postawę zdaje się ewidentnie szanować. W dniu, gdy zrozumie, że nie jest ona li tylko jedną spośród wielu „wrażliwości", być może wszyscy okażemy się beneficjentami jej owoców.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 086c9af544

OPEN TEXAS HORIZONS

MISJA POLSKIEGO BIZNESU DO TEXASU

30.11 - 4.12 2026

Jak zrobić **biznes w Texasie** i znaleźć partnera biznesowego?
Co musisz wiedzieć o inwestycjach?

TEXAS

- Weź udział w 3 dniowej konferencji YTEXAS w Bryan / Collage Station
- Spotkaj się z Victoria Economics Development Corporation
- Zobacz największą fabrykę SPACE X TeraFab
- Spotkaj się ze środowiskiem biznesowym podczas Polish American Chamber of Commerce w Texasie

ORGANIZATOR

INSTYTUT MIĘDZYMORZA

PATRONAT NAD MISJĄ

wprost · TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ · tysol · Radio Wnet · DO RZECZY

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ! WWW.INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL

691 502 025 SEKRETARIAT@INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL

eprasa.pl 086c9af544



Z prof. Jakubem Politem, historykiem
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Ile można „wybaczyć” komunistom?

TOMASZ D. KOLANEK: Mówi się, że to zwycięzcy piszą podręczniki do historii. Kto wobec tego wygrał, a kto przegrał wojnę w Wietnamie?

PROF. JAKUB POLIT: Jest taka książka Artura Dmochowskiego zatytułowana „Wietnam. Wojna bez zwycięzców”, która ma trzy podtytuły: „Klęska Francuzów”, „Klęska Amerykanów”, „Klęska Wietnamczyków”. Z zastrzeżeniem, że ta ostatnia klęska nie jest równoznaczna z klęską wietnamskich komunistów. Tak więc wojnę tę wygrali wietnamscy komuniści, ponieważ niewątpliwie zrealizowali swoje cele. Utrzymali się przy władzy oraz zagarnęli Wietnam Południowy, a nawet – aczkolwiek przejściowo – zdołali dokonać militarnego podboju całych dawnych Indochin Francuskich.

Dlaczego w związku z tym to przegrani Amerykanie piszą podręczniki o historii wojny w Wietnamie?

„Przegrani Amerykanie” od pewnego czasu piszą przede wszystkim historię antyamerykańską, a wojna w Wietnamie – ich zdaniem – idealnie wpisuje się w ten trend. Proszę zauważyć, że rozmaite mutacje związanych z tym konfliktem opowieści są mocno przewidywalne i praktycznie nikogo już nie zaskakują.

Ciekawe jest co innego. Mianowicie w tej historii antyamerykańskiej mamy z reguły dwie strony: amerykańską oraz wietnamską w znaczeniu – komunistyczną. Prawie nie pisze się o trzeciej, to znaczy o antykomunistycznym Wietnamie Południowym, a przecież to niemal wyłącznie tam toczyły się walki.

Dlaczego świat dał się „uwieść” komunistom z Wietnamu, tak jak swego czasu dał się uwieść Che Guevarze? Skąd to się bierze? Dlaczego w opowieści o wojnie w Wietnamie to Amerykanie są „złymi”, którzy wywołali nikomu niepotrzebną wojnę, a komuniści „dobrymi”, mimo że przelali o wiele więcej niewinnej krwi niż wojska USA?

To bardzo ciekawa kwestia. Na terenie Wietnamu nie znaleziono np. ropy naftowej, a podobno Amerykanie zawsze pchają się wszędzie tam, gdzie chcą przejąć bogactwa naturalne kraju Trzeciego Świata. W związku z tym przyczyny ich interwencji są dla niektórych mocno zagadkowe... Mówię to oczywiście ironicznie!

Powodów Amerykanie mieli wiele: prowokacja w Zatoce Tonkińskiej w roku 1964, „teoria domina”, rozmaite obawy ciągnące się od czasów Dwighta Eisenhowera etc. Pojawiają się również głosy, że Amerykanie wkroczyli do Wietnamu, nie bardzo wiedząc dlaczego i bez jasnej koncepcji. Ale tego typu twierdzenia można odnieść do niemal każdego konfliktu, zwłaszcza przegranego.

Do tej całej listy można dorzucić jeszcze jeden kamyczek o bardzo szczególnej wymowie. Obecny Wietnam, będący jednym z niewielu państw komunistycznych w naszym świecie, jest w gruncie rzeczy nieformalnym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych i jego kooperantem przeciwko rosnącej potędze komunistycznych Chin. A w takim razie można zasadnie postawić pytanie: A po co było to wszystko?

W związku z tym stawiam takie pytanie: A po co to wszystko?

No cóż... Jestem historykiem, a nie specjalistą od psychiatrii, więc mogę wypowiadać się tylko jako historyk. Wojna w Wietnamie była de facto konfrontacją z obozem sowieckim, z obozem komunistycznym, z obozem antyzachodnim. W tym świetle uwikłanie Amerykanów w ten konflikt wydaje się rzeczą dość logiczną.

Można tutaj zacytować Ronalda Reagana, który powiedział, że była to wojna słuszna, źle prowadzona i niepotrzebnie przegrana. Natomiast to, co się później stało z pamięcią o niej, to już zupełnie

eprasa.pl 086c9af544



Lądowanie amerykańskich żołnierzy w Wietnamie, rok 1968 FOT. MPI/GETTY IMAGES

Obecny Wietnam, wciąż państwo komunistyczne, jest w gruncie rzeczy nieformalnym sojusznikiem USA przeciwko rosnącej potędze komunistycznych Chin

inna historia. Należy oddzielić tutaj przebieg wypadków, to, co się zdarzyło naprawdę – nazwijmy to pleonastycznie „faktami prawdziwymi" – od „faktów prasowych", czyli zwykłych kłamstw, manipulacji, zmyśleń etc. Okazuje się bowiem, że „fakty prasowe" i cała związana z nimi mitologia w literaturze czy kinematografii są obecnie ważniejsze niż to, co naprawdę działo się w Wietnamie...

Jeśli pan profesor pozwoli, to przywołam pierwszy „fakt prawdziwy", który stał się antyamerykańskim mitem. Jest to masakra w Mỹ Lai, którą świat – mówiąc kolokwialnie – się zachłysnął. Wielu publicystów, dziennikarzy, ludzi świata nauki i kultury było bowiem przeszczęśliwych – oto mamy amerykańską zbrodnię na niewinnych. Niemal cały świat był wówczas przeciwko Ameryce, łącznie z samą Ameryką...

Ładnie pan to ujął: „Wszyscy – łącznie z Ameryką – byli wówczas przeciwko Ameryce". Tutaj znowu, jak to zwykle bywa w wojnie wietnamskiej, sprawa jest wieloaspektowa.

Na początku trzeba odpowiedzieć na pytanie: Co to jest Ameryka? Przeciwko Ameryce, czyli jej udziałowi w wojnie, była tzw. klasa dyskutująca. To znaczy wielkie dzienniki, zresztą głównie wydawane na Wschodnim Wybrzeżu; sieci telewizyjne; wielu komentatorów prasowych, telewizyjnych i radiowych, aczkolwiek też nie od początku.

Natomiast tzw. milcząca większość, o której mówił Richard Nixon, czyli większość tych, którzy chodzili do wyborów, w zasadzie aż do końca, przynajmniej do początku lat 70., popierała interwencję w Wietnamie. To było kłopotliwe dla komentatorów komunistycznych, np. dla Zygmunta Broniarka, który był przedstawicielem „Trybuny Ludu" w Stanach Zjednoczonych. Podam przykład: przeciwko „brudnej wojnie w Wietnamie" protestowali w USA przede wszystkim lewicowi demonstranci. Byli to z reguły ludzie z tzw. dobrych domów, z rodzin zamożnych, czyli takich, których komuniści – gdyby wkroczyli do Ameryki – natychmiast by odstrzelili. Zdarzało się, że podczas takich demonstracji robotnicy fabryczni schodzili z rusztowań, brali w ręce coś ciężkiego i grzmocili „burżuazyjnych synków". Ten odruch klasy robotniczej był niesłychanie kłopotliwy dla komunistów, którzy widzieli, że coś tu jest nie tak. W ówczesnych USA znajdowali się w sojuszu klasowym z niewłaściwą siłą.

Wróćmy jednak do masakry w Mỹ Lai. W 1968 r. prasa otrzymała to, czego od dawna się domagała. To znaczy prawdziwą, autentyczną amerykańską zbrodnię wojenną, bo Mỹ Lai było zbrodnią wojenną. Żołnierze jednej z dywizji Armii Stanów Zjednoczonych rzeczywiście dokonali masakry kilkuset – mówi się o 270 do ponad 400 – mieszkańców pewnej wietnamskiej wioski. Wszystko to zostało udokumentowane, sfotografowane, sfilmowane i dowiedzione. Wcześniej brakowało takich twardych faktów. Wcześniej pokazywano zdjęcie Wietnamczyka zrzucanego żywcem z amerykańskiego helikoptera, ale się potem okazało, że

eprasa.pl 086c9af544

był to manekin... Pokazywano zdjęcie nagiej dziewczynki poparzonej napalmem. Rzeczywiście tak się zdarzyło, tylko potem się okazało, że dziecku armia amerykańska udzieliła pomocy, a dziewczynka po wyleczeniu swoich poparzeń wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych i corocznie składała kwiaty przed pomnikiem Amerykanów zaangażowanych w Wietnamie. Tak więc to wszystko nie do końca pasowało do opowieści antyamerykańskiej. A tutaj rzeczywiście udało się złapać kogoś za rękę.

Amerykanie zostali – bardzo słusznie zresztą – skrytykowani i potępieni za to, co zrobili w Mỹ Lai. Ponadto komuniści – jakkolwiek to zabrzmi – nie próżnowali. Co takiego stało się w Hue? Czy doszło tam do masakry? Egzekucji? Zbrodni wojennej? Ludobójstwa? A może była to zwykła bitwa?

Wszystko naraz... W Hue rozegrała się bitwa, podczas której doszło do masakry. Masakra była jednocześnie zbrodnią wojenną i zbrodnią ludobójstwa. Hue to starożytne miasto. Można powiedzieć, że to taki wietnamski odpowiednik Krakowa, jeżeli Sajgon uznamy za odpowiednik Warszawy. Hue to miasto będące stolicą prowincji i jednocześnie jedyna stolica prowincji, która dostała się w ręce Wietkongu podczas osławionej ofensywy TET, której celem było zajęcie, choćby na krótko, dużych wietnamskich miast.

Po zajęciu przez komunistów Hue okazało się, jak wyglądałyby rządy „partyzantów". Słowo „partyzanci" oczywiście traktuję z pewną ironią, bo można tutaj dyskutować, kto jest partyzantem, a kto nie. Rzućmy tylko jeden epitet, wtedy sławny: partyzanckie czołgi. Czy partyzanci mogą dysponować czołgami? „Partyzanci" – pozostawmy im to miano – rządzili w Hue przez miesiąc. I w takim razie nie jest to już historia alternatywna. Po prostu mamy twarde dowody, jak wyglądały ich rządy w Wietnamie w roku 1968.

Co ciekawe, właściwie wszystkie kluczowe książki na temat Hue napisano jeszcze na początku lat 70., to znaczy w tych czasach, kiedy istniała jeszcze Republika Wietnamu Południowego. Możliwe były wizje lokalne, rozmowy ze świadkami, a zwłoki ledwie ostygły. Jednak co z tego? Narracje zdominowały fakty medialne, a ich twórcy nie byli zainteresowani Hue. Oni interesowali się Mỹ Lai i tak to pozostaje aż do dziś.

Dlaczego?

Sprawa jest prosta: czerwoni Wietnamczycy z przyczyn zrozumiałych nie mają wielkiej ochoty, żeby otwierać szafę i pokazywać, że znajdują się w niej szkielety. Z kolei w USA szczyt popularności tematyki wietnamskiej, nawet w takiej osobliwej formie, którą sygnalizowały filmy „Pluton", „Full Metal Jacket" czy „Czas Apokalipsy", też już przeminął.

Poza tym, jak sygnalizowałem, obecny Wietnam komunistyczny jest kooperantem Stanów Zjednoczonych. Zbrodnia w Hue w gruncie rzeczy nikogo nie interesuje, oczywiście oprócz rodzin pomordowanych, ale wydaje mi się, że te rodziny, jeżeli mieszkają w Wietnamie, też chyba chciałyby, żeby reżim jak najszybciej o nich zapomniał.

Skąd rozbieżności w liczbach zamordowanych? Jedni podają, że w Hue zginęło 2,5 tys. osób, a inni, że niemal 7 tys.

Z jednej strony chodzi o liczbę osób zaginionych, tych, które wyciągnięto z domów i które nigdy nie wróciły. Natomiast oficjalna liczba, ta zazwyczaj podawana, ponad 4 tys., to jest liczba ciał odkrytych w masowych grobach za miastem i wówczas zidentyfikowanych. Czyli rozbieżności nie powinny budzić większego zaskoczenia.

Przypomnijmy sobie zbrodnię w Katyniu, gdzie mówiono, że w lesie leży od 10 tys. do 12 tys. oficerów. Prawdziwa liczba osób wynosi ok. 4 tys., ale kiedy stwierdzono, że groby są, to uznano, iż w Katyniu w takim razie muszą leżeć wszyscy zaginieni polscy jeńcy wojenni. Dlaczego? Bo to usuwało kłopotliwe pytanie, gdzie są pozostali.

Możemy przyjąć w takim razie, że w ciągu miesięcznej okupacji komunistycznej Hue zgładzono mniej więcej jedną dziesiątą mieszkańców miasta. Przy czym zgładzono ich nie podczas walki, nie podczas opanowywania tego starożytnego grodu ani nie podczas ewakuacji. Znajdujący się na przygotowanych wcześniej listach ludzie ginęli nie za to, co zrobili, tylko za to, kim byli.

Jeszcze jedna ważna uwaga, mianowicie: nie urządzano nawet pozoru procesu, nawet takiego procesu rewolucyjnego, który czasami urządzali czekiści i który np. rewolucjoniści francuscy urządzili Ludwikowi XVI. Przypomnijmy, że jednak całkiem spora liczba członków Konwentu głosowała za uniewinnieniem Ludwika XVI albo przeciwko karze śmierci. Nie! Tutaj nawet pozoru procesu, choćby sfingowanego, nie było. Po prostu ludzi wyprowadzano za miasto i tam oni „znikali".

Jeżeli były wyjątki, to dotyczyły osób zabijanych jawnie, na miejscu, z reguły z całą rodziną, nawet z małymi dziećmi i niemowlętami. A więc podawana często liczba 4062 zabitych to są zidentyfikowane ofiary. Jednak ofiar było więcej, w tym takich, których nigdy nie zidentyfikowano, albo takich, których zwłok nigdy nie znaleziono. W każdym razie 10 proc. mieszkańców miasta. A ponieważ byli to ludzie zwykle ponadprzeciętnie wykształceni, częściowo zresztą także cudzoziemcy, była to dekapitacja czy – jak kto woli – odmóżdżenie narodu.

Czy wietnamscy komuniści także mordowali niemowlęta? Przepraszam, ale nawet najbardziej prymitywni zabijali „jedynie" mężczyzn, a kobiety i dzieci „kradli", wywozili razem ze sobą...

W kulturze konfucjańskiej mówi się, że najbardziej wartościową częścią ludzkości są starcy, bo ich doświadczenie jest czymś bezcennym. Natomiast nowe dzieci zawsze można sobie spłodzić, a nowe kobiety można sobie znaleźć. Czyli wychodzi na to, że zabijanie kobiet i dzieci to znowu nic takiego wielkiego...

A co odpowiedziałby pan na teksty współczesnych publicystów i naukowców, którzy twierdzą, że „brutalność" wietnamskich komunistów była zrozumiała, ponieważ w taki sposób reagowali oni na ucisk kapitalistów?

No i cóż ja mogę odpowiedzieć? Jakiś czas temu córka zasygnalizowała, że jak chcę się czegoś dowiedzieć, to powinienem zapytać się o to nieśmiertelnego czata i coś tam dalej. Więc zadałem mu pytanie: „Czy komunizm jest zły?". W odpowiedzi dowiedziałem się, że „to zależy".

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Jakub Polit – historyk, doktor habilitowany nauk humanistycznych, pracownik Instytutu Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Specjalizuje się w historii Chin i Japonii. Autor m.in. książki „Smutny kontynent. Z dziejów Azji Wschodniej w XX wieku".

eprasa.pl 086c9af544



KOMUCHOŻERCA

Rejestry antypolonizmu

LESZEK ŻEBROWSKI

Normalne państwo polskie powinno prowadzić rejestry antypolonizmu pojawiającego się od dawna nie tylko w świecie, lecz także wewnątrz kraju. Antypolonizm widać przecież w różnych dziedzinach: w polityce, nauce, propagandzie, kulturze i sztuce… Może trzeba to robić oddolnie i udostępniać w przestrzeni publicznej dopóty, dopóki jeszcze można? Przykładów różnej miary i wagi mamy aż nadto. Oto jeden z nich.

W 1996 r. ukazała się w Polsce publikacja niejakiego dr. Tobiasza Cytrona pt. „Dzieje zbrojnego powstania w Getcie Białostockim". Można w niej znaleźć różne rzeczy, jednak prawie nic o owym powstaniu. Autor nie krępował się i przywalił nam na odlew: „Dzięki pomocy Niemców powstańcy w getcie i partyzanci dostawali broń, fałszywe dokumenty, kennkarty, a niejednokrotnie również miejsce schronienia w czasie łapanki. Niemcy udzielali również moralnego wsparcia partyzantom w lasach. Powstańcy i partyzanci popadali niejednokrotnie w trudne sytuacje, z których wyjść mogli tylko dzięki pomocy owych Niemców". To przeciwko komu wybuchło owo „powstanie" i z kim ci Żydzi walczyli?

Publikacja wyszła dzięki obfitej dotacji, przyznanej przez ówczesnego kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, działacza i polityka PSL (neo-ZSL), prof. Adama Dobrońskiego. Ten zaś, indagowany za wspieranie oczywistego paszkwilu, tłumaczył się następująco: „Nie znałem tekstu książki […], nie byłem informowany o jej zawartości […]".

W tej publikacji tak naprawdę nie ma nic wartościowego! Jest natomiast jadowity antypolonizm. Bo jak inaczej określić takie insynuacje: „[AK-owcy] zaczęli mordować Żydów. I to na wielką skalę. W samym tylko okręgu białostockim AK-owcy zamordowali ok. 1200 Żydów. Świadczą o tym długie szeregi grobów na cmentarzu białostockim i w innych miastach". To nic, że takich szeregów na cmentarzach w Polsce nie było i nie ma. Przecież nikt tego sprawdzać nie będzie. Dlatego autor tej nikczemnej publikacji mógł napisać, że AK-owcy zatrzymywali pociągi, wdzierali się do mieszkań i mordowali wszystkich złapanych Żydów.

Co ciekawe, Cytron słowem nawet nie wspomniał swego pobratymca z tego getta, Berełesa (Borysa) Szacmana, który wydał w ręce niemieckie co najmniej dziesiątki nieszczęśników. Po wojnie ten krawiec po czterech klasach szkoły podstawowej został oficerem śledczym UB. Opuszczając Polskę Ludową wiosną 1968 r., rozżalony, powołał się na swe niezaprzeczalne zasługi: „Oczyszczaliśmy Polskę z tego śmiecia i gnoju". Taki straszny obraz idzie w świat, bez naszej reakcji. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Dwór Artusa

SŁAWOMIR KOPER

Jeden z najważniejszych symboli Gdańska znajduje się przy Długim Targu, bezpośrednio przy słynnej Fontannie Neptuna (uruchomionej 9 października 1633 r.). Nazwa budynku nawiązuje do niezwykle popularnych w epoce średniowiecza legend o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu, a tradycja budowy specjalnych domów dla zamożnych mieszczan i rycerstwa przyjęła się też na kontynencie. Do dzisiaj na ziemiach polskich zachowały się dwa Dwory Artusa – w Gdańsku i w Toruniu.

Gdańska budowla była widomym znakiem zróżnicowania społecznego mieszkańców miasta. Zakazano tam wstępu rzemieślnikom i drobnym kupcom, nie wspominając już o robotnikach najemnych. Był to zamknięty klub dla elity miasta, gdzie przyjmowano wybitnych gości, a czasami organizowano wykwintne uczty. Członkowie patrycjatu spędzali tam tak wiele czasu, że jeden z nich przyznał nawet, że wolałby się powiesić, niż nie pojawiać się regularnie w budynku.

Początkowo Dwór Artusa faktycznie spełniał funkcje, do jakich go wybudowano, będąc miejscem wypoczynku elity miasta. Rozmowy o interesach były zakazane, toteż czas spędzano na piciu piwa, grze w kości i w karty oraz na oglądaniu występów kuglarzy lub linoskoczków.

Specyfiką zachowania bywalców Dworu były zakłady hazardowe. Zakładano się na duże sumy praktycznie o wszystko – zarówno o sprawy polityczne, jak i obyczajowe. Powodem do zakładów mógł być termin zakończenia wojny, wyboru nowego króla czy też ustalenie, kto był ojcem dziecka kucharki pewnego patrycjusza.

Czasami organizowano wystawne uczty, a zdarzało się, że takie przyjęcia trwały nawet kilka dni. Częściej jednak zapraszano na piwo gości z innych miast, szczególnie wtedy, gdy chciano z nimi porozmawiać w bardziej prywatnej atmosferze.

Z biegiem lat zaczęły się pojawiać skargi na zachowanie stałych bywalców dworu. Okoliczni mieszkańcy narzekali na dochodzące z budynku hałasy, jako że przedstawiciele elity miasta nie tylko głośno się kłócili, lecz także regularnie wywoływali bijatyki. Kiedy zaś byli w dobrym i pogodnym nastoju, manifestowali to w środku nocy, grając na bębnach i piszczałkach.

Wiele o obyczajach bywalców Dworu Artusa mówią zachowane do naszych czasów regulaminy, uzupełniane na bieżąco po każdym nowym wybryku biesiadników. Znajdziemy w nich surowy zakaz plucia do piwa sąsiada, rozbijania kufli na głowach innych gości, a także grożenia im nożem. Jednak najwyższą karę przewidziano za… narzekanie na marną jakość piwa. Najwyraźniej fałszowanie żywności i napojów nie jest wynalazkiem czasów nam współczesnych. ©℗

eprasa.pl 086c9af544



Maciej Pieczyński

Jak Cichanouski

W pierwszym małżeństwie białoruskiej opozycji wybuchł poważny, rodzinno-polityczny konflikt. Siarhiej Cichanouski publicznie atakuje własną żonę i jej współpracowników

Pod koniec września wybuchła bomba, która tykała już od dawna. W zasadzie niemal od momentu, w którym Siarhiej Cichanouski wyszedł na wolność i dołączył na emigracji – po pięciu latach rozłąki – do swojej żony Swiatłany. W pewnym sensie jednak rozłąka trwa nadal. Siarhiej mieszka w Stanach Zjednoczonych, a Swiatłana z dziećmi w Warszawie.

Najpierw Cichanouska wystąpiła na konferencji w Warszawie z bardzo osobistym przemówieniem, przedrukowanym 19 września przez opozycyjny portal białoruski Zierkało. Kilka dni później Cichanouski zarzucił własnej żonie kłamstwo. Ale po kolei… Wystąpienie niedoszłej prezydent Białorusi dotyczyło „niewidocznej pracy Białorusinek", które poza tym, że zarabiają na życie, dodatkowo zajmują się dziećmi, domem, czasami też starszymi rodzicami. Ich starania, jak przekonuje Cichanouska, często są niezauważane. Sama, rzecz jasna, czuje się jedną z takich kobiet. Opisuje, jak wygląda jej życie. Budzi dzieci bardzo wcześnie rano, żeby pobyć z nimi, zanim pójdą do szkoły, a ona sama pojedzie na lotnisko. „W tym momencie myślę o czekających mnie spotkaniach politycznych – tezy, narracje, co mam komu powiedzieć" – mówi. – I już dwie godziny później siedzę na spotkaniu z głową państwa, jestem skoncentrowana na rozmowie, muszę poruszyć wiele tematów: jak pomóc więźniom politycznym, media, jak przyciągnąć uwagę do naszego kryzysu itd. Ale zaczynam się zastanawiać: Co u moich dzieci?".

Dalej Swiatłana Cichanouska opisuje historię swojego syna, który urodził się niesłyszący: „Zrobiliśmy mu operację dość późno, straciliśmy bardzo dużo czasu. Kolejne dziesięć lat swojego życia poświęciłam jemu i jego rehabilitacji. Pamiętam ten czas, gdy byliśmy w sytuacji bez wyjścia, gdy zadajesz sobie mnóstwo pytań: Dlaczego to wydarzyło się nam, niczego nie umiem, niczego nie wiem, na pewno rehabilitacja się nie uda, on nigdy nie zacznie mówić. Ale codziennie pracowaliśmy z synem i ze specjalistą, mając świadomość, że teraz to jest moja praca, której w pełni się poświęcam".

NARZEKANIA

Cichanouska opisuje następnie kolejne etapy leczenia, podczas których była przy swoim dziecku. Przyznaje, że pomagała jej w tym „rodzina", ale nie wspomina wprost o mężu. Syn w końcu został wyleczony dzięki „cichej pracy", podjętej przede wszystkim przez matkę, która ponosiła wyrzeczenia i nie mogła się realizować. Ale potem nadszedł 2020 r., czyli nowy etap „cichej pracy", tym razem w polityce. Ponownie Swiatłana nie wspomina o Siarhieju, choć to właśnie od niego wszystko się zaczęło. Przypomnijmy: Cichanouski prowadził opozycyjny wideoblog na YouTube „Strana dla życzni" („Kraj dla życia"), miał powalczyć o prezydenturę, ale został aresztowany, więc kandydaturę zgłosiła jego żona. Liderka opozycji opisuje swoją działalność polityczną tak, jakby to była bardzo trudna, niedoceniana praca. Przykładowo Szwedzi zaczęli honorować przeterminowane dokumenty białoruskich emigrantów, jak twierdzi Cichanouska, dzięki jej dyplomatycznym staraniom. Jednak, zamiast podziękowań, słyszy jakoby pretensje – dlaczego w innych krajach nie udało się tego jeszcze załatwić?

Inny przykład – po trzech latach starań udało się założyć międzynarodową fundację pomocy więźniom politycznym. Ludzie narzekają jednak, że pieniędzy na jej kontach jest za mało. Wielu Białorusi-

eprasa.pl 086c9af544



Siarhiej i Swiatłana Cichanouscy podczas manifestacji w Warszawie, sierpień 2025 r.
FOT. PIOTR NOWAK/PAP

z Cichanouską

nów publicznie okazuje niezadowolenie, twierdząc, że Cichanouska tak naprawdę nic nie robi, a jedynie ciągle „gdzieś jeździ, z kimś rozmawia", a na koniec nic z tego nie wynika.

Niedoszła prezydent Białorusi uskarża się więc na swój los i opowiada o życiowej i politycznej drodze, zupełnie pomijając rolę swojego męża, który przez pięć lat był więźniem politycznym Łukaszenki. 23 września Siarhiej odpowiedział Swiatłanie publicznie, za pośrednictwem wideobloga „Strana dla życzni". – Biuro Swiatłany Cichanouskiej postąpiło w sposób podły i haniebny, wykorzystując moje dzieci w swoich celach – zaczął Siarhiej. I de facto zarzucił swojej żonie kłamstwo: – Niedawno na portalu Zierkało wyszedł artykuł, w którym mówi się o tym, że Swiatłana sama w pojedynkę przez 10 lat walczyła z chorobą syna i zwyciężyła. Niestety, jest to kłamstwo.

Dalej Cichanouski przedstawił własną wersję wzruszającej historii rodzinnej, opowiedzianej przez Swiatłanę: – Rehabilitacja naszego syna nie przywróciła mu pełnej sprawności i ma poważne problemy psychiczne. Za każdym razem, gdy widzi publikację na swój temat, dostaje ataków i wpada w histerię. Siarhiej zaapelował też: – Proszę, nie zadawajcie mu bólu. Dzieci ciągle proszą matkę, aby nie publikowała ich zdjęć. I ja też, jako ojciec, proszę, by nigdy tego nie robić. W tym momencie robi się jeszcze ciekawiej. Cichanouski wyraża bowiem przekonanie, że Swiatłana sama nigdy by takiego artykułu nie napisała. Z przymrużeniem oka stwierdza, że choć czasem jego żona w żartach prosi go, by zabrał dzieci do USA, bo jest nimi zmęczona, to on nie wierzy, że mogłaby tak postąpić.

Dalej przechodzi do retorycznego kontrataku: – W artykule nie wspomniano, że rehabilitacja była prowadzona w kupionych przeze mnie mieszkaniach i domach, w kurortach – mówi Siarhiej. Z jego wersji wynika, że to on za swoje pieniądze opłacał wyjazdy (w tym wizy) na leczenie do Warszawy i Petersburga. – Wcześniej Swieta mówiła również i o mojej roli. Dziś fałszowana jest historia, Wiaczorka nazywany jest głównym organizatorem protestów w 2020 r., Swieta traktowana jest jak odwieczna wojowniczka, a ja – przypadkowy człowiek. A to przecież metody dyktatorskie – grzmi Cichanouski.

Widać wyraźnie, że czuje się przez środowisko swojej żony marginalizowany. Czy słusznie – to inna sprawa. Wspomniany Franak Wiaczorka to główny doradca jego żony. Jeden z najważniejszych i najbardziej wpływowych jej współpracowników. Siarhiej nie kryje swojej niechęci do niego. Uważa, że to właśnie Wiaczorka buntuje przeciwko niemu Swiatłanę. Łukaszenkowska propaganda wielokrotnie sugerowała, że Wiaczorkę i Cichanouską łączy romans. Nie ma na to jednak żadnych dowodów.

„STOP KARALUCH!"

Jak wygląda geneza publicznego sporu w pierwszym małżeństwie białoruskiej opozycji? 12 września Cichanouski opublikował materiał o „fałszowaniu historii". Punktem wyjścia była wypowiedź białoruskiego opozycyjnego publicysty Alaksandra Kłaskouskiego w programie „Obycznoje utro" („Zwykły poranek"). Kłaskouski stwierdził, że podczas kampanii prezydenckiej w 2020 r. Siarhiej nie miał żadnego programu politycznego, podczas gdy Swiatłana taki program miała. Publicysta argumentuje, że Cichanouski jedynie jeździł po kraju z prymitywnym hasłem „Stop karaluch!" (karaluchem nazywano wówczas Łukaszenkę – przyp. red.), nagrywał filmy i rozmawiał z ludźmi o tym, jak bardzo nienawidzą władzy. Co innego Cichanouska, która podjęła walkę z konstruktywnym przesłaniem – „uczciwe wybory".

– Komentator polityczny powinien wiedzieć, że moja żona całkowicie powtarzała mój bardzo prosty program – przekonuje Siarhiej i przywołuje fragment jednego ze swoich ówczesnych nagrań, w którym mówił: „Jakie są nasze żądania? Odejdź! To najważniejsze żądanie. Tak, popieramy demokratyczną możliwość zmiany władzy,

eprasa.pl 086c9af544

uczciwe wybory, samorząd lokalny, niezawisłe sądy – mówił wówczas Cichanouski, zaznaczając, że to wszystko będzie możliwe dopiero po odsunięciu od władzy Łukaszenki, który na żadną z tych zmian nie pozwoli. Jednocześnie przyznał, że sam jest zwolennikiem republiki parlamentarnej. Dlatego, broniąc się przed zarzutami Kłaskouskiego, Cichanouski przekonuje, że miał program – jedyny wówczas możliwy, czyli „nowe wybory bez Łukaszenki".

– Proponować program gospodarczy podczas wyborów, których nie ma [bo wiadomo, kto je wygra – przyp. red.] to absurd – mówi bloger. Swoje nagranie z 12 września twórca kanału „Strana dla życzni" zakończył retorycznym pytaniem, skierowanym do widzów: – Kto był przypadkowym człowiekiem przed latem 2020 r. – Cichanouski czy Cichanouska? Tym samym bloger wprost deprecjonuje polityczne znaczenie swojej żony. Czyni to jednak w odpowiedzi na ostrą krytykę ze strony jej zwolenników. Możliwe, że to właśnie materiał o „fałszowaniu historii" sprowokował Swiatłanę do wystąpienia, w którym podkreśla ona swoją rolę w walce z Łukaszenką, pomijając zupełnie rolę męża.

Prawdopodobnie sekwencja zdarzeń była więc następująca: najpierw sympatyzujący z Cichanouską publicysta atakuje Cichanouskiego. Ten ostatni reaguje, nazywając żonę przypadkową osobą w polityce. Swiatłana odpowiada, całkowicie przemilczając rolę Siarhieja nie tylko jako polityka, lecz także jako ojca. Z jej wersji wyłania się bowiem obraz matki Białorusinki, która niemal w pojedynkę wychowała chore dziecko, może z lekką pomocą „rodziny".

Cynicznie rzecz ujmując, Łukaszence opłaciło się wypuszczenie Cichanouskiego na wolność. Bynajmniej nie dlatego, że ktokolwiek w tym opozycyjnym kotle jest agentem czy świadomie działa na korzyść władz w Mińsku. Po prostu konflikt rodzinny z polityką w tle był w tej sytuacji nieunikniony. W 2020 r. Siarhiej był liderem opozycji, a jego żona – tłumaczką języka angielskiego (z wykształcenia jest nauczycielką). Po pięciu latach odsiadki role się w pewnym sensie odwróciły. Założyciel bloga „Strana dla życzni" zapisał heroiczną kartę więźnia politycznego, ale w tym czasie prawdziwą polityką zajęła się Swiatłana. Oczywiście głównie błyszczy na dyplomatycznych salonach i nie ma realnego wpływu na sytuację w kraju, ale przecież Siarhiej również nie był w stanie takiego wpływu wywrzeć. Teraz Cichanouska ma cały sztab współpracowników i jest przyjmowana przez światowych przywódców, a Cichanouski prowadzi kanał na YouTube i wdaje się w ostre kłótnie ze środowiskiem własnej żony.

Artykuł Cichanouskiej nie był jedynie personalnym atakiem wymierzonym w męża. Był czymś gorszym

OSTRO NA ULICY

Pierwsze publiczne zgrzyty między małżonkami pojawiły się już dwa miesiące po wyjściu Siarhieja na wolność, we wrześniu 2025 r. W Nowym Jorku doszło wtedy do dziwnej, ale bardzo znamiennej sytuacji. Cichanouski zorganizował spotkanie z białoruską diasporą na jednej z nowojorskich ulic. Wiec był transmitowany na jego youtube'owym kanale. Uczestniczyła w nim Swiatłana. Nieco z tyłu, niczym szara eminencja, stał poddenerwowany Wiaczorka. Dyskretnie przypominał swojej szefowej, że są umówieni na wywiad w CNN. Cichanouski zaczął publicznie krytykować Wiaczorkę i generalnie politykę prowadzoną przez otoczenie swojej żony. Zasugerował, że żona nie powinna chodzić do CNN, bo stacji tej nie lubi Donald Trump. Następnie zastosował coś w rodzaju szantażu moralnego. Postawił Swiatłanę przed wyborem: albo zostanie na spotkaniu ze „zwykłymi Białorusinami", albo ich zlekceważy i wybierze blichtr wielkiej telewizji. Cichanouska uległa.

Kolejny kryzys nastąpił jesienią i zimą 2025 r. Małżeństwo Cichanouskich otrzymało Nagrodę im. Siergieja Magnickiego, przyznawaną za działalność na rzecz praw człowieka, walkę z bezkarnością, korupcją i represjami. Ceremonia odbyła się w Londynie. Nagrodę odebrała jedynie Swiatłana, ponieważ jej biuro poinformowało Siarhieja dzień przed uroczystością, więc nie zdążył uzyskać wizy. Co ciekawe, inną wersję przedstawił ówczesny rzecznik Cichanouskiego Siarhiej Biespałau. Stwierdził on mianowicie, że Biuro rzeczywiście nieszczególnie pomagało, ale z wyprzedzeniem poinformowało jego szefa o nagrodzie. Cichanouski sam ponoć zaniedbał procedurę niezbędną do uzyskania wizy, więc wina leżała po jego stronie. A potem zemścił się na swoim rzeczniku za to, że w tej sprawie „puścił parę" i wysłał go do Los Angeles w celu nagrania spotkania z białoruską diasporą. Gdy jednak Biespałau odmówił wsparcia w publicznym ataku na Biuro, Cichanouski nie chciał mu kupić biletu powrotnego. Rzecznik zrezygnował więc z pracy i zaczął publicznie krytykować byłego szefa.

Ostatecznie sekwencja zdarzeń była najprawdopodobniej następująca: Biuro nie powiedziało Cichanouskiemu, że nagroda została mu przyznana, ale wcześniej uprzedziło go, że może ją dostać, i pomogło rozpocząć procedurę wizową. Cichanouski jednak sam jej nie dokończył.

FRUSTRACJA

Sytuacja jest od dawna napięta. Cichanouski mniej lub bardziej słusznie doszukuje się w działaniach Biura spisku przeciwko sobie. W jego ostrych wypowiedziach słychać frustrację i poczucie, że współpracownicy żony traktują go jako kłopotliwy dodatek. I być może w tym ostatnim jest ziarno prawdy, Cichanouski jest żywym symbolem walki z Łukaszenką, ale symbolem nerwowym i kłótliwym. I nic nie wskazuje na to, by zamierzał się pogodzić z rolą „pierwszego męża" emigracyjnej Białorusi.

Kolejnym problemem blogera jest jego osamotnienie. Większość opozycyjnych mediów białoruskich stoi po stronie jego żony, traktując Siarhieja jak nieobliczalnego krzykacza, który za kratami zapomniał, jak się robi politykę. I na razie to głównie Cichanouski prowokuje spory, to on jest stroną atakującą (niezależnie od słuszności ataków). Biuro Cichanouskiej na razie raczej milczy.

Jej artykuł nie był jedynie personalnym atakiem wymierzonym w męża. Był czymś gorszym – aktem lekceważenia jego roli. Niemniej Cichanouski jeszcze nie doczekał się ostrej riposty. Sytuacja jest więc wciąż rozwojowa. A Łukaszenka czeka z popcornem na dalsze akty tej tragikomedii…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 086c9af544

Naddunajski spleen w krainie „demokracji walczącej”



Piotr Semka z Budapesztu

Péter Magyar zdecydował się na to, na co nie zdecydował się żaden rząd odrodzonej III RP po 1989 r. Zamknął kanał publicznej telewizji i radia, aby dać czas na całkowite przygotowanie nowych, w pełni podporządkowanych sobie mediów publicznych

Przełom dojrzałego lata i wczesnej jesieni to chyba najlepszy okres na odwiedzenie Budapesztu. Jest ciepło, słonecznie, ale nie upalnie.

Postanowiłem wybrać się nad Dunaj, aby zobaczyć, jak wygląda kraina Madziarów po odejściu od władzy Viktora Orbána. I sprawdzić, jak tutejsza prawica radzi sobie w warunkach „demokracji walczącej”. I bardzo szybko zorientowałem się, że wszelkie porównania z naszymi polskimi kłopotami z praktykami Donalda Tuska nie wytrzymują porównania z tym, co tu się dzieje od kwietnia, kiedy to władzę objął Péter Magyar i jego partia TISZA.

Różnica polega na tym, że na Węgrzech sztandarowe ugrupowanie tutejszych „Europejczyków” zdobyło większość konstytucyjną. A dodatkowo w tradycji węgierskiej funkcja prezydenta wybieranego przez parlament była zawsze czysto dekoracyjna. Dopiero tu możemy docenić, jak ważnym hamulcem przed przewagą jednego ugrupowania jest instytucja polskiego, wybieranego w powszechnym głosowaniu prezydenta. Na Węgrzech tej zapory nie ma. I dlatego Péter Magyar może działać z pełną brutalnością.



Okładka jednego z węgierskich wydawnictw poświęconych Viktorowi Orbánowi FOT. ESEMÉNYSZERVEZÉS.HU BTL ÜGYNÖKSÉG

ODREAGOWYWANIE 16 LAT

W kiosku z gazetami, w centrum Budapesztu oglądam okładki pism satyrycznych. Mimo że od dymisji Viktora Orbána minęło już pół roku, najwyraźniej lewa strona, która wiedzie prym w sektorze pism satyrycznych, wciąż nie może się nasycić runięciem fideszowego lidera.

Na jednej z okładek widzę duży tytuł: „Ja, dwulicowiec” i demoniczne oblicze Orbána obsypanego deszczem złotych monet, trzymającego palec na ustach z zachętą do utrzymania tajemnic poprzedniego „reżimu”. Okładkowy Orbán w rysunkowych banieczkach mówi sobie: „Wdałem się w zmowę z Putinem i wydałem miliardy na kampanię nienawiści... a mimo to przegrałem”.

Orbán jest wciąż ulubionym obiektem kuksańców ze strony dominującej tu, na rynku liberalnej lewicowej prasy. Dziennikarze spekulują, czy jego przyjaciel Donald Trump stara się o jakieś wysokie stanowisko dla byłego premiera Węgier. Węgierski dziennikarz śledczy Szabolcs Panyi, pełniący na Węgrzech podobną rolę jak u nas Andrzej Stankiewicz z Onetu, głosi, że Orbán ubiega się o wysokie stanowisko w ONZ przy wsparciu Argentyny i USA.

Gdy pytam, ile w tym prawdy jednego z dziennikarzy z prawej strony węgierskiej sceny medialnej, ten odpowiada: „Oczywiście nie mogę dać sobie ręki uciąć, że Trump nie chce w jakiś sposób pomóc swojemu ulubionemu politykowi z Europy. Ale sam Orbán na ten temat nic nie mówi i raczej nie wydaje mi się to specjalnie prawdopodobne. Gdyby zdecydował się na taki krok, powstałoby wrażenie, że lider Fideszu ucieka z tonącego okrętu. Za to takie dywagacje na portalach lewicowych dziennikarzy doskonale służą kreowaniu stereotypu: bogacz Orbán, wspierany przez ultraprawicową międzynarodówkę, szykuje się do czmychnięcia z Węgier, aby uciec od odpowiedzialności”.

eprasa.pl 086c9af544

Nie zmienia to faktu, że gdy rozmawiam z węgierskimi publicystami z prawej strony, to słyszę wiele kwaśnych opinii. Ferenc, młody student z Budapesztu, który brał udział w ostatniej kampanii Fideszu, tak ubiera te wątpliwości w słowa: „Orbán budził mój niepokój już w trakcie kampanii wyborczej. Jego przechwałki, że jego »sukces będzie tak wielki, że będzie go można podziwiać z Księżyca«, był dla mnie sygnałem alarmowym, że traci on kontakt z rzeczywistością. Teraz nie potrafi on znaleźć dla siebie odpowiedniej roli i nie potrafi wymyślić jakiegoś nowego pomysłu na Fidesz w warunkach opozycji".

Parę razy w trakcie wizyty w Budapeszcie słyszałem dosyć chłodne opinie o poklęskowym 32. zjeździe czołowej partii opozycji, który odbył się 13 czerwca 2026 r. Orbán został wybrany na nową kadencję i na dodatek startował bez kontrkandydata. Uzyskał 729 głosów delegatów z 737. Co charakterystyczne, tylko ośmiu delegatów wstrzymało się od głosu, a nikt nie zagłosował przeciwko ponownej reelekcji Orbána. Na tym spotkaniu Orbán publicznie wziął na siebie pełną odpowiedzialność strategiczną za katastrofalną porażkę. Ale – jak słyszę – żadnego nowego programu ani porywającego przemówienia na razie nie wygłosił.

PO OMACKU WE MGLE

W jednej z budapeszteńskich kawiarni umawiam się na spotkanie z deputowanym do nowego parlamentu Lőrincem Nacsą. Do parlamentu wszedł on z ramienia KDNP – Chrześcijańsko-Demokratycznej Partii Ludowej. W latach 2010–2026 był to mniejszościowy partner rządzący na Węgrzech w koalicji z Fideszem.

Pierwsze pytanie może być tylko jedno: „Dlaczego przegraliście?". Lőrinc Nacsa odpowiada: „Nic nowego panu nie powiem. Byliśmy u władzy za długo. Ponad 16 lat. W wygranej TISZY główną rolę odegrały bardzo niechętne Węgrom otoczenie międzynarodowe i nasze błędy. Teraz my, szeregowi politycy opozycji, będziemy płacić za arogancję części elit gospodarczych z czasów naszych rządów, których przedstawiciele byli po prostu za pewni siebie. Błędem było też zbudowanie antynomii my kontra wciąganie Węgier do wojny na Ukrainie. Wyborcy w to nie uwierzyli i wybrali największą siłę, która kojarzyła im się ze zmianą. A to, że głosowali na Pétera Magyara, polityka kinderniespodziankę, to już niestety dowód braku wyobraźni moich rodaków". Gdy pytam, co musi się zmienić w obozie prawicy, słyszę: „Nie ma co ukrywać, że nasza koalicyjna partia jest ciągle w szoku. Nikt nie przewidywał, że pakiet reform spychających prawicę na margines życia politycznego i społecznego będzie tak drastycznie szybko wprowadzany w życie".

Mój rozmówca dodaje, że nie jest przypadkiem, iż Magyar zaraz po wyborach odwiedził Warszawę. Mówi: „Tusk ewidentnie udzielił gościowi z Budapesztu lekcji, jak się ubezwłasnowolnia media. Wszystkie portale i pisma korzystające z dotacji państwowych teraz są likwidowane". I dodaje: „Nasz nowy premier zachowuje się jak niedojrzały nastolatek, który chce się zemścić za urazy, których kiedyś doznał od Fideszu. W parlamencie pięć razy więcej mówi o opozycji, niż zdradza, jakie ma zamiary w dziedzinie gospodarki czy reformowania państwa. Hasło »rozliczenia z orbanowcami« w wypadku elektoratu Magyara działa jak cudowny talizman".

CZYSTA WODA PO WĘGIERSKU

Magyar zdecydował się na to, na co nie zdecydował się żaden rząd odrodzonej III RP po 1989 r. Zamknął kanał publicznej telewizji i radia, aby dać czas na całkowite przygotowanie nowych, w pełni podporządkowanych sobie mediów publicznych. Demonstracją nowej ekipy była czarna tabliczka, która zamiast programu ogłaszała przeprosiny za poprzednie kłamstwa telewizji i radia. Rozmawiam z jednym z ludzi, których zwolniono z węgierskiej telewizji publicznej.

Powiedział: „Nie będę bronił rozmaitych wyskoków, które działy się w telewizji publicznej za rządów Orbána, ale wtedy nasza telewizja jednak była wyczulona na ataki opozycji i odnosiła się do wielu zarzutów, które formułowali socjaliści czy choćby Jobbik. Teraz przyszli bardzo sprytni »oficerowie polityczni« od Magyara i nie ma mowy o jakimkolwiek odnoszeniu się do potknięć nowej ekipy. Wie pan, ja mam swoje lata i pamiętam epokę komunistycznych Węgier. Chyba podobnie jak pan wychowałem się w przekonaniu, że zachodnie gazety to krynica prawdomówności w odróżnieniu od naszej byłej, czerwonej, zakłamanej prasy. Ale gdy niedawno czytałem w paryskim »Le Monde« peany o tym, jak węgierska telewizja po jej uruchomieniu 20 sierpnia stała się pluralistyczna w odróżnieniu od epoki Orbána, to przecieram oczy ze zdumienia. W ogóle to szerszy problem. Wszystkie zachodnie gazety nie zauważają brutalnego łamania zasad demokracji przez ekipę Magyara. Same pochwały, a niekiedy jeszcze napomnienia, że »orbanizm« nie został jeszcze w pełni wykarczowany".

Kolejny mój rozmówca to burmistrz jednego z mniejszych miast w okolicach Budapesztu. Jak mówi, „byli burmistrzowie z Fideszu są sparaliżowani strachem przed działaniem powołanej przez Magyara komisji do spraw odzyskiwania majątku zagarniętego nielegalnie za rządów Orbána. W tym czasie przyznano setki najrozmaitszych dotacji, które teraz są sprawdzane. Ci ludzie zaczynają zwracać te dotacje, aby mieć święty spokój. Ale skoro oddają oni pieniądze, które przeznaczone były na wiele bardzo pożytecznych i potrzebnych ludziom inwestycji, to siłą rzeczy one szybko nie powstaną. Nikt nie dostał na razie konkretnych zarzutów, ale w tej atmosferze zastraszenia ekipa Magyara chce uzyskać efekt, w którym sami burmistrzowie zaczną się samooskarżać".

Gdy wieczorem oglądam węgierską telewizję publiczną przy pomocy mojego przyjaciela tłumaczącego mi na żywo, to wygląda ona po prostu jak nudna telewizja. Ale tak samo jest z naszą TVP w likwidacji. Jej większość bezbarwnego kontentu służy jedynie jako tło dla paru agresywnych publicystek – „arcykapłanek propagandy". Tak jest i tutaj, nad Dunajem. Swoistym symbolem tego, jak bardzo władza może wpływać na te nowe, „oczyszczone z propagandy" medium, świadczy epizod z sierpnia. Jedno z lewicowych mediów ogłosiło, że jednym ze spikerów nowego programu informacyjnego miałby zostać prezenter jeszcze z epoki Orbána. Péter Magyar, który wzorem Donalda Tuska ogłasza swoje najważniejsze zamierzenia na komunikatorze X, natychmiast napisał tweeta: „Nie wierzę, że ktoś taki będzie wśród prowadzących nowy główny

eprasa.pl 086c9af544

program informacyjny". I rzeczywiście następnego dnia Gábor Hajdu, dyrektor programowy Hir TV, węgierskiego kanału informacyjnego telewizji państwowej, pospieszył z zapewnieniami, że skrytykowany przez Magyara prezenter nie pojawi się w przyszłym magazynie informacyjnym.

Jeśli ktoś szuka podobieństw między naszą Koalicją 13 grudnia a nowym rządem węgierskim Magyara, to szybko odnajdzie je w stosunku do prawdy.

Gdy wskutek spadku wody w Dunaju doszło do awarii w największej węgierskiej elektrowni jądrowej Paks, opozycyjna partia Fidesz zarzuciła członkom rządu premiera Magyara, że sekretarz stanu do spraw gospodarki wodnej, Ágnes Kelemen, przebywa na urlopie i nie zdradza żadnego zainteresowania kryzysową sytuacją. Wtedy László Gajdos, węgierski minister do spraw środowiska, kłamał, że pani sekretarz przebywa z oficjalną wizytą w Austrii właśnie z powodu kryzysu wywołanego niskim poziomem wód, który zakłócił pracę elektrowni. Tymczasem sami Austriacy zdementowali, by doszło do spotkania kogokolwiek z ich rządu z węgierską urzędniczką. Sprawa stała się więc oczywista. Minister Gajdos bezczelnie kłamał, aby kryć podwładną. Ale premier Magyar nie wyciągnął z tego żadnych konsekwencji. A większość mediów zdominowana przez obóz lewicowo-liberalny informowała o całej sprawie jedynie półgębkiem.

SIŁA BEZSILNYCH?

Kościół Wniebowzięcia Najjaśniejszej Marii Panny to najstarsza świątynia Budapesztu. Na plebanię tej świątyni sprowadza mnie informacja, że proboszcz tego kościoła, Zoltán Osztie, wziął udział w demonstracji w Budapeszcie w sierpniu br. przeciwko odwołaniu dotychczasowego prezydenta Tamása Sulyoka. Kuria diecezji ostrzyhomsko-budapeszteńskiej po demonstracji szybko pospieszyła z komunikatem, że wypowiedzi ks. Osztie na wiecu nie reprezentują stanowiska Kościoła.

Moje pytanie brzmi: Dlaczego ksiądz wziął udział w tej demonstracji? W odpowiedzi słyszę: „Dostałem prośbę od organizatorów i uważałem, że jest to okazja, by wyrazić swoją opinię. Każde takie wystąpienie to możliwość ewangelizacji i wyrażenia nauki moralnej". Ksiądz Osztie przypomina, że rząd Orbána był jednym z pierwszych węgierskich rządów, który nie wstydził się dziedzictwa kultury chrześcijańskiej. Za jego rządów odnowiono aż 3,8 tys. kościołów, w tym kościoły zarówno katolickie, greckokatolickie, jak i kalwińskie. Wspierano też szkoły chrześcijańskie, szpitale, przedszkola i ośrodki pomocy społecznej. Równolegle rozwijano politykę rodzinną. „Dlatego nie widzę powodów, by wspominać tę poprzednią ekipę źle".

Jeśli ktoś szuka podobieństw między naszą Koalicją 13 grudnia a nowym rządem Magyara, to szybko je znajdzie

Gdy pytam, co odpowie na zarzuty części mediów, że jest to mieszanie się Kościoła do polityki, ks. Osztie odpowiada krótko: „A działalność Jana Pawła II i jego homilie to też była polityka?".

W oświadczeniu związanym ze swoim udziałem w demonstracji ks. Osztie napisał: „Dzisiaj wydaje się, że duchowieństwo, a zwłaszcza nasi przywódcy, oddaliło się od wiernych, nie słyszy ich próśb i potrzeb, a przecież właśnie na tym polega istota »drogi synodalnej«. Z każdej strony słychać głośne oczekiwanie: w tym absurdalnym, surrealistycznym środowisku społecznym kierownictwo kościelne powinno wskazywać drogę, nie milczeć na temat ewangelicznego osądu bieżących wydarzeń. To właśnie poprzez nas powinno być obecne życie zgodne z Ewangelią jako alternatywa. Jeśli nie zabierzemy głosu, to oddamy pole siłom sprzecznym z Ewangelią i nie powinniśmy narzekać, że nasze wspólne życie nie kształtuje się tak, jak nakazuje nam nauka naszego Jezusa".

NA KOSSUTH LAJOS TÉR

Plac ku czci przywódcy węgierskiego powstania w 1848 r., rozciągający się przed charakterystycznym neogotyckim węgierskim parlamentem, to swoisty salon polityczny Budapesztu. Bardzo wiele demonstracji w dziejach Węgier zaczynało się właśnie w tym miejscu. 28 października 1956 r. zebrali się tu demonstranci protestujący przeciwko komunizmowi na wieść o zmianach w Polsce. To tu doszło do masakry, gdy funkcjonariusze bezpieki otworzyli do manifestujących ogień z różnych punktów placu. Spaceruję wokół Kossuth Lajos Tér, dopiero teraz dostrzegam, ile pomników sprzed epoki komunizmu odbudował Viktor Orbán.

Najbardziej na lewo, blisko Dunaju, wznosi się na nowo konny pomnik premiera Węgier z czasu ugody w XIX w. z Austrią, Gyuli Andrássyego, który komuniści usunęli po 1945 r.

Kolejny przywrócony pomnik to monument bohaterów ojczyzny z 1921 r. ku czci ofiar komunistycznej rewolucji w latach 1918–1919. Dalej, naprzeciw parlamentu, najbardziej dyskretny symbol pamięci, swoisty tunel wchodzący w ziemię, który uczcił rocznicę traktatu w Trianon. Na ścianach tego swoistego wąwozu, wyłożonego marmurowymi płytami wykuto węgierskie nazwy tysięcy miast i miejscowości, które Węgry utraciły wskutek werdyktu wielkich mocarstw po zakończeniu pierwszej wojny światowej. I wreszcie po drugiej stronie parlamentu kolejny wskrzeszony pomnik sprzed wojny – kolumna ku czci premiera Istvana Tiszy, zamordowanego 31 października 1918 r. w pierwszym dniu lewicowej rewolucji na Węgrzech.

Dziś tylko te pomniki poświadczają, że epoka Orbána w ogóle zapisała się w historii Węgier. Węgierska prawica wciąż jest w szoku po utracie władzy. Wspomniana już demonstracja przeciwko usuwaniu legalnie wybranego prezydenta Tamás Sulyoka była od kwietnia jedyną większą demonstracją opozycji. Czy jest to objaw węgierskiego fatalizmu, który w wypadku niepowodzeń skłania do bierności? Na pewno węgierską prawicę nurtuje ten sam problem, który jest w Polsce. Jak wymyśleć się na nowo po przejęciu władzy przez przeciwników, i to bardzo brutalnie skutecznych przeciwników? Na pewno nie będzie to mój ostatni pobyt nad Dunajem. Techniki demokracji bezalternatywnej wspierane po cichu przez Brukselę są w obu naszych krajach bardzo podobne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 086c9af544



Michał Murgrabia

Monarchiści z Brazylii zwierają szeregi i walczą o przywrócenie monarchii. Brazylijska demokracja robi jednak, co może, by rzucać im kłody pod nogi



Korona Brazylii

Choć Brazylia żyje wyborami prezydenckimi, to z tego wielkiego, egzotycznego kraju spływają do nas również inne ciekawe informacje. Chodzi o losy wniosku obywatelskiego (oznaczonego jako SUG 9/2024) w sprawie przeprowadzenia w 2026 r. referendum nad zmianą ustroju i przywrócenia monarchii. Wniosek został złożony we wrześniu 2024 r. za pośrednictwem portalu e-Cidadania (port. obywatelstwo).

Portal, za którego pośrednictwem można składać obywatelskie propozycje w zakresie różnych zmian w prawie, z poprawkami do konstytucji włącznie, utworzono w 2012 r. Jego celem jest zwiększenie zaangażowania obywateli w sprawy państwa. Jak wyjaśnia kanał na portalu X „Monarquia News": „Propozycje są dostępne na portalu przez cztery miesiące i oczekują na poparcie społeczne. Jeśli pomysł legislacyjny zbierze ponad 20 tys. podpisów poparcia, to jest kierowany do CDH [Comissão de Direitos Humanos e Legislação Participativa, czyli senacka Komisja Praw Człowieka i Ustawodawstwa Partycypacyjnego] jako sugestia legislacyjna. Po analizie komisja decyduje, czy ją odrzuci czy przekształci w projekt ustawy (PL) lub propozycję zmiany w konstytucji (PEC)". W przypadku niektórych projektów, które nie osiągnęły wymaganego progu, zdarza się, że „jakiś senator, inspirowany pomysłem, samodzielnie składa projekt ustawy lub PEC".

Propozycję obywatelską w sprawie zmiany ustroju w Brazylii poparło ponad 30 tys. osób. Sam sposób złożenia wniosku nie stanowi jednak odpowiednika obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej w myśl polskiego prawa. „Sugestão Legislativa", czyli właśnie SUG, to wyłącznie propozycja jednego z obywateli stanu São Paulo, która trafiła na stronę brazylijskiego Senatu. Z kolei złożenie obywatelskiego projektu ustawy ma znacznie bardziej wyśrubowane wymogi i zakłada m.in. zebranie 1 proc. podpisów wszystkich osób uprawnionych do głosowania, co dawałoby próg aż 1,5 mln podpisów. Dla porównania: w Polsce wystarczy poparcie 100 tys. osób. Gdyby jednak u nas obowiązywał brazylijski system, to próg wynosiłby prawie 300 tys. podpisów. W przypadku obywatelskiego projektu ustawy składanego w Brazylii samo zebranie podpisów nie jest jedynym warunkiem wymaganym do przeprowadzenia całej, dość skomplikowanej procedury.

CZARNE CHMURY

Choć do referendum jeszcze daleka droga, to wniosek trafił pod lupę CDH w Senacie. Zadaniem komisji jest ocena, czy na tej podstawie zostanie zaproponowany projekt ustawy, którego finalnym efektem będą zorganizowanie plebiscytu i ewentualna reforma konstytucji. Ta

eprasa.pl 086c9af544



Zwolennicy brazylijskiej prawicy protestują pod flagą monarchistów przeciw lewicowym władzom, São Paulo, kwiecień 2026 r.
FOT. AMANDA PEROBELLI/REUTERS/FORUM

ostatnia ustanowiłaby nowy porządek ustrojowy w Brazylii, a tak naprawdę przywróciłaby poprzedni ład, obalony w wyniku rewolucji.

Nad referendum zawisły jednak ostatnio czarne chmury. Sprawozdawca komisji, senator Damares Alves z partii Republicanos, złożyła już oficjalny raport rekomendujący odrzucenie pomysłu, choć ostateczne głosowanie w tej sprawie zostało na razie odłożone. Była szefowa resortu Kobiet, Rodziny i Praw Człowieka, choć w Polsce jest osobą praktycznie nieznaną, to w Brazylii uchodzi za postać budzącą ogromne emocje, wokół której wybuchło już kilka głośnych skandali. Jako wpływowa pastor Kościoła Poczwórnej Ewangelii (ang. Foursquare Church) nieraz musiała się mierzyć z poważnymi kryzysami wizerunkowymi, m.in. oskarżeniami o nepotyzm.

Najgłośniejszy z nich miał miejsce w 2023 r., kiedy policja federalna wykryła na lotnisku ponad 290 kg marihuany w samolocie należącym do jej zboru. Jedynym dysponentem i osobą odpowiedzialną za użytkowanie maszyny był jej wujek – wpływowy pastor i były deputowany, Josué Bengtson. Odszedł on z polityki w całkowitej niesławie. W 2018 r. Sąd Federalny skazał go za nielegalne wzbogacenie się poprzez wyprowadzanie funduszy z publicznej służby zdrowia – brazylijskiego odpowiednika NFZ (SUS) w stanie Pará – a głośną aferę okrzyknięto w mediach mianem „mafii karetek pogotowia". W efekcie polityk stracił mandat, zawieszono jego prawa polityczne na osiem lat, a sąd nakazał mu zwrot zagrabionych funduszy oraz zapłatę 150 tys. reali grzywny (ok. 107 tys. zł). To właśnie u niego Damares nabierała szlifów na początku swojej kariery politycznej. Losy wniosku zależą teraz od tak kontrowersyjnego środowiska.

WYGNANY CESARZ

Mało kto w Polsce zdaje sobie sprawę z tego, że przed 15 listopada 1889 r. Brazylia była cesarstwem. Pomysł z referendum nie był zatem czymś, co wzięło się zupełnie znikąd. W Brazylii rządy republikańskie zaprowadzono na skutek przewrotu, a samą rodzinę cesarską spotkał przykry los – wygnano ją do Europy. Pedro II (Piotr II) ocalił życie swoich bliskich tylko dlatego, że abdykował, nie stawiając oporu rewolucjonistom. W zasadzie nie pozostawiono mu innego wyboru. Nie chcąc czekać na zgromadzenie się wokół cesarza sił kontrrewolucyjnych, rewolucjoniści dali mu jedynie kilkanaście godzin na opuszczenie kraju. Cesarz zmarł na wygnaniu dwa lata później, 5 grudnia 1891 r., w jednym z paryskich hoteli. To właśnie na czas jego ponad 50-letnich rządów przypada najdłuższy okres wzrostu gospodarczego w Brazylii. Nie bez powodu jego poddani tytułowali go mianem O Magnânimo" co można przetłumaczyć jako Wielkoduszny lub Najszlachetniejszy. Cesarz nie tylko zasłynął bowiem jako mecenas sztuki i nauki, lecz także znany był ze swojej wielkiej niechęci do wprowadzania nowych podatków (nawiasem mówiąc, była to jedna z pierwszych decyzji nowo powstałego republikańskiego rządu).

Niewątpliwie wyrządzono temu człowiekowi ogromną krzywdę, którą częściowo próbowano naprawić po jego śmierci. W 1920 r. brazylijski parlament najpierw unieważnił dekret o banicji, na którego podstawie wygnano rodzinę cesarską, a następnie po dwóch latach sprowadzono ciało cesarza i z honorami pochowano je w Katedrze św. Piotra z Alkantary w Petrópolis. Gesty te można jednoznacznie odczytywać jako formę zadośćuczynienia za wyrządzone mu w przeszłości krzywdy.

Na czele puczu wojskowego stanął marszałek Manuel Deodoro da Fonseca, który nie tylko był liberałem, lecz także należał do loży masońskiej. Został wybrany przez spiskowców głównie dlatego, że cieszył się posłuchem wśród żołnierzy, co w dużej mierze ułatwiło przeprowadzenie zamachu stanu. Po obaleniu cesarza da Fonseki niezwłocznie obwołał się pierwszym prezydentem nowej republiki. Jego rządy były jednak niestabilne i oceniane są jako nieudolne oraz autorytarne. Da Fonseca stopniowo tracił kredyt zaufania, którym został początkowo obdarzony przez kręgi wojskowych, co finalnie doprowadziło do buntu w armii i zmuszenia go do dymisji. I choć doczekał się umieszczenia swojego wizerunku w 1998 r. na monecie o nominale 25 brazylijskich centavos, to przez Brazylijczyków zapamiętany został jako skompromitowany przywódca. Sam nominał nie był wówczas wiele wart, a i dzisiaj nie stanowi większej wartości kolekcjonerskiej, co dobrze oddaje stosunek Brazylijczyków do tej postaci.

BUNT PLANTATORÓW

Jednym z głównych powodów zamachu stanu wymierzonego w cesarza było oburzenie różnych grup społecznych, w tym właścicieli plantacji kawy. Na skutek podpisania 13 maja 1888 r. tzw. Złotej Ustawy (port. Lei Áurea), znoszącej niewolnictwo w Brazylii, z dnia na dzień plantatorzy zostali praktycznie pozbawieni siły roboczej; niewolnicy po prostu masowo opuścili plantacje. Władze nie przewidziały w porę konsekwencji tej decyzji i nie przygotowały żadnej formy przejściowej pomocy dla plantatorów kawowca. Zmiany, które zaszły niemal błyskawicznie, były tym bardziej dotkliwe, że w tym czasie kawa stanowiła ponad 60 proc. całej wartości krajowego eksportu. Decyzja ta, choć w swej istocie szlachetna, była jednak potężnym uderzeniem w jeden z głównych filarów gospodarki. Gniew szemrających przeciwko cesarzowi różnych środowisk był dodatkowo podsycany planami wypłacenia rekompensat dla byłych niewolników

eprasa.pl 086c9af544

przy jednoczesnym pominięciu ich dawnych właścicieli. Znamienne jest to, że choć Brazylia zniosła niewolnictwo jako ostatni kraj w Ameryce Południowej, to ostatecznie ludzie ci zawdzięczają uzyskanie wolności właśnie… cesarzowi.

Elity stojące za osławioną Republiką Brazylii, zdając sobie sprawę, że zmiana ustroju nie była legalna, a stanowiła wręcz wynik rewolucji i przewrotu, próbowały obłaskawić zwolenników monarchii, kupując sobie czas złożoną już w 1889 r. obietnicą przeprowadzenia plebiscytu w kwestiach ustrojowych. Chodziło wyłącznie o uśpienie czujności wszystkich tych, którzy byli krytycznie nastawieni do rewolucyjnych rządów. Musiały jednak minąć aż 104 lata, aby republikanie „dotrzymali" danego wcześniej słowa. Inicjatywa ta nie wyszła jednak z ich kręgów – z propozycją przeprowadzenia referendum ustrojowego wyszedł deputowany federalny, monarchista Antônio Henrique Bittencourt Cunha Bueno.

Postanowienie o przeprowadzeniu plebiscytu zostało dodane w poprawce do konstytucji z 1988 r., w której wskazano pierwotnie datę 7 września 1993 r. Ówczesny prezydent Itamar Franco podjął jednak decyzję o przesunięciu go i 4 lutego 1993 r. podpisał ustawę nr 8.624, przyspieszając termin referendum. Nowa data plebiscytu została wyznaczona na 21 kwietnia tego samego roku. Tym samym pozostawiono monarchistom niewiele czasu – jedynie 2,5 miesiąca – na przeprowadzenie kampanii społecznej. Ponadto rządowi republikańskiemu sprzyjały praktycznie cały polityczny establishment, telewizja i wielkie tytuły prasowe.

DYSPROPORCJA SIŁ

Monarchistów dyskredytowano, pokazując ich jako zwolenników powrotu do absolutyzmu, czyli nieskrępowanej niczym władzy monarchy, wyznawców anachronicznych koncepcji chcących cofnąć Brazylię w rozwoju, będących przy tym zagrożeniem dla jedynie słusznego ustroju, którym jest demokracja. Przedstawiano ich w sposób wręcz karykaturalny. Walka ta była zatem prowadzona przy ogromnej dysproporcji sił. Media nie tłumaczyły odbiorcom tego, że sam projekt zakładał ustanowienie monarchii konstytucyjnej. Tym samym celowo wprowadzano opinię publiczną w błąd, zniekształcając faktyczne postulaty zwolenników przywrócenia korony. Zakładano bowiem, że w monarchii parlamentarnej władca będzie odgrywał głównie rolę reprezentacyjną oraz będzie koordynował prace premiera i parlamentu – nie oczekiwano więc oddania pełni władzy przyszłemu monarsze. Nie jest jednak wykluczone, że brazylijscy monarchiści zakładali stopniowe zmiany i szukali pośrednich rozwiązań, bardziej akceptowalnych dla Brazylijczyków, którzy mogliby odrzucić zbyt radykalne zerwanie z tym, do czego zdążyli się już przyzwyczaić.

Książę Bertrand jest prawowitym następcą tronu z tytułem Księcia Cesarskiego Brazylii

Zwolennicy monarchii podkreślali, że zlikwidowany zostanie urząd prezydenta, a więc zakończą się kosztowne kampanie wyborcze, ograniczony zostanie klientelizm, osłabną partyjne walki o władzę, nastąpi stabilność ustrojowa i zapewniona zostanie ciągłość państwa. Ostatecznie jednak wyniki referendum były niezadowalające dla obydwu stron. Z jednej strony bowiem aż 13 proc. obywateli opowiedziało się za powrotem monarchii. Biorąc pod uwagę perfidne skrócenie czasu na kampanię i falę antymonarchistycznej manipulacji oraz histerii medialnej, która rozlała się po kraju, był to naprawdę dobry wynik. Z drugiej strony w tym samym plebiscycie nie poparto jednak również odejścia od systemu prezydenckiego na rzecz „pełnego" parlamentaryzmu, co dla republikanów stanowiło oczywistą porażkę.

KORONA W SZUFLADZIE

Podobny projekt do obecnego pojawił się już w 2019 r. Rozpatrywano wtedy wniosek SUG 18/2017, badany przez tę samą senacką komisję, od której zależą losy obecnego wniosku. Jak można się domyślić, również poprzednia próba doprowadzenia do referendum w sprawie zmiany ustroju zakończyła się fiaskiem. I choć szanse na zmiany ustrojowe nie są zbyt wielkie, a ostatnio nawet jeszcze zmalały, to nie można odmówić brazylijskim monarchistom determinacji. Kwestia ta po raz kolejny przebiła się do dużych mediów, co już samo w sobie wpływa na ożywienie dyskusji na temat restauracji monarchii w Brazylii. Dotychczas bowiem wątek ten podejmowany był głównie przez środowiska monarchistów i inne grupy sympatyzujące z tą ideą. Warto tu wymienić chociażby Juventude Monárquica Minas Gerais, stowarzyszenie założone w 1992 r., którego celem jest promocja historii Cesarstwa Brazylii i rodziny cesarskiej, powiązane z obecnym kandydatem do tronu. Nie można też pominąć takich organizacji, jak choćby Monarquia News, Casa Imperial do Brasil, Revista Oeste czy Centro Dom Bosco (to ostatnie założone zostało przez świeckich tradycjonalistów związanych z Bractwem św. Piusa X, które prężnie działa również w Polsce).

Na koniec warto przypomnieć postać kandydata do tronu, który cieszy się powszechnym poparciem wśród monarchistów. Jest nim Dom Bertrand de Orleans e Bragança, prawnuk księżniczki Izabeli i praprawnuk ostatniego cesarza Brazylii – Dom Pedra II. Książę Bertrand jest prawowitym następcą tronu z tytułem Księcia Cesarskiego Brazylii (port. Príncipe Imperial do Brasil). Choć urodził się na wygnaniu, to wraz z całą rodziną pozwolono mu powrócić do ojczyzny w 1945 r. Z wykształcenia jest prawnikiem, blisko związanym ze środowiskami Tradycji katolickiej (kilkukrotnie złożył wizytę w Polsce). Brazylijscy monarchiści wciąż liczą na powrót do starego, sprawdzonego systemu, ale niewykluczone, że za sprawą pani Alves kwestia referendum na wiele lat zostanie zatrzaśnięta w jednej z szuflad jej biurka.

***

Oceniając tę sytuację z perspektywy polskiej tradycji monarchistycznej, najbardziej optymalnym wyborem byłaby u nas raczej monarchia dziedziczna, która pozwala kierować się szerszym horyzontem czasowym w kontekście zarządzania wszelkimi dobrami królestwa, a nie jedynie – jak ma to miejsce w demokracjach – od wyborów do wyborów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 086c9af544



FOT. ADOBE STOCK

GAPIOSTWO ZA 50 DOLARÓW

Policjantem miesiąca w Springfield, stolicy stanu Illinois, został Stan Dibbs, który sam siebie ukarał mandatem – w wysokości 50 dol. – za wykroczenie drogowe. Prywatne auto pozostawił przy krawężniku trotuaru, gdzie obowiązywał zakaz zatrzymywania się. Stróż prawa zostawiał w tym miejscu swój samochód systematycznie od wielu miesięcy, lecz nie zauważył, że z początkiem września ustawiono tam znak zabraniający parkowania.

CHLEB Z WKŁADKĄ

Mieszkanka Burgas, Tatiana Wasiliewa, doznała nie lada szoku, kiedy po przekrojeniu bochenka chleba znalazła w nim... mysz. Sklep, w którym nabyła pieczywo, wszczął prywatne śledztwo, mające ujawnić, kto jest odpowiedzialny za ten makabryczny incydent. Trop wiedzie do lokalnej piekarni. Zatem sprawcy/sprawcom chyba się nie upiecze.

SEN Z MANEKINAMI

Wyjątkowo kłopotliwym podopiecznym norweskich organizacji pomocy społecznej wydaje się Adam Rimboot. Ten krzepki i pomysłowy 60-latek – muzyk/kompozytor z wykształcenia (dwa fakultety!), uprawiający swój fach jedynie okazjonalnie – od ponad ćwierćwiecza regularnie korzysta z noclegowni i jadłodajni dla bezdomnych. Niekiedy kwateruje również w izbach wytrzeźwień. Zdarzało mu się koczować w metrze, kościołach, na strychach, w piwnicach, śmietnikach, na plażach, statkach zacumowanych w porcie, klatkach schodowych, w wagonach kolejowych stojących na bocznicach, magazynach, fabrykach, windzie, o aresztach nie wspominając. Ostatnio kilka nocy spędził, śpiąc na wystawie domu mody w Oslo. Akurat wymieniano tam dekorację i przez witrynę widoczne były leżące manekiny. Bezdomny, trawiony od lat lekomanią, drzemał pomiędzy nimi. Niestety, po przemodelowaniu wystroju sklepu stracił swoje nocne przytulisko.

LECIWA CÓRA KORYNTU

Za seniorkę w gronie notowanych prostytutek uchodzi pani używająca pseudonimu Eva Plusk, nawiasem mówiąc, Polka z pochodzenia. Minionego lata celebrowała 65. urodziny. Najstarszy zawód świata zaczęła uprawiać, gdy była jeszcze niepełnoletnia. W 1990 r. wyjechała do Brukseli i tam szybko zyskała zasłużoną renomę w swojej profesji. Kobieta jest długoletnią mężatką, ma dorosłego syna, obecnie przebywa w Bukareszcie. Na emeryturę zamierza przejść dopiero po przekroczeniu siedemdziesiątki. ©℗ ***(TO-RT)***



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Europa bez diesla?

Światowe zapasy ropy topnieją w szybkim tempie. Poziom tego surowca w amerykańskich rezerwach strategicznych spadł pod koniec września do 283,8 mln baryłek, czyli najniższej wartości od października 1982 r. Aby obniżyć ceny na stacjach przed listopadowymi wyborami połówkowymi, Biały Dom rozważa wprowadzenie 90-dniowego zakazu eksportu diesla ze Stanów Zjednoczonych.

Dlaczego to ważne? Bo według S&P Global Energy diesel z USA stanowi ponad 50 proc. importu tego paliwa drogą morską do Unii Europejskiej. Jeśli Donald Trump rzeczywiście zakręciłby kurek, to dla europejskich gospodarek byłby to nokautujący cios. Ciężarówki z branży transportowej, maszyny budowlane i rolnicze, a także przemysł do sprawnego funkcjonowania potrzebują bowiem nie rozwrzeszczanych „zielonych aktywiszcz", ale właśnie oleju napędowego. Jeśli nagle zacznie go brakować, to bardzo wysoki rachunek zapłacą wszyscy. Nie tylko ci, którzy w trosce o „ekologię" doprowadzili do zamknięcia na terenie Unii ok. 30 rafinerii ropy naftowej w ciągu ostatnich kilkunastu lat i nie tylko ci, którzy w kolejnych wyborach głosowali na polityków, potrafiących jedynie podnosić opłaty za emisję dwutlenku węgla i kolejnymi normami niszczyć europejski przemysł. Zapłaci każdy Europejczyk.

Producenci przerzucą bowiem gwałtownie rosnące koszty na konsumentów. Ceny już nabierają rozpędu (według GUS wskaźnik inflacji konsumenckiej w Polsce wzrósł we wrześniu do 4 proc. w ujęciu rocznym), a będzie jeszcze gorzej. Płacąc i płacząc, trzeba jednak pamiętać, że akurat ten kryzys mieszkańcy Starego Kontynentu przeżywają na własne życzenie. ©℗

eprasa.pl 086c9af544

Nie dać się zastraszyć



Dzień Polonii i Polaków za Granicą, święto Konstytucji 3 maja oraz 30-lecie Związku Polaków na Litwie, Wilno, 2019 r.

FOT. IREK DOROŻAŃSKI/FORUM



Krystian Kamiński

Przed podpisaniem w 1994 r. traktatu polsko-litewskiego ówczesne władze Polski odrzuciły litewskie żądanie potępienia przynależności Wileńszczyzny do II Rzeczypospolitej i uznania litewskiej narracji o polskiej „okupacji" tego regionu. Polityka państwa polskiego powinna konsekwentnie trzymać się tej zasady również dzisiaj

Wielokrotnie pisałem już o sprawach naszych rodaków na Litwie – autochtonicznych mieszkańców Wileńszczyzny, którzy pozostali wierni polskiej tożsamości narodowej mimo odłączenia tych ziem od Polski ponad osiem dekad temu. Niestety, także tym razem piszę o nich z powodu presji, którą państwo litewskie wywiera na tę społeczność.

Oto Urząd Inspektora Etyki Dziennikarskiej wszczął postępowanie w sprawie związanego ze Związkiem Polaków na Litwie „Tygodnika Wileńszczyzny" z powodu opublikowanego w nim artykułu, określającego operację oddziałów gen. Lucjana Żeligowskiego z 1920 r. jako „wyzwolenie" Wilna. Mimo że chodzi o publikowane od lat sformułowanie, tygodnikowi grożą teraz konsekwencje prawne. Kibicują już temu zresztą niektórzy ważni litewscy politycy.

SZOWINISTYCZNIE NASTROJENI POLITYCY

Prezes głównej partii opozycji, Związku Ojczyzny – Litewskich Chrześcijańskich Demokratów (TS-LKD), Laurynas Kasčiūnas, nazwał publikację tygodnika polskiej mniejszości „jawnym fałszowaniem historii" i stwierdził, że „zbliża się do podżegania do waśni". Próbował przy tym szantażować Polskę stwierdzeniem, że szkodzi ona „strategicznemu partnerstwu" obu państw, sugerując polskiemu odbiorcy, że Litwa ma dla naszego kraju strategiczne znaczenie. Jest odwrotnie – to Polska ma dla Litwy strategiczne znaczenie. Kasčiūnas zaatakował również Akcję Wyborczą Polaków na Litwie – Związek Chrześcijańskich Rodzin, z którą związane jest pismo, twierdząc, że jest ona „zainteresowana podsycaniem napięć we wschodniej Litwie". Charakterystyczna nomenklatura. Szowinistycznie nastrojonym litewskim politykom, a do takich należy ten były minister obrony, termin „Wileńszczyzna" nie przechodzi przez usta.

Wtórował mu inny parlamentarzysta tej partii, były litewski minister spraw zagranicznych Audronius Ažubalis. Powołał się na stanowisko litewskiej komisji rządowej, która w 1993 r. określiła przynależność Wileńszczyzny do Polski jako „okupację", a Armii Krajowej przypisała zbrodnie przeciwko ludzkości, terroryzowanie i zabijanie ludności cywilnej. Jest to już szczególny przykład zakłamania, biorąc pod uwagę skalę zaangażowania byłych funkcjonariuszy Litwy Kowieńskiej w kolaborację z niemieckimi władzami okupacyjnymi w latach 1941–1944. Ažubalis uznał, że „Tygodnik Wileńszczyzny" powinien zostać ukarany „poważną grzywną" za artykuł, który określił jako „prowokację" i próbę „dzielenia społeczeństwa".

eprasa.pl 086c9af544

Są to politycy głównej partii opozycyjnej, znanej z niechęci do polskiej mniejszości na Litwie i przyjmowania w czasie swoich rządów ustaw niekorzystnych dla naszych rodaków. Niestety, partia ta ma szansę na powrót do władzy nad Wilią, zdecydowanie prowadzi bowiem w tym roku w sondażach na Litwie. Oględniej wypowiadał się natomiast obecny minister kultury Litwy Lukas Alsys, zapowiadając poruszenie kwestii historycznych w kontaktach z władzami w Warszawie.

POWRÓT DO DOMU

Sformułowanie, które pojawiło się w „Tygodniku Wileńszczyzny", pozostaje w pełnej zgodności z prawdą historyczną. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w listopadzie 1918 r. pierwszego wyzwolenia Wilna dokonała oddolnie powołana przez miejscowych Polaków Samoobrona, która przejęła kontrolę nad miastem pierwszego dnia 1919 r. Roszcząca sobie prawa do miasta Rada Litewska (Taryba) uciekła wówczas z niego wraz z okupującymi je wojskami niemieckimi, które były faktycznym protektorem niesuwerennej wówczas Taryby. Uciekła, bo żadnego poparcia w mieście nie miała. Nawet według spisu przeprowadzonego przez Niemców w 1916 r. etniczni Litwini stanowili wówczas zaledwie 2,6 proc. mieszkańców miasta.

Polskie powstanie nie było jednak w stanie przeciwstawić się najściu Armii Czerwonej w styczniu 1919 r. Jednak już w kwietniu miasto zostało wyzwolone po raz drugi przez wojska Józefa Piłsudskiego, by zostać ponownie utracone w czasie ofensywy Michaiła Tuchaczewskiego w 1920 r. Gdy bolszewicy nadciągali pod Warszawę, gdzie los świeżo odrodzonej Polski miał stanąć na ostrzu noża, 12 lipca 1920 r. Litwa podpisała z Rosją Sowiecką traktat pokojowy. Rosja Sowiecka uznawała w nim litewskie roszczenia terytorialne, w tym do Wilna i znacznej części Wileńszczyzny, a tajne postanowienia umożliwiały Armii Czerwonej prowadzenie działań przeciwko Polsce na terytorium uznanym w traktacie za litewskie. Pod koniec sierpnia 1920 r. bolszewicy, wycofując się po klęsce pod Warszawą, przekazali Wilno Litwinom.

Aby usunąć ich z Wilna, potrzebna była akcja wojskowa gen. Lucjana Żeligowskiego 9 października 1920 r. Nie napotkała ona zresztą poważniejszego oporu ze strony Litwinów. Podkreślmy, że żołnierze jego oddziałów, którzy wkroczyli do Wilna, pochodzili z Kresów Północno-Wschodnich, często właśnie z Wilna i okolic. Wracali do domu. Tak oto Wilnianie okupowali, według litewskiej historiografii, sami siebie.

Po zajęciu Wileńszczyzny 12 października 1920 r. gen. Żeligowski proklamował powstanie Litwy Środkowej. W praktyce państwo to zależało całkowicie od wsparcia Polski. Ludność Litwy Środkowej składała się w 70,6 proc. z Polaków, 12,8 proc. z Litwinów, 6,2 proc. z Białorusinów, 4 proc. z Żydów i 6,4 proc. z osób deklarujących inną narodowość.

8 stycznia 1922 r. odbyły się wybory do Sejmu Litwy Środkowej. Wzięło w nich udział 64 proc. uprawnionych. Zdecydowaną większość uzyskały ugrupowania opowiadające się za jak najszybszym włączeniem Wileńszczyzny do Polski jako integralnej części unitarnego państwa. 20 lutego 1922 r. Sejm Litwy Środkowej opowiedział się za włączeniem tych ziem do Rzeczypospolitej. 24 marca Sejm Ustawodawczy Rzeczypospolitej Polskiej przyjął uchwałę o objęciu władzy państwowej nad Ziemią Wileńską, a 6 kwietnia przyjął regulującą tę kwestię ustawę. 18 kwietnia w Wilnie odbyły się uroczystości powrotu Wilna do Macierzy. 15 marca 1923 r. Konferencja Ambasadorów uznała wschodnią granicę Polski, potwierdzając na arenie międzynarodowej przynależność Wileńszczyzny do Rzeczypospolitej.

TRYBUNA WŁASNEGO DYSKURSU HISTORYCZNEGO

Tyle o historii. Teraz o przyszłości. Świadomość historii, wspólnego pochodzenia i wspólnych dziejów jest podstawą tożsamości każdej wspólnoty. Także Polaków na Wileńszczyźnie. Akcja Urzędu Inspektora Etyki Dziennikarskiej to próba zastraszania miejscowych Polaków i zniechęcania ich do pielęgnowania oraz upowszechniania własnej pamięci historycznej. Podkreślmy, że artykuł został opublikowany w polskojęzycznym tygodniku, w naturalny sposób przeznaczonym dla miejscowego środowiska Polaków. Państwowa instytucja litewska ingeruje więc w wewnętrzne życie tej wspólnoty i poprzez instytucjonalną presję próbuje wpływać na to, jak opowiada ona sama sobie własną historię. Tego rodzaju działania trudno rozpatrywać inaczej niż jako próbę odgórnego przekształcania tożsamości Polaków z Wileńszczyzny – jako formę inżynierii społecznej i asymilacji.

Jest to próba odebrania tej społeczności jednej z ostatnich przestrzeni, w których może swobodnie wyrażać własną świadomość historyczną. Mało kto w Polsce wie, że choć na Litwie istnieje sieć publicznych szkół z polskim językiem nauczania, to korzystają one z tych samych programów nauczania co standardowe szkoły litewskojęzyczne. Programów, w których Polska przedstawiana jest właśnie jako historyczny przeciwnik i „okupant Wilna" z lat 1920–1939. Tym ważniejsze są więc media polskiej mniejszości jako trybuna jej własnego dyskursu historycznego. Nie może być zgody na to, aby ta trybuna, ta przestrzeń były niszczone instytucjonalną presją ze strony litewskiego państwa.

Działanie litewskiej instytucji państwowej, którą jest Urząd Inspektora Etyki Dziennikarskiej, trudno rozpatrywać inaczej niż jako próbę odgórnego przekształcania tożsamości Polaków z Wileńszczyzny

Przed podpisaniem w 1994 r. traktatu między Rzecząpospolitą Polską a Republiką Litewską o przyjaznych stosunkach i dobrosąsiedzkiej współpracy ówczesne władze Polski odrzuciły litewskie żądanie potępienia przynależności Wileńszczyzny do II Rzeczypospolitej i uznania litewskiej narracji o jej „okupacji". Odrzucono wówczas to roszczenie. Polityka Rzeczypospolitej powinna konsekwentnie trzymać się tej zasady również dzisiaj. Jakakolwiek kara nałożona na „Tygodnik Wileńszczyzny" za pisanie o własnej historii musi spotkać się z natychmiastową i twardą reakcją państwa polskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 086c9af544



FOT. ADOBE STOCK, ZDJĘCIE WYGENEROWANE PRZEZ AI

Prokreacja czy robotyzacja



Piotr Włoczyk

Kolejne programy rządowe i sowite zachęty nie są w stanie przełamać „klątwy" polityki jednego dziecka. Przeżywające katastrofę demograficzną Chiny bardziej już liczą na AI i robotyzację niż na biologię

Władze lokalne wprowadzają swoje odpowiedniki „800+", rząd centralny przekonuje, że najszczęśliwsza rodzina to model „2 + 3", a w chińskich miastach, miasteczkach i wsiach przybywa plakatów, banerów, a nawet rzeźb promujących wielodzietność. Stopień determinacji rządu w Pekinie w kwestii planowania rodziny nie zmienia się, tylko kierunek jest inny. Do początku poprzedniej dekady ChRL jak oka w głowie strzegła niskiego przyrostu naturalnego, obawiając się, że zbyt duża populacja „przeje" owoce wzrostu gospodarczego. Od tego czasu „wajcha" została przestawiona w drugą stronę. Okazuje się jednak, że łatwiej zmusić chińskie kobiety do rodzenia tylko jednego dziecka niż zachęcić je do wielodzietności.

W zeszłym roku chińskie władze zanotowały niecałe 8 mln urodzeń, co oznacza aż 17 proc. (!) spadek rok do roku. Badacze szacują, że ostatni raz tak mało dzieci urodziło się w Chinach w połowie XX w., gdy kraj ten liczył ok. 500 mln ludzi (dziś Chińczyków jest ok. 1,4 mld).

– Pod względem kulturowym kilka dekad państwowej polityki planowania rodziny i antyreligijna edukacja zniszczyły tradycyjne wartości rodzinne, sprawiając, że wręcz pożądane przez pary stało się posiadania, o ile w ogóle, najwyżej jednego dziecka. Wyraźnie widać, że wśród młodych chińskich kobiet panuje coraz większa niechęć do dzieci – powiedział „Do Rzeczy" dr Yi Fuxian, chiński ekspert do spraw demografii pracujący w USA. Jego zdaniem „posiadanie dzieci nie jest jak woda z kranu, którą można dowolnie zakręcać i odkręcać".

Dzietność spada w ostatnich latach niemal na całym świecie, przede wszystkim w krajach rozwiniętych, ale Chiny to szczególny przypadek. Katastrofa demograficzna nad Jangcy została spowodowana umyślnie i jej efekty dają o sobie znać już od kilku dekad. A to oznacza, że chiński „cud" gospodarczy w obecnej formie, który możliwy był dzięki ciężkiej pracy setek milionów ludzi, staje pod wielkim znakiem zapytania. Według szacunków ekspertów do spraw demografii z ONZ liczba Chińczyków w wieku produkcyjnym spadnie z miliarda w tym roku do ok. 750 mln w 2050 r. W ciągu 25 lat z chińskiego rynku pracy zniknie więc ok. 250 mln pracowników.

„CIEMNE FABRYKI"

Wygląda jednak na to, że dramatycznie złe dane demograficzne nie spędzają już Xi Jinpingowi snu z powiek. Pekin uważa bowiem, że Sztuczna Inteligencja i przyspieszenie w dziedzinie robotyzacji zrównoważą brak dzieci. Ten kierunek został jasno wytyczony w najnowszym,

eprasa.pl 086c9af544

przyjętym w tym roku 15. planie pięcioletnim ChRL.

Latem tego roku „Financial Times" postanowił przyjrzeć się technologicznej odpowiedzi Pekinu na kryzys demograficzny. Efektem był raport pt. „Naród robotów: plan Chin na pokonanie demograficznego upadku". Dziennikarze tego brytyjskiego dziennika zobaczyli w praktyce, jak wyglądają „ciemne fabryki" (zakłady produkcyjne, gdzie na halach montażowych nie pracuje ani jeden człowiek. A skoro nie ma ludzi, tylko same roboty – nie potrzeba okien ani lamp), a także rozmawiali z czołowymi chińskimi przedsiębiorcami i naukowcami zajmującymi się robotyką oraz AI. Przeanalizowali również strategię władz ChRL, konsekwentnie zmierzających do automatyzacji w przemyśle, która ma fundamentalnie zmniejszyć zapotrzebowanie na (ludzkie) ręce do pracy.

„Pekin widzi w maszynach sterowanych przez AI wyjście z demograficznej pułapki. W zeszłym roku ten kraj wprowadził do użytku więcej robotów przemysłowych niż cała reszta świata razem wzięta; produkuje też najwięcej na świecie robotów humanoidalnych [przypominających wyglądem człowieka – przyp. P.W.] – czytamy w »Financial Times«". – Od liderów partii komunistycznej w Pekinie aż do właścicieli przedsiębiorstw w całych Chinach, widać konsensus, że to państwo musi wdrożyć »ucieleśnioną Sztuczną Inteligencję«, jak określa się roboty kontrolowane przez AI, do jak największej liczby zadań, i to najszybciej, jak się da".

Międzynarodowa Federacja Robotyki stwierdza, że plany Pekinu stawiają „robotyzację w centrum nowoczesnego systemu przemysłowego", a celem jest „przeniesienie badań nad AI w kierunku fizycznego zastosowania w robotach, które mają być głównym silnikiem wzrostu gospodarczego".

Ile miejsc pracy w chińskim sektorze wytwórczym może zniknąć z powodu automatyzacji i AI? W dającej się przewidzieć przyszłości może to być nawet ok. 70 proc. – wynika z analiz, które przedstawia CNN.

NAPRAWIAJ ROBOTY!

To, co w Europie czy w USA jest wciąż dość nieśmiało wdrażane w poszczególnych sektorach gospodarki – nasze społeczeństwa nie oswoiły się jeszcze z perspektywą wywrócenia rynku pracy do góry nogami – w Chinach jest już od kilku lat realizowane w zaplanowany sposób i do tego na masową skalę. Przykładem tego planowania na kilka lat do przodu może być strategia firmy JD.com, jednej z największych w Chinach platform zakupowych. Jej szef Richard Liu publicznie zapowiedział w czerwcu br., że firma szykuje swoich pracowników na wielką rewolucję technologiczną. – W przyszłości dostawy będą wykonywane przez roboty. Nie będzie zapotrzebowania na dostawców – powiedział Liu podczas 2026 APEC China CEO Forum. – Nie chcę jednak, żeby 700 tys. naszych pracowników zostało bez pracy i dochodu.

JD.com uruchomiła więc Plan Nirwana. Zakłada on współpracę ze 120 szkołami w całych Chinach, które mają nauczyć nowych umiejętności pracowników JD.com zagrożonych utratą pracy. Przede wszystkim chodzi o naprawianie… robotów. Sęk w tym, że trzyletni plan szkoleń ma objąć zaledwie 10 tys. pracowników. Co się stanie z resztą ludzi zatrudnianych dziś przez JD.com, którym roboty odbiorą w jakiejś perspektywie pracę (raczej krótszej niż dłuższej, zważywszy na postępy robotyzacji w Chinach)? I co się generalnie stanie z milionami Chińczyków, których stanowiska pracy znikną, jeżeli władzom w Pekinie uda się zrealizować ambitne plany?

To pytanie coraz częściej pada też na Zachodzie. Od kilku miesięcy Elon Musk popularyzuje nowy termin, który ma osłodzić Amerykanom niezbyt optymistyczną perspektywę świata, w którym popyt na ludzką pracę drastycznie spada. Musk mówi o „powszechnym wysokim dochodzie" (ang. universal high income), nawiązując do marzenia lewicowców na całym świecie – powszechnego dochodu podstawowego, czyli świadczenia socjalnego mającego w teorii likwidować nierówności społeczne na zasadzie „czy się stoi, czy się leży, 1500 się należy". Musk przekonuje, że rewolucja AI i robotyzacja tak niesamowicie zwiększą produktywność czołowych gospodarek (w tym konkretnym przypadku – amerykańskiej), że państwo będzie w stanie zapewnić każdemu obywatelowi gwarantowaną – i to wysoką – wypłatę. Ma to być niejako obywatelska „dywidenda" od owoców rewolucji AI.

Państwowe wypłaty dla obywateli, którzy inaczej nie są w stanie zarobić na życie? Model, o którym głośno mówi najbogatszy człowiek świata, to tak naprawdę scenariusz marzeń... komunistów.

Chińskie władze otwarcie jeszcze o tym nie mówią, ale jeżeli plany Pekinu w kwestii wdrażania AI i robotyzacji będą dalej realizowane z podobną konsekwencją, to „model Muska" ma szansę na światową „premierę" właśnie w Państwie Środka.

AI-ROMANSE

Z jednej strony chińskie władze stawiają na rewolucję technologiczną, która ma zniwelować gospodarcze skutki załamania demograficznego, ale z drugiej strony ograniczają jej zasięg w tych aspektach życia społecznego, który powinny się toczyć starym torem. Przede wszystkim chodzi o relacje… damsko-męskie. Jakkolwiek dziwnie to może brzmieć, to w mediach można znaleźć wiele historii młodych Chińczyków, którzy przestają randkować i zamiast tego pogrążają się w „relacjach" z chatbotem, co dodatkowo pogłębia problem zapaści demograficznej.

„The New York Times" opisał niedawno historię Phoebe Zhang, 21-letniej studentki psychologii z południowych Chin. Po ponad 200 nieudanych randkach z żywymi mężczyznami postanowiła ona poprzestać na „romantycznej relacji" z jednym z chińskich chatbotów, który został specjalnie zaprojektowany pod takim kątem. Jak twierdzi ta młoda kobieta, żaden mężczyzna nie rozumie jej potrzeb tak jak chatbot...

Sprawy zaczęły iść w tak dziwnym kierunku, że władze w Pekinie postanowiły interweniować i przedstawiły chińskim firmom rozwijającym AI nowe wymaganie: nie pozwalajcie, by użytkownicy traktowali wasze narzędzia jak partnerów. Młodzi, samotni Chińczycy, jak Phoebe Zhang, masowo zaczęli więc tracić swoje sztuczne „drugie połowy". AI i roboty mają napędzać chińską gospodarkę, ale Pekin wciąż najwyraźniej liczy, że od czasu do czasu urodzi się jakiś biologiczny Chińczyk.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 086c9af544



PROSTO ZYGZAKIEM

Mordercza tabela

PIOTR GABRYEL

Dość już epatowania zarobkami lekarzy milionerów, a stanowią oni – czyli lekarze zarabiający ponad 100 tys. zł miesięcznie, czyli ponad 1,2 mln zł rocznie – od aż podobno 5 proc. do aż podobno 10 proc. wszystkich lekarzy (czyli od 7 tys. do 14 tys.), bo mimo upływu już kilku miesięcy od wybuchu afery w Szpitalu Południowym do tej pory nie udało się ich wszystkich policzyć.

Tak więc dość już epatowania zarobkami lekarzy milionerów (nie mylić z tymi lekarzami, dla których pieniądze nie są aż tak ważne), z których „najdroższy" („najdroższy" dla nas, podatników pacjentów), jakiś radiolog skądś, podobno „wyciągnął" w ciągu jednego tylko roku aż 2,7 mln zł. Wszelako wciąż nie ma pewności, czy to na pewno on jest na szczycie listy najbogatszych lekarzy milionerów czy jednak inny „wyciągnął" (nam z kieszeni) jeszcze więcej.

A zatem dość o tym. Tym razem będzie o czymś zupełnie innym. Będzie o jednej tylko tabeli, w której publicyści „Rzeczpospolitej" zestawili – z jednej strony – wydatki ponoszone w kolejnych latach (od 2015 r. do 2024 r.) przez Polaków na szpitale i przychodnie (czyli w lwiej części na pensje zatrudnianych przez nie lekarzy i pielęgniarki) oraz – z drugiej strony – liczbę uzyskiwanych w zamian w tych samych latach przez podatników pacjentów od tych szpitali i przychodni (czyli od pracujących w nich lekarzy i pielęgniarek) świadczeń medycznych. No i wniosek z tego płynie gorzej niż niewesoły.

Najkrócej mówiąc – w 2015 r. za 80,3 mld zł, które zapłaciliśmy (my, podatnicy pacjenci) w podatkach do NFZ, otrzymaliśmy w zamian 243,6 tys. świadczeń medycznych. A w 2024 r. za 229,1 mld zł, które zapłaciliśmy (my, podatnicy pacjenci) w podatkach do NFZ, otrzymaliśmy w zamian 304,5 tys. świadczeń medycznych. Czyli nasz podatek na NFZ wzrósł o niemal 300 proc., a w zamian świadczeń medycznych otrzymaliśmy więcej o zaledwie ok. 25 proc. Toż to niebywałe, skandaliczne oszustwo w biały dzień, nawet po uwzględnieniu inflacji!

Czy jednak może być inaczej, skoro lekarze milionerzy, do jednego miliona złotych rocznie czy dwóch, „wyciąganych" ze szpitali i przychodni państwowych, chcą sobie dorobić kolejne bimbaliony złotych w szpitalach i przychodniach prywatnych (a ich właściciele nie są dla nich już aż tak hojni, jak pozbawiony właściciela NFZ, bez opamiętania szastający na prawo i lewo naszymi, podatników pacjentów, pieniędzmi)? Przecież muszą w państwowych szpitalach i przychodniach utrzymywać jak najdłuższe kolejki, żeby nie zabrakło im pacjentów klientów, z których zedrą dodatkowo w szpitalach i przychodniach prywatnych. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Centrum Walki z Wolnością Słowa

ŁUKASZ WARZECHA

Powołane właśnie Centrum Walki z Dezinformacją nie przechodziło żadnej procedury konsultacji, uzgodnień czy tym bardziej nie stało się przedmiotem debaty sejmowej. Nie musiało, jako że pan premier, tworząc je, skorzystał z aktu niskiej rangi, czyli z zarządzenia – podobnie zresztą jak w maju 2024 r., powołując komisję do spraw badania wpływów rosyjskich i białoruskich w latach 2004–2024.

Akt o usługach cyfrowych stworzy kategorię tzw. zaufanych podmiotów sygnalizujących

Na czele centrum stanął doświadczony towarzysz partyjny, Paweł Olszewski, wiceminister cyfryzacji. „Osobiście będę wskazywał palcem tych, którzy [...] tłumaczą z rosyjskiego na polski te narracje, które szkodzą Polakom i godzą w bezpieczeństwo państwa" – zagrzmiał pan Olszewski. Ciekawe, czy w ramach walki z dezinformacją będzie też piętnował tych, którzy upierają się przy twierdzeniu, że istnieją tylko dwie płcie. Twierdzeniu, które jako dezinformację zdemaskował już wiele miesięcy temu państwowy NASK, podlegający Ministerstwu Cyfryzacji. No ale wiadomo – tylko pomagierzy Putina mogą twierdzić coś tak niedorzecznego jak to, że istnieją jedynie kobiety i mężczyźni.

Centrum, obawiam się, nie istnieje jednak tylko dla zabawy. Niestety, mniej więcej w tym samym czasie pan prezydent z powodów całkowicie niepojętych podpisał ustawę implementującą do polskiego prawa postanowienia Aktu o usługach cyfrowych. Co prawda, z wyłączeniem najbardziej skrajnych przepisów, dotyczących blokowania stron decyzją administracyjną (wyjęto je do odrębnej ustawy), ale przecież ustawa stworzy kategorię tzw. zaufanych podmiotów sygnalizujących, które będą mieć specjalne uprawnienia we wskazywaniu treści sprzecznych m.in. z Kartą Praw Podstawowych UE, pełną politycznie poprawnych norm. A wszystko to dzieje się w atmosferze wojennej histerii i przy pierwszych wzmiankach ze strony władzy, że być może wybory nie będą możliwe z powodu zagrożenia państwa.

Ktoś powie, że przesadzam. Oby była to przesada. Jednak w kwestii wolności słowa oraz wolności politycznych lepiej przesadzić z obawami, niż obudzić się w kagańcu. ©℗

eprasa.pl 086c9af544

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 086c9af544

Złoty blask polskiej siatkówki



Tomasz Zbigniew Zapert

Biało-Czerwoni w wielkim stylu obronili mistrzostwo Europy w piłce siatkowej. To ich trzecie zwycięstwo w tych prestiżowych zawodach. Wkrótce po wygranym finale gratulacje w mediach społecznościowych złożył im prezydent Karol Nawrocki



Trener Nikola Grbić i czołowy zawodnik reprezentacji Polski Wilfredo León, finał mistrzostw Europy Polska – Francja, 26 września 2026 r. FOT. DAREK DELMANOWICZ/PAP

Reprezentacja Polski zakończyła występy w 2026 r., realizując obydwa ambitne cele. Przed dwoma miesiącami – po raz drugi z rzędu! – okazała się bezkonkurencyjna w rozgrywkach Ligi Narodów, a teraz obroniła prymat na Starym Kontynencie. W finale pokonaliśmy Francuzów 3:1. Spektakularny triumf zagwarantował naszym siatkarzom uczestnictwo w letnich igrzyskach olimpijskich, które za dwa lata odbędą się w Los Angeles.

REWANŻ ZA IGRZYSKA

Decydujące starcie rozegrane na parkiecie w Assago – mieście położonym w Lombardii, nieopodal Mediolanu – podwładni Nikoli Grbicia wygrali przekonująco. Jedynie pierwszy set był ogromnie zacięty i wyrównany. Koronnym dowodem niecodzienny rezultat – 31:29. Czy końcówka partii miała decydujący wpływ na dalszy przebieg spotkania? Francuzi byli pewni, że rozstrzygnęli seta na swoją korzyść, lecz challenge anulował decydujący punkt z powodu kontaktu ich reprezentanta z siatką. Niewątpliwie ta sytuacja wyraźnie wybiła Trójkolorowych z uderzenia. Zdołali wspiąć się na wyżyny dopiero w trzeciej odsłonie, ale nie wystarczyło to do odwrócenia losów konfrontacji, ponieważ w partiach o numerach 2 i 4 zdecydowanie brylowali Polacy. Tym samym udał się nam rewanż za przegrany finał olimpiady paryskiej dwa lata temu.

Poprzeczka wisiała dla mistrzów olimpijskich zbyt wysoko. Na polskich siatkarzy od wielu miesięcy nie ma mocnych – podsumowały finałowe starcie

eprasa.pl 086c9af544

ME światowe media, akcentując nie lada osiągnięcie selekcjonera Polaków. Otóż Serb, niegdyś wybitny gracz, złoty medalista olimpijski z Sydney (2002 r.), trenujący polską kadrę mężczyzn od czterech sezonów, prowadził ją w tym czasie w 10 znaczących turniejach, każdorazowo powracając z tarczą (czytaj: medalami)! W kolekcji brak jednak mistrzostwa globu (za 12 miesięcy nadarzy się szansa, aby zdobyć je w krajowej scenografii) oraz olimpijskiego złota, więc motywacji szkoleniowcowi w najbliższym okresie z pewnością brakować nie będzie. Pięćdziesięciotrzylatek został oczywiście ogłoszony najlepszym trenerem zawodów, rozgrywanych na terytorium czterech krajów (Bułgaria, Rumunia, Finlandia oraz Włochy) w siedmiu miastach (Neapol, Turyn, Modena, Assago, Sofia, Kluż, Tampere). Co z racji podziału niebagatelnych kosztów organizacyjnych, jak też rozwoju możliwości komunikacyjno-transportowych, zaczyna zresztą stanowić normę największych zespołowych imprez sportowych w Europie.

MEDALOWE RETROSPEKCJE

Mistrzostwa Europy także tym razem stanowiły doskonałą okazję do prezentacji nowej piłki siatkarskiej. Monopolista w tej dziedzinie, renomowana firma Mikasa, przedstawiał jej dwie wersje. Z elementami barwy czerwonej oraz niebieskiej, nawiązującymi do kolorów obecnych na sztandarach narodowych gospodarzy czempionatu. Mówiąc żartem, obydwie nie przeszkadzały Polakom na parkietach.

Przypomnijmy: Biało-Czerwoni łącznie 12 razy stawali na podium zmagań o dominację Starego Kontynentu. Tytuły wywalczyli w roku 2009 i przed trzema laty. Ponadto pięciokrotnie wracali ze srebrem (1975, 1977, 1979, 1981 i 1983), a cztery razy z brązem (2011, 2019, 2021).

Mamy również w dorobku trzy mistrzostwa świata: 1974 – Meksyk, cztery dekady później w Polsce oraz w roku 2018 (Bułgaria). Do tego dochodzi oczywiście olśniewający triumf olimpijski sprzed półwiecza w Montrealu, gdzie wybrańcy niezapomnianego trenera Huberta Jerzego Wagnera pokonali w finale – stojącym na niebotycznym poziomie – ZSRS 3:2. Mimo nocnej pory (wynikającej z różnicy czasu) bezpośrednią transmisję telewizyjną z Kanady – ozdobioną nader emocjonalnym komentarzem redaktora Wojciecha Zielińskiego – śledziła pomiędzy Bałtykiem a Tatrami rekordowa rzesza kibiców. Czy w końcu uda się naszym siatkarzom powtórzyć ten wyczyn?

Skład reprezentacji Polski na mistrzostwa Europy

- **Rozgrywający:** Jan Firlej, Marcin Komenda
- **Przyjmujący:** Tomasz Fornal, Wilfredo León, Kamil Semeniuk, Artur Szalpuk, Aleksander Śliwka
- **Atakujący:** Bartłomiej Bołądź, Kewin Sasak
- **Środkowi:** Szymon Jakubiszak, Bartłomiej Lemański, Jakub Nowak
- **Libero:** Maksymilian Granieczny, Jakub Popiwczak

W SETACH 26:4

Do europejskiej wygranej wiodła ich długa droga, licząca dziewięć spotkań rozegranych w ciągu dwóch tygodni. We współzawodnictwie grupowym szło nam jak z płatka. O tym dobitnie przekonuje brak straty seta w potyczkach z kolejno: Portugalią, Izraelem, Macedonią Północną i Ukrainą. Dopiero w ostatnim pojedynku tej fazy turnieju, pozbawionym znaczenia dla układu tabeli, nie sprostaliśmy, trzeba przyznać, po zażartej walce, Bułgarii (2:3). Zimny prysznic najwyraźniej otrzeźwił nasz team i na etapie pucharowym po 3:0 ograliśmy Łotyszów, Niemców oraz Słoweńców. Zdaniem fachowców w kluczowej batalii powinniśmy rywalizować z Italią. Tyle że papierowe przewidywania nie po raz pierwszy okazały się mieć wartość makulatury. W ćwierćfinale Włosi nieoczekiwanie, chociaż zasłużenie, doznali porażki z Finami. Cóż, sport pozbawiony niespodzianek jest niczym plaża bez słońca. Finlandię, niemającą ani siatkarskich tradycji, ani tym bardziej wyników, słusznie okrzyknięto czarnym koniem 34. ME. W nagrodę za dzielność, determinację i hart ducha wkroczyła na najniższy stopień podium. Czas pokaże, czy byliśmy świadkami narodzin nowej potęgi w tej dyscyplinie.

Jak szalenie popularna jest ona nad Wisłą świadczą tłumy kibiców witających złotych medalistów ME na lotnisku Okęcie.

– Jesteśmy z nich niezwykle dumni i wzruszeni, że tak wspaniale grają – przyznawali zgodnie fani, którzy powitali sportowców gromkim odśpiewaniem „Sto lat". Gracze ochoczo rozdawali autografy i chętnie pozowali do fotografii. Rzecz jasna, szczególnie rozchwytywany był Wilfredo León, najbardziej wartościowy siatkarz zawodów, notabene powtórzył swoje osiągnięcie sprzed trzech lat. Wcześniej podobne wyróżnienie w ME otrzymał Piotr Gruszka, a w MŚ: Stanisław Gościniak, Mariusz Wlazły oraz Bartosz Kurek. Kubańczyk naturalizowany w Polsce zmagał się ostatnio z urazami, ale pokazał charakter, wolę walki, o niepospolitych umiejętnościach nie wspominając.

– Dziękuję swojej żonie, Małgorzacie [...]. Wiem, jak ciężkie jest to dla niej w domu: czwórka dzieci, dwa koty, jeden pies, ale dała radę [...]. Kochanie, ten medal jest dla Ciebie! Widziałaś, w jakiej formie byłem, ile walczyłem. Ty wiesz doskonale, że robię to wszystko dla tego kraju, który tutaj mam – mówił po finale. Być może po celebracji sukcesu wygospodaruje chwilę odpoczynku. Zapewne najchętniej nad jakimś akwenem, ponieważ jest zapalonym wędkarzem.

Jedno nie ulega wątpliwości: gwiazdy sportu drużynowego w III Rzeczypospolitej ciągle najjaskrawiej świecą w męskiej siatkówce. I oby nigdy nie zgasły.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

ME siatkarzy 2026 – nagrody indywidualne:

- **MVP:** Wilfredo León (Polska)
- **najlepszy rozgrywający:** Antoine Brizard (Francja)
- **najlepsi przyjmujący:** Wilfredo León (Polska), Nooa Marttila (Finlandia)
- **najlepszy atakujący:** Théo Faure (Francja)
- **najlepsi środkowi:** Bartłomiej Lemański (Polska), Szymon Jakubiszak (Polska)
- **najlepszy libero:** Jakub Popiwczak (Polska)

eprasa.pl 086c9af544



JACEK KOMUDA

POCZET POLSKICH WODZÓW

Pogromca Gdańszczan

Jan Zborowski, syn Marcina, kasztelana krakowskiego, był bratem Krzysztofa i Samuela, którzy zapisali się jako wichrzyciele i awanturnicy. Ten ostatni dał gardło pod mieczem mistrza w Krakowie, zamieszany w próbę zamachu na króla Stefana Batorego.

Jednak wspomniany Jan, urodzony w 1538 r., zapisał się w historii o wiele lepiej. Wykształcony i obyty w świecie w latach 1559–1561 odbył podróże zagraniczne do Niemiec i Florencji, był także dworzaninem króla Zygmunta Augusta i księcia na Prusach, Albrechta Hohenzollerna. Po powrocie do Korony Polskiej rozpoczął karierę wojskową, biorąc udział w walkach z Moskwą. W 1570 r. został rotmistrzem, a dwa lata później – hetmanem nadwornym.

Po śmierci Zygmunta Augusta poparł kandydaturę Henryka Walezego. I to właśnie on podczas spotkania z przyszłym królem, gdy ten nie chciał zaprzysiąc paktów gwarantujących podstawowe wolności w Rzeczypospolitej, wypowiedział sławne zdanie: „Si non iurabis, non regnabis" („Jeśli nie zaprzysięgniesz, to nie będziesz panował").



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Mało kto jednak wie, że Zborowski był także znanym dowódcą, jednym z pierwszych, który wykorzystał w bitwie zreformowaną przez króla Batorego husarię. Stało się to w 1577 r. nad Jeziorem Lubiszewskim, pod Tczewem, gdzie pokonał armię zbuntowanych Gdańszczan pod wodzą Hansa Winkelbrucha. Dziś miejsce, gdzie toczyła się bitwa, znajduje się między Rokitkami a Lubiszewem Tczewskim, koło Stawów Rokickich.

Ponieważ po ucieczce Walezego ród Zborowskich popierał kandydaturę Stefana Batorego, nowy władca nagrodził Jana godnością kasztelana gnieźnieńskiego i uczynił go hetmanem nadwornym, gdyż wówczas nie był to jeszcze urząd dożywotni. Na czele niewielkich sił zwerbowanych przez króla Jan Zborowski stanął do walki z Gdańskiem, który nie chciał uznać nowego władcy. 17 kwietnia stoczył wspomnianą bitwę nad Jeziorem Lubiszewskim, która zasłynęła z pierwszej w historii szarży husarii, wykorzystanej jako formacja zreformowana przez króla, a nie jako jazda lekka raców.

Jednak wbrew temu, co można by sądzić, husaria wcale nie zwyciężyła łatwo, a bitwa pełna była forteli i zasadzek. Zborowski dokonał także wielu ciekawych improwizacji. Jak podaje Radosław Sikora, widząc, że harcownicy z husarii nie mogą zaatakować piechoty pospolitego ruszenia z Gdańska, osłoniętej „płotem z dylów", Zborowski kazał wsadzić na konie kilkudziesięciu hajduków z rusznicami, którzy podjeżdżali do tych umocnień i strzelali do wroga, zabijając kilku Gdańszczan i sprawiając, że stracili oni ochotę do działań zaczepnych. W tym czasie główne siły złożone z najemników próbowały przejść przez przeprawę koło Jeziora Lubiszewskiego. Zborowski ściągnął tu większość wojska i wydał bitwę, ustawiając na lewym skrzydle jazdę, a na prawym piechotę węgierską hajduków.

Tutaj właśnie miała miejsce owa pierwsza szarża chorągwi husarskich i petyhorskich z lewego skrzydła, która… nie przełamała szeregów wrogiej rajtarii. Dopiero kiedy atakujący na prawym skrzydle hajducy pobili lancknechtów, przechodząc pod opuszczonymi pikami piechoty, i zdobyli działa, husaria szarżowała po raz drugi, tym razem bijąc przeciwnika. Co więcej, rozbiła ona nie tylko rajtarię, lecz także piechotę niemiecką osłaniającą się pikami.

Zastosowano polowe umocnienia przeciwko jeździe, a Zborowski stworzył pierwowzór dragonii – hajduków na koniach, którzy rozbili szyk pikiniersko-arkebuzerski, przechodząc pod pikami piechoty zaciężnej. Postawa hetmana była wzorowa. Kiedy w szarży, jak pisał Bartosz Paprocki, „zabit Sobocki z rusznicy, Brańskiemu konia postrzelono tureckiego, wilczatego i sam w udo postrzelon. Obrócił się do pana hetmana, prosząc, aby go nie opuszczał w potrzebie jego; który mu zaraz kazał wałach swój gliniasty dać powodny, mówiąc: »Mścij się krzywdy swej, możeszli«. Czemu dosyć czynił, bo Niemce w pogoni mężnie gromił". Hetman oddał zatem jednemu z towarzyszy własnego konia, by mógł dalej walczyć.

Bitwa niestety nie została wykorzystana, gdyż Zborowski nie miał dość sił, aby od razu rozpocząć oblężenie Gdańska. W późniejszych latach uczestniczył we wszystkich wyprawach Batorego na Moskwę, oblężeniu Pskowa i starciu pod Toropcem. Mimo że jego młodszy brat Samuel zapłacił gardłem za spisek przeciwko Batoremu, a Krzysztof został skazany na banicję, Jan pozostał wierny królowi. Do końca życia (zmarł w 1603 r.) pozostawał zapiekłym luteraninem, wrogiem zgody sandomierskiej, czyli porozumienia pomiędzy różnymi wyznaniami ewangelickimi. W 1577 r. pod Tczewem to zatem ewangelik prowadził do walki armię składającą się w większości z katolików, przeciwko protestanckim wojskom Gdańska. Trudno o lepsze świadectwo tolerancji wyznaniowej w Rzeczypospolitej. ©℗

eprasa.pl 086c9af544

KIA K4 GT-LINE



FOT. JAP

To propozycja dla tych, którzy szukają samochodu rodzinnego, ale znudziły im się już wszechobecne SUV-y. Futurystycznie wyglądająca Kia K4 jest następczynią Ceeda, który po niemal dwóch dekadach przestał już być produkowany. I chociaż lubiłem poprzedni model, to muszę przyznać, że K4 jest samochodem ładniej zaprojektowanym, większym (projektanci wydłużyli ją o 12 cm do 4440 mm, poszerzyli o 5 cm do 1850 mm i zwiększyli rozstaw osi o 7 cm) oraz praktyczniejszym od takich modeli jak dawny Ceed czy obecny VW Golf.

Wnętrze jest wyjątkowo przestronne oraz schludnie wykończone (jest sporo twardego plastiku, ale w najważniejszych miejscach w kabinie jest miękko i przytulnie). Miejsca jest mnóstwo nie tylko z przodu, lecz także na tylnej kanapie. Na szczęście inżynierowie odpowiedzialni za nowy model nie poszli śladem chińskich konkurentów i nie wrzucili sterowania wszystkimi funkcjami do systemu multimedialnego. Jest sporo przycisków sprawiających, że np. sterowanie klimatyzacją jest szybkie i bezpieczne. Sam ekran ma przekątną 12,3 cala. System działa sprawnie i intuicyjnie, choć jakość obrazu kamery cofania w roku 2026 mogłaby być lepsza. W wersji GT-Line do dyspozycji mamy również indukcyjną ładowarkę, dwustrefową klimatyzację, podgrzewane i wentylowane przednie fotele, podgrzewane skrajne tylne siedzenia, system nagłośnienia Harman Kardon oraz sporo dużych schowków. Otwory drzwiowe są w K4 ogromne, co ułatwia szybki „montaż" dzieci w fotelikach. Zaletą jest też stosunkowo duży bagażnik, który w K4 ma 438 l pojemności (40 l więcej niż w Ceed i niemal 60 l więcej niż w Golfie).

K4 jest również od Ceeda nieznacznie niższa (co ma swoje plusy i minusy). Dobrze wyciszonym autem jeździ się komfortowo i pewnie. Elektroniczni asystenci przeważnie rzeczywiście poprawiają bezpieczeństwo, zamiast niepotrzebnie rozpraszać kierowcę. Z kolei układ kierowniczy jest precyzyjny i daje sporo informacji zwrotnych, dzięki czemu nową kijankę naprawdę przyjemnie się prowadzi.

Autem można na trasie dynamicznie wyprzedzać. Nie jest to jednak model dla miłośników wielkich sportowych emocji. Nawet w wersji GT-Line automatyczną skrzynię biegów można złapać na irytującym ociąganiu się np. przy próbie dynamicznego sprintu lub sporadycznych szarpnięciach. K4 z najmocniejszym silnikiem 1.6 T-GDI o mocy 180 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 265 Nm od zera do setki przyspiesza w 8,4 s. Prędkość maksymalna to 210 km/h. A co ze spalaniem? W mieście to ok. 10 l/100 km. Na trasie można zejść do 5,2 l/100 km. Podczas naszego testu w cyklu mieszanym średnia wyniosła 8,1 l/100 km.

Najtańsza Kia K4 w wersji pięciodrzwiowej z silnikiem 1.0 T-GDI (z manualną skrzynią) kosztuje 104,5 tys. zł. W aktualnej promocji na najmocniejszy wariant 1.6 T-GDI o mocy 180 KM ze skrzynią 7 DCT trzeba wydać 130,5 tys. zł (w wersji pięciodrzwiowej) i 138,9 tys. zł w wersji kombi.

SŁUCHAWKI
BEYERDYNAMIC AVENTHO Y



Ciekawe wzornictwo, aktywna redukcja szumów, mocny dźwięk, obsługa trybu Multipoint, nawet 90 godzin pracy na jednym ładowaniu oraz bardzo dobry stosunek ceny do jakości – to największe zalety nowych bezprzewodowych słuchawek wokółusznych renomowanego niemieckiego producenta.

Ten model słuchawek ze średniej półki cenowej swą premierę miał na wrześniowych targach IFA w Berlinie. To bezpośredni rywal modeli takich marek jak JBL, Sony czy Soundcore. Są bardzo wygodne, a jednocześnie o wiele solidniej wykonane niż np. Sennheiser Accentum. Miękkie pady, komfortowe nawet podczas wielogodzinnych sesji, połączone są z mocnym pałąkiem za pomocą aluminiowych elementów i stalowych zawiasów. O tym, że słuchawki te projektowano w taki sposób, aby mogły służyć przez lata, świadczy także modułowa konstrukcja. W słuchawkach można łatwo wymienić nie tylko zużyte poduszki, lecz także akumulator.

A skoro już jesteśmy przy baterii, to ma ona 650 mAh pojemności, co pozwala nawet na 90 godzin pracy na jednym ładowaniu bez włączonego aktywnego tłumienia szumów (ANC) lub ok. 60 godzin z włączonym ANC. Samo ładowanie jest bardzo szybkie. W ciągu zaledwie pięciu minut można dodać energii potrzebnej na sześć godzin pracy, a naładowanie słuchawek od zera do 100 proc. zajmuje niecałą godzinę.

Sercem zamkniętej konstrukcji wokółusznej są 45-milimetrowe przetworniki dynamiczne. Deklarowane pasmo przenoszenia wynosi od 20 do 20 000 Hz. Brzmienie jest dość ciepłe, z dużą liczbą detali, czystym i mocnym wokalem oraz dynamicznym, pomrukującym basem. Warto w bezpłatnej aplikacji dostosować brzmienie do indywidualnych preferencji.

Wygodny jest też system sterowania: zamiast paneli dotykowych zastosowano dobre, sprawdzone przyciski, które umieszczono na obu nausznikach. Na pochwałę zasługuje też łączność Bluetooth 6.0 z obsługą trybu Multipoint (umożliwiającego płynne przełączanie się między dwoma sparowanymi wcześniej urządzeniami).

Minusy? Szkoda, że obsługiwane są tylko podstawowe kodeki, czyli SBC i AAC. Scena dźwiękowa mogłaby być szersza, a wbudowany mikrofon istotnie lepszy (co poprawiłoby przeciętną jakość rozmów telefonicznych).

Słuchawki są dostępne w czterech kolorach (czarnym, zielonym, niebieskim oraz brzoskwiniowym). Cena: 649 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 086c9af544



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Dieta na jesień

Trzeba to jednak napisać – przyszła jesień. Pora malownicza, lecz wymagająca. Wymagająca zmian w garderobie i jadłospisie. Nie można już „opędzić" dnia na sałatce i kawie albo na bułce zjedzonej w biegu. Niższe temperatury wymagają przygotowania posiłków z rozmysłem, zaplanowania ich i uwzględnienia tego, co dzieje się za oknem. A zatem na stół wkraczają potrawy duszone, gotowane, pieczone – mięsa i ryby. Lecza warzywne, gulasze mięsne, bigosy, gołąbki, zapiekanki. Oczywiście i zupy, które ratują nas przed wychłodzeniem. Aby jednak nie odczuwać senności i spadku formy – nie jedzmy za dużo klusek, makaronów i innych węglowodanów, zwłaszcza że zazwyczaj nasza aktywność fizyczna trochę się zmniejsza. A przecież chcemy być sprawni, szczupli i zdrowi, prawda? Niektórzy próbują o tej porze roku diety keto – nie jest to złe rozwiązanie, bo to dieta wysokoenergetyczna. Na pewno trzeba częściej jadać kiszonki, aby wzmacniać odporność. Jesienna kuchnia powinna być kolorowa – świeże warzywa aż się o to proszą – ciepła, sycąca i sezonowa. A teraz przecież jest czas na aronię. Jak twierdzi Mikołaj Rey – miłośnik polskiej kuchni i naturalnych smaków – doskonale komponuje się ona z kurczakiem. U niego podpatrzyłyśmy przepis na kurczaka pieczonego z burakiem i sosem z aronii.

FOT. ADOBE STOCK



Kurczak z aronią

• 4 filety z piersi z kurczaka • 1 łyżka oliwy • 1 łyżeczka suszonego tymianku • ząbek czosnku • sól • pieprz • 2 średnie buraki • 2 marchewki • 1 cebula • majeranek • oliwa

Sos aroniowy: • 150 g aronii świeżej lub mrożonej • 100 ml wody • jedno małe jabłko • 1 średnia szalotka • 3 łyżki miodu akacjowego • 1 łyżeczka octu jabłkowego • cynamon • pieprz

Pierś z kurczaka nacieramy ziołami i roztartym czosnkiem, smażymy na rozgrzanej patelni po 2–3 min z każdej strony, następnie przekładamy mięso do piekarnika i pieczemy, aż będzie miękkie także w środku.

Buraki, marchew i cebulę kroimy na kawałeczki podobnej wielkości, mieszamy z oliwą i majerankiem, układamy na papierze do pieczenia i pieczemy w temperaturze 190 st. C przez ok. 40 min, aż warzywa będą miękkie i lekko skarmelizowane.

Aronię zagotowujemy w rondlu z wodą oraz pokrojonym jabłkiem i szalotką, gotujemy na małym ogniu ok. 10 min, dodajemy miód, ocet i cynamon. Blendujemy na gładką masę.

Kurczaka kroimy w plastry, układamy na warzywach, polewamy sosem aroniowym – możemy podawać z kaszą gryczaną. Smacznego! ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Chiński łącznik

Gdy my bierzemy się za łby w sprawie „Lalki", Chińczycy spokojnie oglądają sobie w telefonach miniserialiki.

Wiem to, ponieważ właśnie obejrzałam dokument brytyjskiego podróżnika Bena Fogle'a, który wybrał się do Chin. Ponieważ i ja wkrótce się tam wybieram (sprawy rodzinne), wszelką informację o tym kraju traktuję jako kurs przygotowawczy.

Chiński mur, chińska opera, porcelana, nowe technologie – to mniej więcej znamy. Ale jak się żyje w Chinach, mało kto wie, chyba że oglądał współczesne chińskie filmy. Ja również wiem o tym niewiele, chociaż będę tam trzeci raz. Widziałam Zakazane Miasto, płynęłam rzeką Jangcy, ale nigdy nie byłam w chińskim mieszkaniu. To niełatwe, kiedy jest się zwykłym turystą.

Z pierwszej wizyty w Chinach w roku 1989 zapamiętałam biedę, wszechobecną inwigilację (było tuż po masakrze na Placu Tiananmen), na ulicach milion rowerów i kilkanaście samochodów. Gdy byliśmy tam trzy lata temu, samochodów było milion...

Teraz jesteśmy w roku 2026. Nie ma ciemnawych mieszkań w blokach ani pieniędzy dla turystów zagranicznych do kupowania w ichnim Peweksie. Wokół drapacze chmur, rozjarzone city, ulice najeżone kamerami.

W swoim reportażu Ben Fogle chce jednak pokazać coś więcej niż rutynowe atrakcje turystyczne. Zabiera nas do studia filmowego w Hengdian. To duma Chińczyków, jest ponoć większe od Hollywood. Chińczycy sami raczej nieduzi, ale we wszystkim lubią być najwięksi.

W tych studiach kręci się m.in. pewną nieznaną w Europie osobliwość. To tzw. pionowe seriale, oglądane przez setki milionów osób. Pionowe – bo przeznaczone do oglądania na komórce – bez pejzaży, scen zbiorowych, akcja jest kameralna. Codziennie widz otrzymuje jeden odcinek, który trwa dwie, trzy minuty. Mowa jest głównie o problemach uczuciowych. On kocha ją, ona jego nie, w tle pieniądze i ten trzeci... Wszystko dzieje się w realiach współczesnych Chin. Małe mieszkanie, dużo elektroniki, główny mebel to kanapa. Kto widział „M jak miłość", wie, że bez kanapy nie ma serialu.

Intryga tych serialików jest nieskomplikowana, ma być zrozumiała, oglądana nawet na tym kawałeczku ekranu. Na końcu każdego odcinka suspens; widz zostawiony jest w napięciu, bo żądny rozwiązania musi jutro zameldować się przed ekranem. Żadnej polityki, żadnej krytyki władzy, cenzura by zaraz to usunęła.

Jak podaje ChatGPT, w maju 2026 r. z seriali krótkometrażowych korzystało 851 mln użytkowników. W 2025 r. chińskie kanały telewizji satelitarnej wyemitowały 124 takie produkcje.

To daje niezły obraz wielkości tego wciąż tajemniczego kraju. ©℗

eprasa.pl 086c9af544



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Ideologia mąci umysł

Cała Italia zatrzęsła się z oburzenia, gdy media poinformowały, że w rzymskiej szkole 13-latek zaatakował sprayem pieprzowym, dwoma nożami i pięściami 66-letnią nauczycielkę, Isabellę Marsilio. Kto wie, czy skończyłoby się jedynie na stosunkowo lekkich obrażeniach, gdyby napastnika nie zneutralizował kolega z klasy, pochodzący z Konga. Agresor chciał się w ten sposób zemścić za to, że za sprawą nauczycielki musiał zdawać dwie poprawki.

Co więcej, przebieg dramatycznych wydarzeń – od wyjęcia z futerału w szkolnej toalecie dwóch długich noży zakupionych w Internecie – rejestrował telefonem komórkowym i transmitował grupie dewiantów, amatorów chorych, krwawych emocji. To zresztą trzeci podobny wypadek ataku rozbestwionych uczniów na nauczycieli w tym roku. Chłopak, którego matka jest również pedagogiem, świetnie zdaje sobie sprawę, że nie poniesie żadnych poważnych konsekwencji, bo we Włoszech odpowiedzialność karna obowiązuje od 14. roku życia. Nauczycielka złożyła oświadczenie, w którym poinformowała, że wybaczyła napastnikowi i chciałaby go przytulić.

Naturalnie wszyscy, w tym ludzie z włoskiego świecznika, solidaryzowali się z poszkodowaną nauczycielką, przekazując słowa współczucia i wsparcia. Jak zwykle w takich sytuacjach dziennikarze szukali w Internecie wszelkich informacji o pani Marsilio. Ktoś dokopał się do jej wpisów w mediach społecznościowych, w których przypominała, że właśnie przypadają urodziny „Jego Ekscelencji Benita Mussoliniego", wyrażała poparcie dla idei „reemigracji", czyli wysyłania nielegalnych migrantów do domu, a także refleksję: „Jak piękna była Italia bez migrantów, a jak ohydna jest teraz".

Postępowcy doznali szoku i pomieszania zmysłów. Naturalnie lewicowa internetowa tłuszcza natychmiast zmieniła zdanie i uznała, że biorąc pod uwagę poglądy nauczycielki, to właściwie uczeń nożownik miał rację i w sumie dobrze się stało. Europosłanka Ilaria Salis i Laura Boldrini, była przewodnicząca Izby Deputowanych, zażądały, by pani Marsilio, jako wyznawczyni faszystowskich poglądów, otrzymała zakaz wykonywania zawodu.

Naturalnie trudno podzielać sympatię Marsilio do dyktatora Mussoliniego. Ale jeśli chodzi o migrantów, to z nauczycielką zgadza się 73 proc. ankietowanych Włochów. Włoscy postępowcy do dziś nie potrafią zrozumieć, że nie można karać za poglądy, i sądzą, że jedyne dopuszczalne są ich własne. Co więcej, pani Marsilio ma za sobą 40 lat nienagannej pracy pedagogicznej i nigdy nie wyrażała w niej swoich przekonań. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Kościół przemilczenia

Poszedłem jak zwykle w niedzielę na Mszę. Okazało się, że to niedziela, gdy obchodzi się Światowy Dzień Migranta i Uchodźcy. W części z wezwaniami dla wiernych modliliśmy się za migrantów i uchodźców. Ku mojemu zaskoczeniu w tygodniu śmierci zasztyletowanego w Jarosławiu kapłana ksiądz w kościele nie wezwał do modlitwy za jego duszę. Trochę to mną wstrząsnęło i napiszę zaraz dlaczego.

Mamy kolejną fazę zapadania się polskiego kościoła. Nawet za komuny można się było modlić za zamordowanego ks. Jerzego Popiełuszkę. Do głowy człowiekowi by nie przyszło, żeby wtedy Kościół „zapomniał" o tej zbrodni. A dzisiaj – owszem. Powód jest zarówno prosty, jak i potworny. Kościół wziął na siebie rolę gaszącego możliwe pożary zemsty, odwetu i nienawiści. Największy przekaz, który popłynął z ambon, to wezwanie do zaniechania rewanżu. Nawet nie największy – jedyny. Skąd to się bierze?

Kościół nam świecczeje. Zajmuje się życiem coraz bardziej doczesnym, bierze na swoje barki wyzwania codzienności, co to o niej wiemy, że zmienna jest. W ten sposób „zużywa się", angażuje się w bieżące reakcje na rzeczy go niedotyczące, a odpuszcza swoją misję – szerzenie wiary w swych prawdach, przekazanych przez posłannictwo Jezusa. Zamiast tego grzęźnie w doczesnościach chętnie podrzucanych przez, coraz bardziej nas otaczającą, rzeczywistość. Tak jest i tutaj – w obawie przed wybuchem nienawiści wobec Ukraińców zaszedł tak daleko, że nie wspomina się nawet księdza, który zginął w świątyni. Czy zginął za to, że jest Polakiem, czy dlatego, że jest księdzem, czy dlatego, że coś się uroiło mordercy – nie dowiemy się nigdy, gdyż sprawca skutecznie wskoczył w nurty problemów psychicznych, z których rzadko wyciąga się przestępców na brzeg sprawiedliwości.

Ale to żałobne milczenie jest znamienne – wskazuje na współsprawstwo w tuszowaniu potencjału protestu. A ta strategia nie tylko jest zbieżna z państwową, lecz także – tak jak ona – zakłada, że wśród Polaków są duże pokłady rewanżyzmu i wystarczy tylko jakaś iskra, a zapłoną gotowe prochy. Ja jednak mam lepsze mniemanie o Polakach – nie wydaje mi się, żeby z tego powodu zaczęto wyłapywać Ukraińców o podobnych zamiarach, jakie miał ten z Jarosławia. Dziwię się, że hierarchowie mają swych wiernych za takich raptusów. A może – od dawna – polski Kościół hierarchiczny żyje własnymi demonami wyobrażeń o Polakach? Tak jak coraz częściej politycy. Te dwie sfery – gasnące sacrum i rozhulane profanum – zbliżają się do siebie. A właściwie jest to ruch w jedną stronę – ku profanum. ©℗

eprasa.pl 086c9af544

SPODE ŁBA

Sielanka w cieniu „Fort Trump”



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Bardzo interesujące pytanie zadano merowi Kijowa Witalijowi Kliczce. Szwajcarska dziennikarka spytała, dlaczego dwóch jego dorosłych synów mieszka bezpiecznie i komfortowo w USA, podczas gdy zwykli obywatele Ukrainy chwytani są na ulicach i wysyłani na front. Jeszcze w 2024 r. wojowniczy Kliczko zapewniał, że jego potomkowie ani myślą uchylać się przed wojaczką i zgłoszą się do wojska zaraz po zakończeniu nauki. Po dwóch latach namysłu rodzina zmieniła zdanie. – Moje dzieci nigdy nie mieszkały na Ukrainie. Urodziły się w Stanach Zjednoczonych i studiowały albo w Ameryce, albo w Europie – wyjaśnił mer Kijowa. Podobnym zapałem do zamorskiej nauki wykazują się pełnoletni synowie mera Lwowa Andrija Sadowego. Chociaż wiek poborowy osiągnęło już czterech z nich, żaden do wojska nie trafił.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Perspektywa służby wojskowej, tak odległa dla „złotej młodzieży” z Ukrainy, stanęła dziś przed oczami niemieckich nastolatków. Aż 45 tys. młodych Niemców demonstrowało w ubiegłym tygodniu przeciw planom przywrócenia poboru. Obecnie armia niemiecka liczy 186 tys. żołnierzy i zmaga się z ogromnymi brakami kadrowymi. Próby dobrowolnego zaciągu nie przynoszą jak dotąd satysfakcjonujących rezultatów. Władze w Berlinie rozsyłają osiągającym wiek poborowy mężczyznom szczegółową ankietę, dotyczącą stosunku do służby wojskowej, powiązaną z obowiązkowymi badaniami lekarskimi. Podlegają im także ci ankietowani, którzy służby wojskowej kategorycznie odmawiają. Obowiązkowy pobór do wojska w Niemczech zawieszono w roku 2011, dwa lata po tym jak uczyniły to władze w Polsce.

Obawy o możliwość ochotniczego powiększenia niemieckiej armii wydają się uzasadnione. Około 16 proc. przebywających w Niemczech młodych mężczyzn ma status cudzoziemców, i poborowi nie podlega. Wśród pozostałych kandydatów aż 34 proc. to osoby o „historii migracyjnej”, które albo same urodziły się za granicą albo też migrantami było oboje ich rodziców. W roku 2023 aż 28,8 proc. Niemców poniżej 30. roku życia cierpiało na potwierdzone dokumentacją medyczną przeróżne – cięższe i lżejsze – zaburzenia psychiczne, a 14,5 proc. chorowało na depresję. Z kolei 29,8 proc. chłopców zgłaszało występowanie licznych dolegliwości psychosomatycznych. W roku 2024 w badaniu firmy Ipsos 12 proc. dorosłych mieszkańców Niemiec deklarowało się jako osoby LGBT+, przy czym wśród nastolatków (dzisiejszych poborowych) odsetek ten był jeszcze wyższy. W perspektywie planowanego powiększenia sił zbrojnych, tak różnorodna baza rekrutacyjna skłaniać może polityków z Berlina do radykalnych rozwiązań, przeciw którym zaprotestowali młodzi Niemcy.

W sielskiej krainie ułudy, którą stworzyły polskie elity polityczne, temat przywrócenia poboru nie doczekał się jeszcze poważnej dyskusji. Najodważniejsi z naszych polityków ośmielają się dywagować o kilkutygodniowych „szkoleniach” rozłożonych na lata, i do tego odbywanych podczas wakacji. Podążają oni zapewne za nastojami społecznymi. W opublikowanym przez Radio Zet sondażu aż 58 proc. badanych oświadczyło, że nie zamierza uczestniczyć w obronie napadniętego kraju. Twierdząco odpowiedziało jedynie 27 proc. Polaków. W innym, późniejszym badaniu aż 67,3 proc. Polaków dało wyraz przekonaniu, że stała baza wojsk amerykańskich w Polsce zwiększy bezpieczeństwo naszego kraju. Czyżby miliony współobywateli rzeczywiście sądziły, że choć sami nie planują wziąć broni do ręki w zapewnieniu krajowi bezpieczeństwa wyręczą ich Amerykanie, stacjonujący w „Fort Trump”?

Z protestującymi przeciw poborowi Niemcami możemy się zapewne nie zgadzać. Decyzje swoich rządzących traktują oni jednak poważnie, rozumiejąc ich dramatyczne konsekwencje. Odmienną postawę prezentują Polacy. Pomimo wszechobecnej, straszącej wojną propagandy temat przywrócenia poboru w debacie publicznej prawie nie istnieje. Bezpieczeństwo, jak każą wierzyć media, zapewniają nam obce gwarancje – a jeśli nadejdzie kryzys, przecież „jakoś tam będzie”. ©℗

eprasa.pl 086c9af544



JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Pani Wyspiańska

Profesor Karol Estreicher, legendarna postać Krakowa, zasłużony zwłaszcza w odzyskiwaniu zagrabionych podczas wojny skarbów naszej kultury – ołtarza mariackiego, „Damy z gronostajem" Leonarda da Vinci, był także autorem dziennika „Kronika wypadków", w którym spisał wiele rozmów z krakowskimi ludźmi kultury, m.in. zmarłą w 1955 r. w wieku 74 lat Józefą Singerową, pierwowzorem rozpoetyzowanej Racheli z „Wesela", która miała podobno z Piłsudskim romans i syna, po wojnie jadała obiady w stołówce Domu Literatów przy Krupniczej, ale żaden z nich się nią nie interesował.

Spisał też relacje ostatnich świadków pamiętających zmarłą w 1950 r. 90-letnią wdowę po Wyspiańskim, jej siostrę, Hankiewiczową i swego ojca, Stanisława, przyjaciela Wyspiańskiego. Teodory, Teośki z domu Pytkówny z podtarnowskich Konar, nie opromieniała legenda, jak chłopskich żon Kasprowicza i Rydla, ładnych i skromnych.

Teodora była wiejską babą urodzoną do twardego życia, a nie do poezji i sztuki. Brzydką, grubokościstą, o szerokiej, pospolitej twarzy, która poszła do Krakowa na służbę i jako „kobieta bez czci" – jak mówiono – dorobiła się ze swoim panem nieślubnego dziecka. Wbrew pięknej legendzie Wyspiański nie poznał jej, gdy zdesperowana, w ciąży, próbowała się utopić, ale u swojej ciotki, u której potem służyła. Urodziła mu szybko dwoje dzieci, Helenkę i Miecia, żyła z nim sześć lat na kocią łapę i w 1900 r., ku zdumieniu całego Krakowa, wzięła z nim ślub, wywołując wielki skandal i okrywając hańbą swoją rodzinę. Niepiśmienna prostaczka żoną wybitnego dramaturga, malarza, czwartego wieszcza! Nie zaakceptowało jej nawet otoczenie Wyspiańskiego; uważało, że ożenił się z nią z litości, ze względu na dzieci, które kochał, choć według rozmówców Estreichera od zawsze lubił dziewczyny proste, proletariackie. „Po co pan się z chłopką żeni? Są panny inteligentne" – pyta karczmarz Pana Młodego z „Wesela". „One mi się wydają przeciętne" – odpowiada.

Ale tak naprawdę żadna go nie chciała, bo wiadomo było, „że miał francę", śmiertelną wtedy kiłę, postępującą szybko ze względu na jego słaby organizm, i uczulenie na jedyne stosowane wtedy lekarstwo – wcierki rtęciowe. Wbrew kolejnej legendzie nie zaraził się podczas pobytu w Paryżu od ciemnoskórej modelki Gaugina, ale od krakowskiej robotnicy z drukarni. Czuł się coraz gorzej, wymagał opieki i miał szczęście, że młoda, zdrowa Teośka, której nie dała rady nawet jego „franca", chciała być jego żoną, pielęgnować go, tworzyć mu dom, urodzić kolejne, trzecie dziecko, Stasia.

Wbrew krakowskiej kołtunerii budującej Teodorze czarną legendę, zdaniem rozmówców Estreichera, Wyspiański bardzo ją kochał. Adoptował jej pierwszego syna, Teodora, dał mu swoje nazwisko. Był o nią zazdrosny; gdy w jego obecności któryś z mężczyzn dotknął tylko korali, które nosiła, zrobił jej scenę. Sam bardzo niepraktyczny, cenił jej zaradność i gospodarność, podczas ich małżeństwa wiele zrobił, a żona i dzieci były najczęstszym tematem jego pasteli. Najbardziej znany to „Macierzyństwo", na którym Teośka karmi piersią małego Stasia w otoczeniu Helenki i Miecia. To od niej nauczył się chłopskiego języka, którym mówią bohaterowie jego „Wesela", piosenek, które śpiewają, np. „A jak będzie słońce i pogoda". Na opisane później wesele Rydla poszedł dopiero wtedy, gdy zaproszono pominiętą początkowo Teośkę.

Wiedział, że odchodzi, i żeby zabezpieczyć rodzinę, kupił w podkrakowskich Węgrzcach dom, gospodarstwo, 34 ha ziemi. Spędził tam ostatnie lata swego życia, gdy nie wstawał już z łóżka. Ojciec Estreichera, który go wtedy odwiedził, zapamiętał widok wstrząsający – Wyspiański ledwo mówił, był częściowo sparaliżowany, miał niegojące się rany na rękach i nogach, mimo to rysował ołówkiem zasuniętym za bandaż owinięty wokół dłoni. Mówiono, że w przystępie gniewu Teodora, udręczona jego konaniem, czworgiem dzieci i pracą w polu, brutalnie go traktowała, biła i za kołnierz nie wylewała.

Gdy zmarł w wieku 38 lat, rok później poślubiła swego parobka, Wincentego Wasia, tłumacząc, że sama nie dałaby rady z gospodarką. I tego już jej nie darowano, pozbawiając sądownie prawa opieki nad dziećmi, które odebrano i rozdzielono, umieszczając na stancjach, w internatach, choć bardzo to przeżywały, tęskniły i uciekały do domu. Ich losy były dramatyczne. Mietek uciekł z surowego gimnazjum w Chyrowie do wojska, zginął w wojnie 1920 r., dostając się do sowieckiej niewoli. Załamany 17-letni Teodor trafił do szpitala psychiatrycznego, gdzie zmarł na zapalenie płuc. Staś, który miał problemy z alkoholem, spędził w szpitalach psychiatrycznych, głównie w Kobierzynie, 30 lat. Tylko Helenka dobrze wyszła za mąż, założyła rodzinę, zabrała do siebie starą matkę, która przeżyła Wyspiańskiego o 50 lat. ©℗

eprasa.pl 086c9af544

GŁUPIE ŻARTY



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W styczniu Trump opublikował taką grafikę: stoi z amerykańską flagą na Grenlandii, a obok tablica z napisem: „Terytorium USA". Świat się wtedy złościł, że to chamski dowcip. Można uważać, że Trump się wydurnia lub głupio gada, ale nadal lepiej traktować go poważnie. Przeciwnicy lekceważą to, co mówi, a potem się okazuje, że on właśnie zrealizował te „głupoty". Przykładem jest Grenlandia.

Podpisano umowę. Ameryka osiągnęła wszystkie swoje cele i nie zapłaci za to ani grosza. Trump proponował, że kupi wyspę, bo Ameryce potrzebny jest nieograniczony dostęp militarny do Grenlandii, poza tym USA musi kontrolować Chiny i Ruskich, którzy pchają się tam z inwestycjami w wydobycie minerałów strategicznych. Zaproponował, że wyspę kupi, i zagroził, że w razie konieczności zajmie teren siłą, oraz zawiadomił, że możliwe są negocjacje pomiędzy opcją zakupu a opcją siłowej aneksji.

I na czym stanęło? Ameryka dostała wszystko, czego chciała, i nie musi za to płacić ani grosza – złoty interes. Dania mogła wyspę sprzedać, zarobić krocie na swoje programy socjalne i spłatę długów, ale oddała wszystko darmo w zamian za zachowanie pozorów suwerenności – barany.

Wyspa nie zmienia formalnego statusu, a jednocześnie oddano Ameryce kontrolę nad całym terytorium w zakresie wojskowym, prawo budowania dowolnej liczby baz i instalowania dowolnego sprzętu, w tym Złotej Kopuły nad Ameryką i Kanadą. Dodatkowo Grenlandia/Dania traci prawo decydowania o zagranicznych inwestycjach – Stany Zjednoczone mogą blokować inwestycje np. rosyjskie lub chińskie.

Umowę zawarto „na zawsze", czyli nie ma nawet klauzuli „do odwołania" ani „na czas nieokreślony". Czym to się różni od zakupu wyspy przez USA? Ceną. Zakup byłby za forsę. Czym to się różni od zajęcia wyspy siłą? Ceną. Zajęcie siłą kosztuje. Dania oddała darmo coś, za co mogła wziąć forsę.

***

Trumpa należy traktować poważnie, nawet gdy opowiada głupoty. Dlaczego? Bo on te swoje „głupoty" traktuje poważnie. Gdy mówił, że odzyska dla USA Kanał Panamski, retoryka była taka sama jak w przypadku Grenlandii. I co? Odzyskał. Na papierze strefa kanału należy jakoś tam do Panamy, ale gdy się wczytać głębiej w porozumienia, widać, że Ameryka odzyskała pełną kontrolę. Dowodem pełnej kontroli jest to, że Chińczycy się zwinęli. Kontrolowali kanał, a teraz już nie kontrolują i wszyscy się cieszymy z tego faktu, no ale mało kto się cieszy publicznie, bo taka radość wygląda jak popieranie agresywnych „głupot" Trumpa.

***

Kolejny przykład to Wenezuela. Gdy Trump opowiadał, że obie Ameryki od Ziemi Ognistej po Alaskę to strefa wpływów USA i wszystkie inne wpływy zostaną usunięte, wielu traktowało to jak buńczuczną retorykę bufona. I co? Ruscy i Chińczycy musieli Wenezuelę opuścić, więźniowie polityczni zostali wypuszczeni, a komunistyczna pani prezydent Wenezueli jest w tej chwili uległym sojusznikiem rządu Stanów Zjednoczonych. Jej rola jest mniej więcej taka jak rola premiera Tuska wobec Niemiec. Marionetka, samochodzik zdalnie sterowany, tresowany pudelek – Państwo sobie sami wybiorą stosowne porównanie.

***

Po przejęciu Grenlandii, Wenezueli i Kanału Panamskiego Stany Zjednoczone pracują nad przejęciem Kuby. Możemy oceniać retorykę Trumpa w tej sprawie jako „wolne żarty", ale nadal należy do tych żartów podchodzić poważne. Kanada jako 51. stan USA – ten pomysł też lepiej traktować poważnie. Jako plan działania, a nie jako głupoty.

Aby chronić własne bezpieczeństwo za pomocą Złotej Kopuły, Stany Zjednoczone muszą kontrolować terytorium Kanady (i Grenlandii). Kropka. Skoro muszą, to będą. Proszę popatrzeć na mapę – co tam jest na północ od Kanady? Rosja. Aha. A Złota Kopuła ma chronić USA przed atakiem czyich rakiet? Ruskich. Aha.

***

No i przypomnijmy sobie reakcje ogółu na pomysł Trumpa, by obok Sił Powietrznych USA stworzyć też Siły Kosmiczne. Wtedy był śmiech na sali. A gdy pokazano mundury skopiowane z popularnego serialu SF, śmiech zmienił się w rechot. Można rechotać, ale nadal lepiej traktować pomysły Trumpa poważnie. Bo my się śmiejemy, a USA wciela te pomysły w życie. Co konkretnie robią teraz?

Elon Musk ma sieć satelitów Starlink. Globalny dostawca Internetu. Możesz się podłączyć z terytorium, gdzie nic innego nie działa – w okopach na froncie lub z bezludnej wyspy na Pacyfiku. Elon Musk ma fabrykę rakiet do wynoszenia satelitów na orbitę. Firma Muska weszła do współpracy z firmami, które planują umieszczenie w kosmosie sieci satelitów spiętych w duże grupy, i tam będzie centrum przetwarzania danych obsługujące sztuczną inteligencję. Czemu na orbicie? A choćby dlatego, że tam jest zimno. I trudniej rozwalić tam niż na Ziemi.

W przedsięwzięciu niestety uczestniczy Bill Gates (człowiek groźny: syntetyczne mięso, zmutowane komary roznoszące szczepionki, a teraz sztuczna inteligencja na orbicie). Czyli wczoraj śmieszyły nas Siły Kosmiczne jako głupi pomysł bufona, a dzisiaj dowiadujemy się, że te siły mają się zajmować zabezpieczaniem sztucznej inteligencji w kosmosie.

***

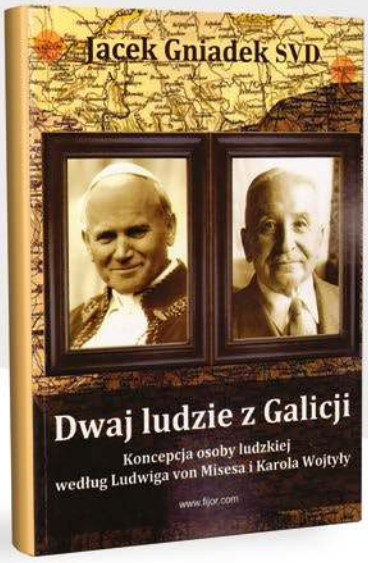
Należę do tych, którzy nie dowierzają ani w amerykańskie lądowanie na Księżycu, ani w niedawny lot dookoła Księżyca, ale jeżeli na Księżycu da się lądować, jeżeli da się tam zainstalować te kolosalne centra przetwarzania danych, które na razie są budowane na Ziemi i które są obiektem narastających protestów społecznych w USA, a docelowo być może ludzie na Ziemi zaczną te centra niszczyć, to… jak zwykli obywatele mieliby zniszczyć gniazdo sztucznej inteligencji wybudowane na Księżycu i chronione przez Siły Kosmiczne? ©℗

eprasa.pl 086c9af544

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK GNIADEK SVD: „DWAJ LUDZIE Z GALICJI” ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1040~~ ZŁ

517,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 523 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 086c9af544

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 086c9af544